

POLSKA – CIAĞ DAŁSZY

Cherezińska, Chutnik, Dwurnik, Gomułka, Markowski, Staszczyk

nr 3 (22), 2017

KWARTALNIK

Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395



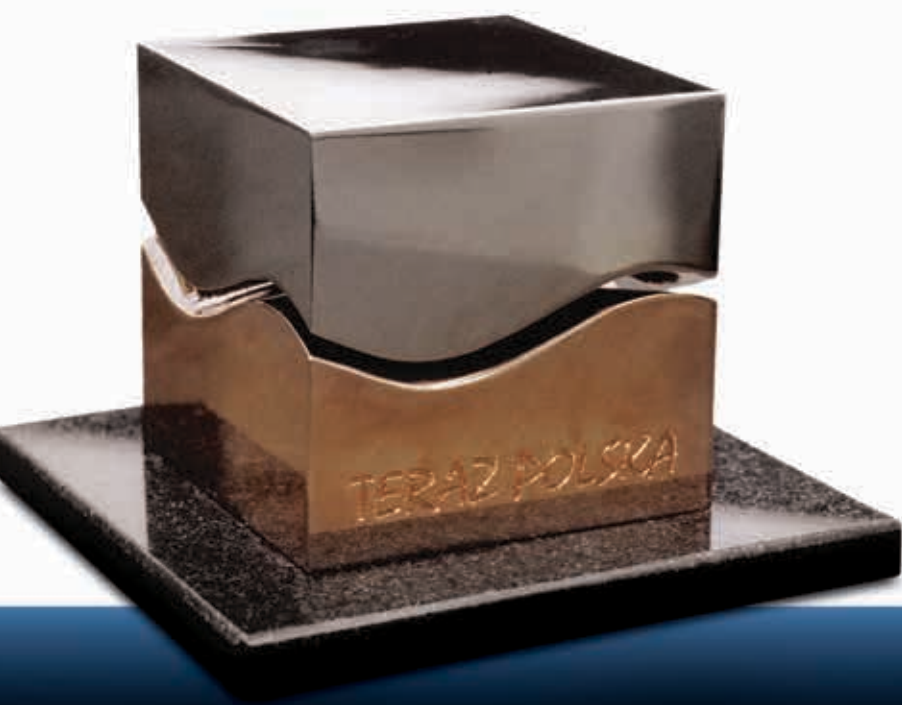
Teraz Polska

Promujemy
polskie
marki



TERAZ POLSKA

XXVIII
edycja





Niektóre odpowiedzi znamy

Oto numer magazynu, którego przygotowanie przypa-
dło na czas trzeciej dekady lipca, kiedy to sporo się
działo... Gęsty politycznie lipiec przeszedł w sierpień
i w końcu klasa polityczna (a wraz z nią reszta społe-
czeństwa) zdecydowała się na zasłużony odpoczynek (zimny Bał-
tyk, gorące grille, polski Woodstock oraz łagodne szlaki spacerowe
krajowych gór). W politycznym ferworze łatwo o myślenie w kate-
goriach haseł, newsów, twitterowych wątków. Natomiast cykl kwar-
talny wymusza dyscyplinę i patrzeć na wydarzenia chłodniejszym
okiem i z perspektywy większych uogólnień. W tym kontekście nie
bez satysfakcji oddajemy w Państwa ręce pismo, w którym staramy
się poszukiwać tego, co istotne.

Jak zwykle konfrontujemy ze sobą różne głosy i rozmaite koncep-
cje, czasem nawet dość skrajne. Nie szczędzimy miejsca na wywiady
z intelektualistami, opinie i analizy, które zajmują większość stron
(a to rzecz dość niespotykana w dzisiejszej prasie). Wszystko po to, by
świadomy obywatel mógł czytać między wierszami, a nie był skazany
na kleczenie obrazu świata z treści telewizyjnych pohukiwań i twitte-
rowych połajanek. Prof. Radosław Markowski twierdzi, że nie da się
konfrontować idei na Twitterze. Analizuje stan krajowej i europejskiej
demokracji – wszak sporo się ostatnio zmienia w polityce. A w ekono-
mii? Tu ścierają się dwie główne wizje. Podejście liberalne konkuruje
z socjalnym. Ekonomista prof. Stanisław Gomułka (niejako w opozycji
do poglądów przedstawionych we wcześniejszym numerze przez
prof. Ryszarda Bugaja) przekonuje, że kapitalizm jeszcze się nie koń-
czy. Formułuje prognozy dotyczące świata w najbliższych stuleciach.
Czy można wybiegać z predykcją tak daleko w przyszłość? Radzi-
my przeczytać i wyrobić sobie osąd. Skoro jesteśmy przy ekonomii:
w różnych rozmowach przewija się wątek kapitału – czym dziś jest,
jaką pełni rolę, w jaki sposób ewoluuje. Kilka różnych podejść i aktu-
alność analiz wskazuje, jak pomocna w rozumieniu współczesnego
świata może być owa kategoria.

Tym razem na naszych łamach silna reprezentacja pisarek. Sylwia
Chutnik, powszechnie kojarzona z poglądami radykalnymi, tłumaczy,
że przede wszystkim jest humanistką, i dowodzi, że wiele osób
utożsamianych z centrum mogłoby się od niej uczyć myślenia kon-
ciliacyjnego i poszukiwania punktów wspólnych. Nie wypiera się
swojego rodowodu, ale uzasadnia, dlaczego nie chce być dziś osobą
z zaciśniętymi zębami. Zaś Elżbieta Cherezińska, pisarka odpowie-
dzialna za rozkwit nurtu popularnej literatury historycznej, uczy, jak
budować opowieść, w której porażka nie oznacza wiecznej przegra-
nej, a sukces nie obraża pokonanego przeciwnika. Nieraz zastanawia-
my się, jacy jesteśmy i dlaczego tacy jesteśmy – to wiedza pozornie
nie do odkrycia. Jednak wiele w tej kwestii wyjaśniają słowa prof.
Przemysława Czaplińskiego, który szuka przyczyn postaw i genezy
stanu zbiorowej świadomości w kulturze i literaturze. W obecnym
numerze zaprosiliśmy do rozmowy dwóch wybitnych kardiologów
– prof. Bohdana Maruszewskiego i prof. Piotra Suwalskiego. O ile me-
dyцина potrafi być fascynująca, o tyle współczesna kardiochirurgia
jest wręcz kosmiczna. Pełno w niej nowoczesnej technologii, ale za-
czyna brakować specjalistów. Państwo nie nauczyło się dbać o medy-
czynę i lekarzy. A prawa do ochrony zdrowia mamy zagwarantowane
w konstytucji. Czy w tej sprawie też wyjdziemy protestować na ulice?

W naszym magazynie nie tylko poszukujemy odpowiedzi. Nie-
które z nich znamy. Na przykład: czy warto być dumnym? Na pewno
warto! Dwie młode dziewczyny z Polski, zaczynając niemal od zera,
stworzyły markę Glov, która stała się hitem branży kosmetycznej
i osiągnęła globalny sukces. Polski kompozytor i laureat Oscara Jan
A.P. Kaczmarek tworzy Festiwal Transatlantyk, który gości zagra-
niczne gwiazdy światowego formatu i inspirowa pokolenia młodych
twórców. To zdobywcy Godła „Teraz Polska”, a ich historię i działania
również przybliżamy Państwu w tym numerze. Jesteśmy dumni
i chcemy zarażać dumą, bo w Polsce dzieją się rzeczy niezwykle
– wbrew opinii niektórych – nie tylko w złym tego słowa znaczeniu.
Zachęcam do lektury!

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”*

Temat numeru

- 6 **Społeczeństwo wciąż popiera gospodarkę liberalną.** O kulisach polskiej transformacji ustrojowej oraz o tym, że kapitalizm jeszcze się nie kończy, z prof. **Stanisławem Gomułą** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 13 **Nie jesteśmy demokratycznym państwem prawa.** O stanie demokracji w Polsce i partiach politycznych jako ośrodkach dezinformacji z prof. **Radosławem Markowskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 18 **Wierzę w słowa, ale pisanie nie wystarczy.** O humanizmie, anarchii i ciekawym zwyczaju pisarek z **Sylwią Chutnik** rozmawia *Kamil Broszko*.

Gospodarka

- 22 **Wielka szansa małych winnic.** O historii polskich win i gustach Polaków z **Krzysztofem Apostolidisem**, prezesem zarządu Partner Center, rozmawia *Anna Siedlińska*.
- 24 **Z pokorą i wiarą w sukces weszliśmy do jaskini lwa.** O budowaniu biznesu od podstaw z **Moniką Żochowską** i **Ewą Dudzic** rozmawia *Marzena Tataj*.

Idee

- 27 **Polska dryfuje.** O wolności i wstydzie z prof. **Przemysławem Czaplińskim** rozmawia *Radosław Siedliński*.
- 33 **Wystarczy szanować publiczność.** O urokach życia i grania poza miastem z **Janem Jakubem Należyty** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 36 **Dumy nie można się nauczyć.** O silnych kobietach i sympatii do piastowskich drani z **Elżbietą Cherezińską** rozmawia *Anna Siedlińska*.

Polacy

- 39 **Fabryka Dwurnika.** O pracy ciągłej i kupowaniu supersamochodów z **Edwardem Dwurnikiem**, malarzem i grafikiem, rozmawiają *Kamil Broszko* i *Marzena Tataj*.
- 44 **Trzeba uczyć etyki, nie tylko lekarzy.** O medycynie zorientowanej na wynik finansowy i polskiej kardiologii dziecięcej z prof. **Bohdanem Maruszewskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 48 **Ta praca ma głęboki sens.** O sukcesji w medycynie oraz lekarzach grających rocka z prof. **Piotrem Suwalskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 51 **Kocham ją i nienawidzę.** O muzyce, buncie i trudnej relacji z Polską z **Murkiem Staszczykiem** rozmawia *Anna Siedlińska*.
- 55 **Lubię pomagać.** O prowadzeniu biznesu społecznego z **Moniką Jabłońską** rozmawia *Kamil Broszko*.

Regiony

- 58 **Sztuka jak ocean.** Podsumowanie Festiwalu Transatlantyk
- 61 **Rzeka urzeka.** *Radosław Siedliński*
- 63 **Gala „Teraz Polska”.** *Anna Siedlińska*

Felieton

- 66 **Dobrze już było, jest źle, a jak będzie – zobaczymy.** *Adam Szejnfeld*
- 67 **Zaufanie można stracić przez moment nieuwagi.** *Paweł Rabiej*

Wydarzenia

nr 3 (22), 2017



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO

www.terazpolska.pl

Magazyn
TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadzący:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko,
Anna Siedlińska
Projekt okładki:
Edward Dwurnik

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.terazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

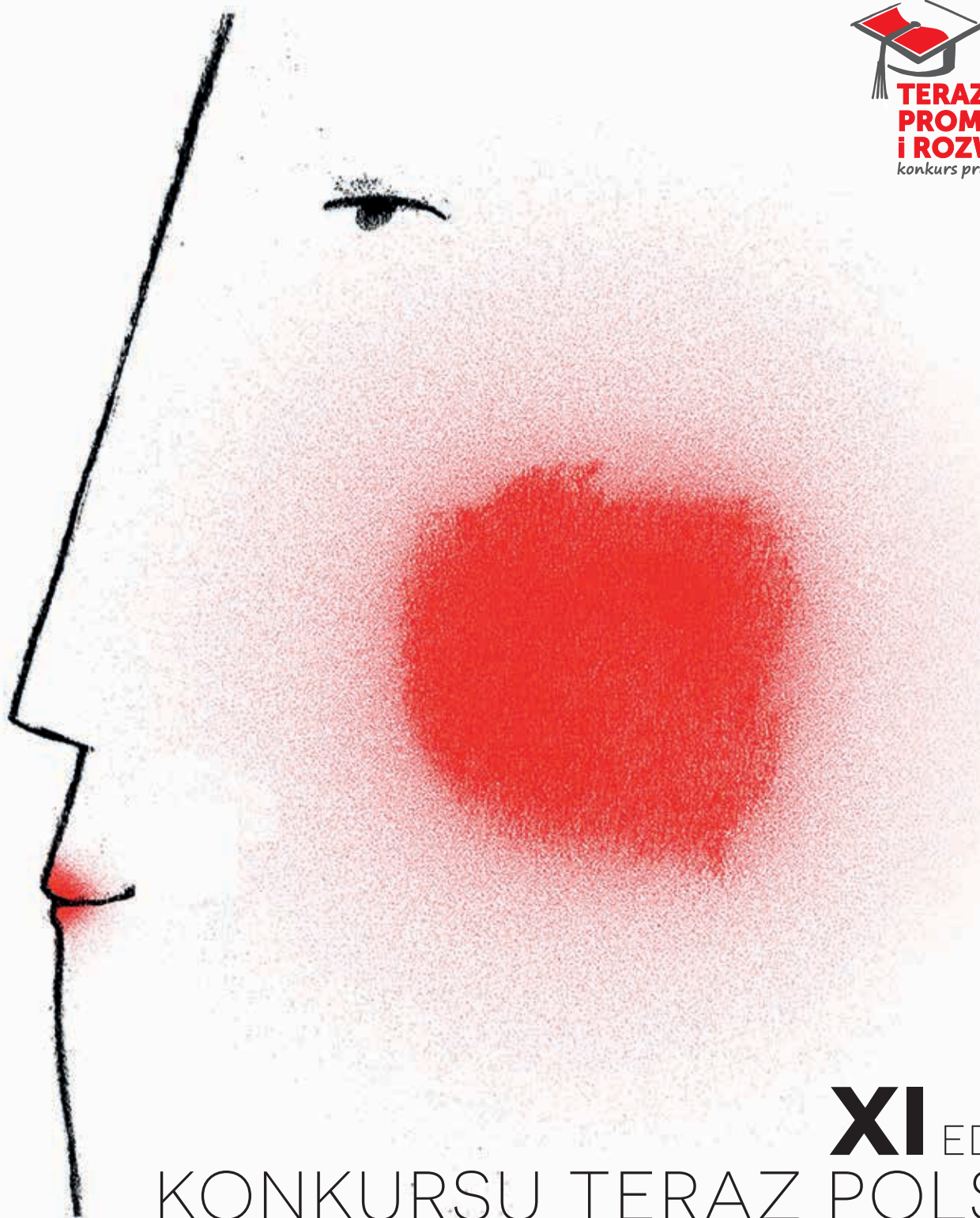
**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Justyna Kwaśniok

Druk:
Miller Druk Sp. z o.o.
www.m-druk.pl



**TERAZ POLSKA
PROMOCJA
I ROZWÓJ**
konkurs prac magisterskich



XI EDYCJA
KONKURSU TERAZ POLSKA
PROMOCJA I ROZWÓJ

**NA NAJLEPSZĄ PRACĘ MAGISTERSKĄ DOTYCZĄCĄ
KONKURENCYJNOŚCI, INNOWACYJNOŚCI I PROMOCJI POLSKI**

PULA NAGRÓD – 50 000 zł

TERMIN ZGŁOSZEŃ – DO 23.10.2017 R.

SZCZEGÓŁY: WWW.TERAZPOLSKA.PL

Społeczeństwo wciąż popiera gospodarkę liberalną

O kulisach polskiej transformacji ustrojowej, Rosji w Unii Europejskiej oraz o tym, że kapitalizm jeszcze się nie kończy, z prof. **Stanisławem Gomułką** rozmawia Kamil Broszko.



Kamil Broszko: Panie profesorze, niedawno odbywał się szczyt G20. W tym czasie na ulicach trwały intensywne demonstracje niezadowolenia. Czy są one istotne z punktu widzenia światowej ekonomii?

Stanisław Gomułka: Byłbym ostrożny w traktowaniu kilkudziesięciu tysięcy ludzi na ulicach Hamburga jako grupy reprezentatywnej dla opinii światowej. Jak rozumiem, podstawowym celem demonstrantów było przeciwstawienie się tendencjom globalizacyjnym. Dla mnie jako obserwatora sytuacji nie tylko w poszczególnych krajach, ale także – a może nawet przede wszystkim – w gospodarce światowej globalizacja jest procesem od kilku generacji coraz silniejszym i teraz już dość zaawansowanym. Ten proces jest wzmacniany rosnącymi powiązaniami mię-

Prof. Stanisław Gomułka (ur. 1940 r.) – magister fizyki teoretycznej (1962 r.) oraz doktor nauk ekonomicznych (1966 r.). W latach 1970–2005 wykładał w London School of Economics. Był w tym czasie okresowo wykładowcą i badaczem na Uniwersytecie Columbia, Uniwersytecie Harvarda, Uniwersytecie Pensylwanii i Uniwersytecie Stanforda, a także w holenderskim Institute for Advanced Study i węgierskim Central European University. W pracy naukowej zajmował się i nadal zajmuje zagadnieniami z teorii wzrostu gospodarczego, makroekonomii i porównawczych systemów ekonomicznych. Większość publikacji naukowych jest dostępna na stronie internetowej Researchgate.net. Posiada swój wpis w prestiżowym biograficznym słowniku najczęściej cytowanych ekonomistów świata „Who's Who in Economics”. W latach 80. był konsultantem Międzynarodowego Funduszu Walutowego, OECD i Komisji Europejskiej. W 1989 r. został doradcą polskiego rządu i członkiem zespołu, który zaprojektował programy reform w czasie przełomowej fazy transformacji (tzw. plan Balcerowicza). W latach 1989–1995 i 1998–2002 pracował jako doradca polskich ministrów finansów, w okresie 1995–1998 był doradcą prezesa Narodowego Banku Polskiego. W latach 1989–1995 był także oficjalnym polskim negocjatorem z MFW w sprawie wszystkich programów makroekonomicznych, a w latach 1990–1992 był członkiem grupy negocjującej z Klubem Paryskim i Klubem Londyńskim redukcję polskiego długu. Pod koniec 1991 r. doradzał Jegorowi Gajdarowi i jego zespołowi w sprawie reform w Rosji. Od 2002 r. do 2006 r. był głównym ekonomistą Grupy PZU. Członek korespondent Polskiej Akademii Nauk.

Od 3 stycznia 2008 r. do 18 kwietnia 2008 r. pełnił funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Finansów. Od 19 maja 2008 r. jest głównym ekonomistą Business Centre Club.

W 2010 r. prezydent Lech Kaczyński powołał go na członka Narodowej Rady Rozwoju, w październiku 2015 r. ponownie został członkiem tego gremium.

dzy krajami wynikającymi z coraz bardziej rozbudowanego handlu międzynarodowego oraz dużego przepływu kapitału finansowego i informacji, a także dość znacznej migracji ludzi. Unia Europejska jest sztandarowym przykładem tego zjawiska. Tradycyjny pogląd, że bogacić się można głównie w oparciu o przemysł i rynki narodowe, a od czasu do czasu także wojny międzynarodowe, sukcesywnie ustępuje miejsca nowemu podejściu. Na jego pojawienie się i obowiązywanie w Europie po 1945 r. ogromny wpływ miały dwie wojny światowe o wyjątkowo niszczącym dla Europejczyków przebiegu. Dziś celem strategicznym Niemiec i Japonii – krajów, które II wojnę światową wywołały – nie jest ani posiadanie broni atomowej, ani nawet posiadanie dużych konwencjonalnych sił zbrojnych. Kraje rozwinięte gospodarczo (i większość pozostałych) są coraz bardziej zainteresowane bogaceniem się na drodze współpracy gospodarczej z innymi krajami. Niemcy zaczęły nawet prowadzić pokojowo nastawionej Unii Europejskiej. Globalizacja od zakończenia wojny jest podstawowym światowym trendem, dziś docenianym przez większość obywateli. Zatem protesty przeciwko globalizacji są skazane na niepowodzenie.

KB: A może nasilające się protesty zwiastują pojawienie się nowego trendu – zmiany paradygmatu w ekonomii?

SG: Nie sądzę. Trend globalizacyjny jest konsekwencją zmian technologicznych. Świat pod ich wpływem systematycznie się kurczy. Integracja rynków lokalnych, która spowodowała powstanie rynków narodowych, nastąpiła w XIX i pierwszej połowie XX w. Zaś od kilkudziesięciu lat następuje integrowanie się rynków narodowych, a w ślad za tym – narodowych gospodarek. Duża i coraz większa część tego, co wytwarzamy w poszczególnych krajach, jest teraz przeznaczona dla mieszkańców innych krajów. Łatwiej dotrzeć ze wszystkim – z towarami, kapitałem, ludźmi – do krajów nawet bardzo odległych. Te zmiany były i są generowane przez postęp technologiczny, na który politycy nie mają wpływu. Niezwykle ważna rola w tym procesie przypada zatem innowatorom i przedsiębiorcom oraz ludziom nauki, którzy żyją i pracują globalnie. Oni stanowią trzon i siłę napędową tego nowego, ponadnarodowego systemu gospodarczego.

KB: Wspomniał pan profesor, że model globalizacji wyparł model bogacenia opartego na narodzie i wojnie. Czy dziś, w dobie pewnego renesansu myślenia w kategoriach narodowych, należy się spodziewać wzrostu znaczenia gospodarki ukierunkowanej do wewnątrz oraz poszukiwania źródeł wzrostu w budowaniu potęgi militarnej?

SG: Takie odchylenia od głównego trendu są możliwe i nawet mają miejsce. Dla przykładu w relacjach między Unią Europejską a Federacją Rosyjską mamy do czynienia z odwrotem od polityki, która obowiązywała przez pewien czas po rozpadzie ZSRR. Wtedy raczej się myślało o bliskiej współpracy politycznej, gospodarczej i kulturalnej w skali „Europy od Atlantyku do Uralu”. W 1991 r.

byłem doradcą rządu Jelcyna w Moskwie i miałem bezpośredni kontakt z wicepremierem Jegorem Gajdarem i jego ministrami. Uczestniczyłem w tworzeniu programu gospodarczego dla Rosji. Elita, która wtedy doszła do władzy, myślała zupełnie inaczej niż Putin i rząd Federacji Rosyjskiej w ostatnich latach. Dziś myśli się tam znów o zaspokojeniu interesów narodowych częściowo na drodze konfrontacji. NATO jest przedstawiane jako globalny militarny konkurent, nawet potencjalny wróg, Unia Europejska – jako niebezpieczna polityczna konkurencja. Putin chciałby zobaczyć rozpad obu tych ponadnarodowych struktur. Te dążenia są motywowane aspiracjami wielkomocarstwowymi w skali globalnej.

Sądzę, że renesans tendencji narodowych w Polsce i Europie Centralnej jest raczej reakcją obronną na postrzegane jako zbyt silne procesy integracyjne w UE. Ukraina chce być częścią Unii Europejskiej i chce współpracy, nie myśli o konfrontacji wojskowej.

W dłuższej perspektywie ekonomiczne możliwości Rosji są dość ograniczone. W ciągu ostatnich kilkunastu lat potencjał militarny tego kraju był wzmacniany przez bardzo wysokie ceny surowców. W tej chwili mamy nową sytuację. Ceny energii są dużo niższe i prawdopodobnie takie pozostaną przez wiele lat. Potęga gospodarcza Rosji w porównaniu z UE jest niewielka, a potęga militarna, choć duża, nie jest takim zagrożeniem dla NATO, jakim były ZSRR i Układ Warszawski. Możliwości wygrywania w obszarze technologicznym i militarnym są na tyle ograniczone, że raczej należy przypuszczać, iż Rosja nawet teraz nie myśli w kategoriach zdobywania bogactwa poprzez wojny (oczywiście w przypadku Gruzji czy Ukrainy mieliśmy do czynienia z agresją, ale jednak dość ograniczoną). Przypuszczam, że ta silnie konfrontacyjna wobec UE i NATO strategia Putina zostanie w niedługim czasie uznana w Rosji za błędną. Uważam zatem, że sytuacja w skali światowej będzie się zmieniać na korzyść trendu globalizacyjnego.

W przypadku Rosji z czasem zacznie odgrywać rolę także fakt, że obok UE i USA wyrasta nowe supermocarstwo – Chiny. Już w tej chwili dochód narodowy Chin, licząc według siły nabywczej, jest mniej więcej taki, jak dochód USA. To sześć razy więcej niż dochód narodowy Federacji Rosyjskiej. Chiny mają już możliwości zbudowania potęgi militarnej porównywalnej z tą, jaką dysponuje Rosja. Dodatkowo liczba ludności Chin jest 10 razy większa niż Rosji. Chińczycy od dawna są zainteresowani migracją na teren Syberii. Z czasem to musi prowadzić do wzrostu napięć między Federacją Rosyjską a Chinami. Obecna konfiguracja napięć w polityce międzynarodowej zapewne zmieni się znacząco w perspektywie najbliższych 20–30 lat. W tej chwili Federacja Rosyjska jest wielkim mocarstwem nuklearnym, równoważnym z USA, z dużo większym arsenałem niszczącym niż chiński. Zatem najbliższe 10–15 lat to nadal będzie okres, kiedy o bezpieczeństwie globalnym będą decydować stosunki między USA i Federacją Rosyjską. Lecz z czasem – gdy potęga gospodarcza i militarna Rosji będzie maleć w stosunku do Chin, Indii czy UE – pojawi się znów zainteresowanie ściślejszą współpracą Rosji z Unią Europejską.



© KAMIL BROŻKO/BROŻKO.COM

Wejście Polski do UE miało korzystne następstwa, co jest dziś dostrzegane i podkreślane przez wszystkie opcje polityczne i grupy społeczne. Rolnicy, mocno krytyczni w stosunku do UE przed 20 laty, dziś są w dużej mierze euroentuzjastami.

KB: Czy rozsądne jest wyobrażanie sobie Rosji jako członka Unii Europejskiej?

SG: Nie wykluczam takiego scenariusza. Za 15–20 lat do UE mogłaby dołączyć Ukraina, a za 20–30 lat kandydatem mogłaby być Federacja Rosyjska. Dziś członkostwo Rosji w UE jest mało prawdopodobne, ale relacje między Rosją i Unią w dalszej perspektywie powinny się poprawiać i może dojść do zbliżenia – gospodarczego, kulturalnego, a z czasem także politycznego. Wzrost znaczenia nowych mocarstw – Chin oraz Indii – spowoduje pojawianie się nowych napięć o charakterze międzynarodowym, co sprawi, że tam, gdzie dziś są napięcia, wzrastać będzie współpraca. Pojawia się napięcia między „starym światem”, do którego zaliczam Europę, USA, Kanadę i Australię (z liczbą ludności na poziomie blisko 1 mld), a nowymi mocarstwami, jak Chiny (1,5 mld ludności) czy Indie (2 mld ludzi, razem z Pakistanem i Bangladeszem). To są trzy duże i wewnętrznie dość jednorodne światy z wyraźnie odrębnymi kulturami. Konkurencja polityczna między tymi trzema obszarami zapewne się utrzyma, a nawet może wzrosnąć. Ale ewentualne problemy nie muszą prowadzić do wojen. Korzyści z handlu międzynarodowego będą bowiem odgrywać coraz większą rolę. Już dziś obserwujemy duży wzrost inwestycji zagranicznych w Chinach i Indiach, ogromny dopływ technologii z zewnątrz i duże zainteresowanie Chin handlem światowym. Co ważne, zarówno Chiny, jak i Indie nie były w ostatnich dwóch tysiącach lat specjalnie ofensywnymi krajami – w rozumieniu wywoływania konfliktów zbrojnych na dużą skalę. Zatem wydaje mi się, że nawet ostra konkurencja w obszarze gospodarczym nie będzie prowadzić do wojen, chociaż konfliktów zbrojnych z zasady nie można wykluczyć.

KB: No właśnie, jak ekonomista postrzega wydatki na zbrojenia, kiedy perspektywa wojny jest znikoma lub żadna? Jako utopione koszty?

SG: W tej chwili większość krajów wydaje relatywnie niewiele na obronę narodową. Jest kilka wyjątków od tej reguły. Izrael wydaje bardzo dużo w relacji do swojego dochodu narodowego, ale to wynika ze zrozumiałych względów. Sporo, bo około 3,5 proc. PKB, wydają też Stany Zjednoczone, choć wyraźnie mniej niż w okresie zimnej wojny. Bardzo dużo wydawał ZSRR w latach 1950–1990, według różnych szacunków nawet około 15–20 proc. dochodu narodowego. Dziś Federacja Rosyjska wydaje dużo mniej, bo około 4–5 proc. PKB. Zaś w przypadku UE czy Japonii wydatki na zbrojenia w relacji do dochodu narodowego mieszczą się zwykle w granicach 1–2 proc. Dla ekonomistów jest oczywiste, że taki poziom wydatków nie niszczy możliwości gospodarczych kraju.

KB: Wracając jeszcze do prognozy przyszłej integracji UE z Rosją – zakłada ona, że Unia Europejska przetrwa...

SG: Oczywiście to nie jest pewne. Ryzyko rozpadu jest realne, choć wydaje mi się niewielkie. Wystarczy wspomnieć Brexit – to wydarzenie, którego się nie spodziewaliśmy. Natomiast przypuszczam, że za około 20 lat Wielka Brytania będzie znów częścią Unii Europejskiej. Dziś mówię pół żartem, pół serio swoim brytyjskim wnukom (jeden z nich ma 10 lat, a drugi 12), że mają zadanie na przyszłość: wprowadzić na nowo Wielką Brytanię do UE. Poparcie dla Brexitu wśród ludzi młodych było w Wielkiej Brytanii bardzo umiarkowane, większość była za pozostaniem w UE. Za wyjściem byli ludzie starsi, dla których duża i rosnąca obecność nowej emigracji polskiej czy rumuńskiej była problemem. Oni nie byli przygotowani na daleko idące zmiany w swoim bezpośrednim otoczeniu. Młode pokolenie nie miało i nie ma tych obaw – jeździ po świecie i Europie, dla niego kontakt z inaczej wyglądającymi i mówiącymi w innych językach nie jest szokujący. Dlatego uważam, że tendencja do integracji europejskiej będzie kontynuowana. Tożsamość europejska będzie funkcjonowała i umacniała się przy jednoczesnym zachowaniu tożsamości narodowej. Oczywiście musi się to odbywać z szacunkiem dla różnicowania kulturowego, ale jest ono obecne również w dotychczasowym modelu państwa narodowego, także w Polsce. Kaszubi czy Ślązacy są mocno regionalnie zróżnicowani i przywiązani do lokalnych tradycji. Fakt, że mamy jeden kraj, jedną Polskę, nie jest dużym zagrożeniem dla podtrzymania różnorodności. Jest ona wartością. Również Unia Europejska chce ją podtrzymać. Dążenie do głębszej integracji nie może być zbyt szybkie. Musi uwzględniać zastrzeżenia i niepokoje, nie może ignorować wątpliwości. Zmiany w Europie w ostatnich 30–40 latach być może tu i ówdzie postępowały za szybko. Brytyjczycy nie byli przygotowani na duży napływ ludzi (ok. 2,5 mln) z Europy Wschodniej w ciągu zaledwie 12 lat. Gdyby ta imigracja zatrzymała się teraz bez wychodzenia z UE, to zapewne głosowaliby za pozostaniem w Unii. Jednak mieli podstawy uważać, że napływ w podobnej skali będzie postępował. Za 15–20 lat wszystko się zmieni. W Polsce, Rumunii i Bułgarii nie będzie takich jak teraz różnic w dochodach i bogactwie w stosunku do krajów wysoko-

rozwinętych. W rezultacie emigracja do Europy Zachodniej silnie wyhamuje i Brytyjczycy znów będą mogli myśleć o wejściu do UE bez obaw o własną tożsamość (już teraz sondaże wskazują na poparcie członkostwa w UE na poziomie około 60 proc.).

Jednym z ważnych czynników działających na rzecz integracji w ramach UE jest wspólna waluta euro, która odgrywa dużą rolę w tworzeniu europejskiej tożsamości – pokazują to dane dotyczące akceptacji wspólnej waluty przez ludność krajów strefy euro. Wynika z nich, że około 70 proc. ludzi jest zadowolonych ze wspólnej waluty – w dodatku ten poziom poparcia jest stabilny. Nawet Grecy w latach ostrego i bardzo dla nich kosztownego kryzysu gospodarczego opowiadali się za utrzymaniem euro jako swojej narodowej waluty.

KB: Sprawy polityczne i tożsamościowe to jedno, ale może jeszcze większym wyzwaniem jest uzgodnienie wspólnych interesów UE? Nieraz kompromis jest niemożliwy, widać to choćby na przykładzie sektora energetycznego.

SG: Wejście Polski do UE miało ewidentnie korzystne następstwa dla kraju. Te korzyści są dostrzegane i podkreślane przez wszystkie opcje polityczne i grupy społeczne. Rolnicy, mocno krytyczni w stosunku do UE przed 20 laty, dziś są w dużej mierze euroentuzjastami. Polska dostaje netto około 10 mld euro rocznie – tak dużej bezzwrotnej pomocy od innych krajów nie było nigdy w naszej historii. Jest pięć krajów, które są podatnikami netto w skali UE. To z ich strony wyraz solidarności. Ale poziom tej pomocy nie może być zbyt duży. Tymczasem nie tylko Polska, ale także Hiszpania, Włochy czy Francja chciałyby rozwiązań, które dopuściłyby możliwość dodatkowej pomocy na ich rzecz ze strony Niemiec i kilku innych krajów poprzez instrument obligacji ogólnoeuropejskich. To jest teraz dla tych krajów nie do zaakceptowania, bo o polityce fiskalnej decydują narodowe parlamenty. Budżet europejski to zaledwie niecałe 1 proc. PKB UE, więc odgrywa rolę marginalną. Istnieją kryteria stabilności z Maastricht, które mają obowiązywać wszystkich, ale nie są zawsze i ściśle przestrzegane. W tradycyjnym systemie społeczeństwo wybiera parlament, a parlament dyscyplinuje rząd. W skali UE Parlament Europejski ma symboliczny charakter, nie ma dużych możliwości dyscyplinowania kogokolwiek. Zaś Komisja Europejska jest ciałem, które może być określane jako europejski rząd, ale podlega Radzie Europejskiej, czyli szefom państw członkowskich, a nie unijnemu parlamentowi. Jeżeli chodzi o instytucje polityczne UE, to jesteśmy na bardzo wczesnym etapie budowy struktur ogólnoeuropejskich. Dalszy postęp musi uwzględniać zastrzeżenia i obawy. Procesy integracyjne nie mogą być raptowne, wystarczy spojrzeć na przykład USA. Tam pełna integracja zajęła ponad wiek, przy czym wciąż mamy rządy i prawa stanowe. W przypadku Europy proces musi być wolniejszy, tym bardziej że tutaj zróżnicowanie narodowe i kulturowe jest większe, niż było w USA.

KB: Ale w dziedzinie energetyki skutki dzisiejszych decyzji przyniosą konsekwencje na dziesięciolecie. Oczekiwanie, by główni europejscy gracze myśleli w kategoriach interesów wszystkich członków UE, jest strategicznie uzasadnione.

SG: Unia Europejska chciałaby większej integracji na rynku energetycznym. Natomiast proszę pamiętać, że mamy sektor prywatny. Jeżeli niemiecki przemysł chce większego i łatwiejszego dostępu do energii rosyjskiej, to pojawia się pytanie, do jakiego stopnia instytucje polityczne mogą się temu przeciwstawiać. Reguły nie są tak ścisłe i precyzyjne, żeby na ich podstawie podejmować decyzje. Weźmy na przykład kwestię podatkową. W interesie Polski leży utrzymanie systemu podatkowego nieco innego niż w wielu krajach, a mianowicie bardziej liberalnego. Zależy nam na niższym podatku CIT, aby przyciągnąć inwestorów zagranicznych, i to się nie podoba Niemcom i Francuzom. Nie wszystkim również podoba się to, że polscy kierowcy za prace przewozowe w Europie Zachodniej otrzymują polską płacę. Bo to zagraża zdrowej konkurencji. Reguły nie są zatem tak precyzyjne, aby Komisja Europejska była zmuszona do działań. Eliminacja barier celnych spowodowała, że handel między krajami Unii stał się bardzo dynamiczny. Do Polski napłynęło mnóstwo inwestycji zagranicznych. Eksport firm, w których dominuje kapitał zagraniczny, to około połowa całego polskiego eksportu. Sukces Polski na rynkach międzynarodowych jest w dużym stopniu wynikiem napływu kapitału zagranicznego do naszego kraju. Ten sukces wymógł również dostosowania technologiczne w polskich przedsiębiorstwach, więc jest czynnikiem stymulującym innowacyjność. Dziś PKB na mieszkańca Polski to około 55 proc. tego, co w Niemczech, i blisko połowa tego, co w USA. To poziomy około dwa razy wyższe niż w 1989 r. Sukces jest wynikiem m.in. wejścia Polski do UE.

KB: Agencja ratingowa Fitch utrzymała niedawno ocenę Polski na dotychczasowym, dobrym poziomie, uzasadniając to między innymi pozytywnymi efektami konsumpcyjnymi wynikającymi z wprowadzenia programu 500+. Jak to możliwe, że reforma 500+, określana przez krytyków jako populizm i bezmyślne rozdawnictwo, przynosi efekt w postaci wzrostu notowań polskiego rynku z perspektywy oceny potencjalnych inwestorów zagranicznych – wszak przede wszystkim do nich adresowane są oceny ratingowe – co teoretycznie przekłada się na rozwój gospodarczy?

SG: Agencje ratingowe biorą pod uwagę przede wszystkim te czynniki, które mają wpływ na stabilność gospodarki. Dla nich bardzo ważna jest stabilność w finansach publicznych, zdolność kraju do finansowania swojego importu oraz zdolność do obsługi długu zagranicznego, zarówno publicznego, jak i prywatnego. Jeżeli warunki stabilności są spełnione, to agencja nie ma nic przeciwko temu, że kraj przeznacza więcej pieniędzy na cokolwiek. Szczególnie na dzieci, bo inwestowanie w nie to możliwość wy-

korzystania talentów, stabilność socjalna i społeczna. To może się przełożyć na lepsze wyniki gospodarcze i większą innowacyjność w przyszłości. W Polsce dużym zagrożeniem jest zmniejszanie się liczby ludności. Przeciwdziałanie temu procesowi musi być postrzegane przez agencję Fitch jako pozytywne. Dopóki program 500+ nie oznacza dla Polski wejścia w obszar nadmiernego deficytu i nadmiernego zadłużenia, nie ma powodu, żeby go kwestionować. Oczywiście można się zastanawiać, czy to jest dobry program, czy jest w wystarczającym stopniu efektywny, skoro rząd przewiduje zwiększenie liczby urodzeń o 30 tys. rocznie, a chodzi o 150 tys. Niestety, działania, które wpływają w sposób znaczący na wzrost liczby urodzeń, są bardzo kosztowne. Nie dziwię się zatem analitykom zewnętrznym, także polskim ekonomistom i niektórym partiom politycznym, że podają w wątpliwość efektywność programu 500+.

KB: Pan profesor był w ścisłym gronie osób wprowadzających w Polsce transformację ekonomiczną. Czy w dobie kreowania systemowych zmian rozpatrywany był jakiś alternatywny projekt względem planu Balcerowicza?

SG: Moje zainteresowanie Polską nasiliło się na początku lat 80., kiedy weszliśmy do systemu Bretton Woods. W 1985 r. byłem akurat profesorem na Uniwersytecie Pensylwanii w Filadelfii i tam skontaktowałem się z mną departament europejski Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW). Zaproponowano mi, żebym został doradcą MFW do spraw Polski. W szczególności chodziło o wprowadzenie korekt do reform Belki i Sadowskiego. Przygotowałem odpowiedni dokument i MFW próbował przekonać rząd Jaruzelskiego do wprowadzenia w życie zawartych w nim propozycji. Jednak ze strony Polski nie było dużego zainteresowania, bowiem zalecenia zawarte w dokumencie mogły w opinii ówczesnych władz spowodować duże koszty polityczne, a rząd w połowie lat 80. nie był jeszcze przygotowany na dzielenie się władzą z Solidarnością, a tym bardziej na oddanie władzy. Sytuacja się zmieniła po wyborach w czerwcu 1989 r., a nawet rok wcześniej – gdy Gorbaczow ogłosił, że doktryna Breżniewa już nie obowiązuje. To dramatycznie zmieniło sytuację Jaruzelskiego, który nie mógł już utrzymywać, że wprowadzenie zasad demokracji grozi nam inwazją militarną. To z kolei spowodowało zmianę podglebia politycznego, najpierw w Polsce, a później w całej Europie Centralnej. We wrześniu 1989 r. powołany został rząd Mazowieckiego. Już wcześniej przez wiele lat miałem kontakt z Balcerowiczem i wiedziałem, że jego poglądy są bliskie moim. Na początku 1989 r. przy „stoliku ekonomicznym” podczas obrad Okrągłego Stołu nie było Balcerowicza. Zakładano wtedy, że w zasadzie nadal rządzić będzie PZPR ze swoimi sojusznikami, a Solidarność nie będzie współtworzyć rządu. W rozmowach Solidarność występowała w roli związku zawodowego, a nie partii politycznej. Dopiero latem 1989 r. pojawiła się zdolna do utworzenia rządu koalicja Solidarności z dwoma dotychczasowymi sojusznikami PZPR, która w sierpniu



Myślenie grupy, która tworzyła program gospodarczy rządu Mazowieckiego, koncentrowało się na szybkim wyjściu

z kryzysu, przestawieniu ogólnej orientacji gospodarczej i instytucjonalnej ze wschodniej na zachodnią i na wprowadzeniu gospodarki na ścieżkę wzrostu.

powołała Mazowieckiego na premiera, a ten we wrześniu utworzył rząd koalicyjny wszystkich partii. W międzyczasie sytuacja gospodarcza uległa drastycznemu pogorszeniu. Potrzebne było całkiem nowe podejście do polityki gospodarczej i reform.

Myślenie grupy, która tworzyła program gospodarczy rządu Mazowieckiego, koncentrowało się na możliwie szybkim wyjściu z kryzysu, przestawieniu ogólnej orientacji gospodarczej i instytucjonalnej ze wschodniej na zachodnią i na wprowadzeniu gospodarki na ścieżkę wzrostu. Na dłuższą metę chodziło nam o zbudowanie konkurencyjnej gospodarki rynkowej z dominującą rolą sektora prywatnego. Ale w pierwszych miesiącach trzeba było myśleć przede wszystkim o tym, jak sobie poradzić z szalejącą inflacją, jak możliwie szybko wyeliminować niedobory (czyli kolejki), jak doprowadzić do poprawy sytuacji w finansach publicznych, jak uregulować sytuację finansową między Polską i wierzycielami (krajami i bankami) i co zrobić z międzynarodową wymianą handlową (Polska była przecież w systemie RWPG, do którego kierowano większość eksportu, a RWPG się rozpadało). To były problemy całkiem inne niż te omawiane wiosną 1989 r. Rzeczywiście, współpracowałem bardzo blisko z Leszkiem Balcerowiczem, który formułował różne pytania i oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Opublikowałem niedawno trzy tomy dokumentów z tamtego okresu (Wydawnictwo Naukowe Scholar), można się zatem zapoznać z naszym sposobem myślenia i kierunkami działań, które zostały wtedy obrane. Ja sam współpracowałem ze wszystkimi rządami od 1989 do 2002 r. Na początku transformacji nie mieliśmy kilku różnych projektów strategicznych – chodziło o to, żeby w wyniku reform polska gospodarka była zbliżona do gospodarki zachodniej. Niezbędne było wprowadzenie szybkiej liberalizacji cen oraz wymiennej złotówki, powiązanie cen krajowych z cenami międzynarodowymi poprzez wolną wymianę handlową, odejście od licencji w handlu międzynarodowym i od subsydiowania większości gospodarstw domowych oraz

wielu przedsiębiorstw na dużą skalę. Kwestia subsydiowania to był ważny problem polityczny. Przed 1989 r. łączne subsydia dla gospodarstw domowych i przedsiębiorstw stanowiły około 20 proc. PKB. W krajach zachodnich to zwykle jakieś 2–3 proc. Nasz program oznaczał zmniejszenie subsydiów do poziomu około 4 proc. Wiadomo, że to wymagało radykalnych cięć i bardzo dużych podwyżek społecznie wrażliwych cen. Skoro wprowadziliśmy stały kurs wymienny, zależało nam, aby złotówka cieszyła się zaufaniem. A z tym był problem. W sierpniu 1989 r. rynkowa cena dolara była tak wysoka, że średnia pensja wynosiła zaledwie 20 dolarów miesięcznie. Więc ten skrajny stopień braku zaufania do krajowej waluty był nie do zaakceptowania, bo oznaczał także brak zaufania do polityki rządu. Parę miesięcy później, 1 stycznia 1990 r., został wprowadzony sztywny kurs dolara i zastanawialiśmy się, czy gospodarstwa domowe uwierzą, że ten kurs będzie trwał. Czy nie zażądają wypłaty swoich oszczędności zgromadzonych na kontach dolarowych, których suma wynosiła około 5 mld dolarów, zaś NBP miał w swoich rezerwach trochę poniżej 2 mld dolarów. Przedsiębiorstwom państwowym (miały na kontach około 2,5 mld dolarów) można było zamienić oszczędności dolarowe na złotówkowe po oficjalnym kursie. One zresztą z tego skorzystały, bo ich sytuacja finansowa była trudna. Natomiast jeżeli coś spędzało nam sen z powiek, to reakcja gospodarstw domowych. Trzeba było podjąć jakieś działania. Jednym z nich było wprowadzenie bardzo wysokich stóp procentowych od oszczędności złotych, a równocześnie bardzo niskich stóp procentowych od oszczędności dolarowych. Ta różnica wystarczyła, aby gospodarstwa domowe utrzymywały na kontach swoje oszczędności dolarowe i równocześnie budowały oszczędności złote. Pozytywną niespodzianką był duży dopływ dolarów od Polaków pracujących za granicą. Wracali oni do kraju i zaczęli zakładać swoje przedsiębiorstwa – w sumie około 1,5 mln w ciągu dwóch lat. Oszczędności Polaków w walutach wymienialnych zgromadzone za granicą były sprzedawane krajowym bankom, a w końcu NBP. Rezerwa walutowa NBP wzrosła wielokrotnie już w 1990 r. Na początku 1991 r. odbyła się konferencja ekonomiczna, na którą przyjechali między innymi Rosjanie. Pytali, jak to możliwe, że mamy nadal wysoką inflację, a pomimo tego kurs rynkowy dolara jest bardzo bliski kursowi oficjalnemu, który Polska utrzymuje na niezmiennym poziomie. W dodatku rezerwy walutowe rosły i nie było potrzeby wprowadzania żadnych restrykcji na sprzedaż dolarów. Wyjaśniłem, że to działania w polityce fiskalnej (zerowy deficyt budżetowy w 1990 r.) i monetarnej (wysokie stopy procentowe) wystarczyły, aby zachować stabilność kursu. Tą polityką chcieliśmy przekonać potencjalnych przedsiębiorców, że reforma rządu Mazowieckiego jest zasadniczo inna od poprzednich i że ma sens inwestowanie ich własnych oszczędności i tworzenie nowych biznesów. Ogromna eksplozja polskiej przedsiębiorczości była dla nas potwierdzeniem skuteczności wybranej drogi transformacji. Dzięki niej koszt transformacji w Polsce nie był tak duży, jak w innych krajach.

KB: Czy dziś, po tych 30 latach, gospodarka liberalna jest nadal najlepszym sposobem wzrostu bogactwa narodów?

SG: Demokracja polityczna polega na tym, że cały czas mamy konkurencję między różnymi opcjami politycznymi, a co pewien czas mamy wybory i w ich wyniku powoływane są kolejne parlamenty i rządy. Zwolennicy każdej innej opcji niż przyjęta w Polsce w latach 1989–1993 mieli szansę wprowadzić daleko idące zmiany. Pewne korekty zostały wprowadzone, ale były one umiarkowane.

Jeśli spojrzymy na historię powojenną Europy Zachodniej, to widzimy, że dokonywane zmiany były różnokierunkowe, ale wokół wolnorynkowego trendu. W okresie II wojny światowej państwo odgrywało bardzo dużą rolę ekonomiczną, w wielu krajach miała miejsce znaczna nacjonalizacja przedsiębiorstw. W okresie tuż powojennym było bardzo dużo ludzi biednych i pojawiła się ogromna potrzeba pomocy socjalnej. Wprowadzono więc wysokie stopy podatkowe od dochodów. W przedsiębiorstwach dużą rolę odgrywały związki zawodowe. Ale w latach 70. i 80. wprowadzono w krajach UE dużo reform prorynkowych, ograniczających rolę państwa i związków zawodowych. Równocześnie utrzymano, a niekiedy nawet podniesiono, stopień redystrybucji dochodów, zwiększając nakłady na szkolnictwo i ochronę zdrowia oraz wprowadzając ubezpieczenia społeczne, w tym zasiłki dla bezrobotnych. Do czasów rządów Thatcher Wielka Brytania była postrzegana jako chory kraj Europy. W latach 80. wprowadzono gruntowne reformy, które z czasem zaczęły przynosić rezultaty, i obecnie Wielka Brytania znów jest postrzegana jako kraj sukcesu gospodarczego, z dochodem na mieszkańca zbliżonym do tego, który mamy w Niemczech czy Francji.

Wciąż większość społeczeństw akceptuje wysokie płace dla osób o wysokich kwalifikacjach. W okresie powojennym pomoc państwa polegała głównie na finansowaniu szkolnictwa. Chodziło o to, aby kapitał talentu w poszczególnych krajach mógł być wykorzystany, a jest to możliwe tylko wtedy, gdy ludzie biedniejsi będą mieć dostęp do dobrego szkolnictwa. W każdym społeczeństwie mamy duże zróżnicowanie talentów, a ono przekłada się na duże zróżnicowanie dochodów. Ten porządek świata jest nadal akceptowany, jednak nie można mieć pewności, że tak będzie dalej.

W mojej ogólnej teorii rozwoju gospodarczego sugeruję, że okres bardzo szybkiego rozwoju, z jakim mieliśmy do czynienia w gospodarce światowej przez ostatnie dwa stulecia, będzie trwał jeszcze przez jeden lub dwa wieki. W tym czasie będziemy mieli do czynienia z superfluktuacją tempa rozwoju w skali światowej i historycznej, bo z tempem wzrostu światowego PKB na mieszkańca (obecnie 1,2–1,5 proc. rocznie) około 15–20 razy wyższym niż w poprzednich wiekach.

W tym wieku nastąpi prawdopodobnie moment, w którym zatrzyma się wzrost liczby ludności na świecie. Natomiast jeśli chodzi o tempo wzrostu PKB na mieszkańca, wciąż są jeszcze

spore różnice między krajami rozwiniętymi i rozwijającymi się. W ostatnich dwóch wiekach doszło do wyczerpania możliwości wzrostu zatrudnienia w sektorze badawczo-rozwojowym (R&D) w krajach technologicznie najbardziej rozwiniętych (USA, UE, Japonia, Kanada). Dwa wieki temu bardzo niewielu zdolnych ludzi miało odpowiednie wykształcenie i możliwość zajmowania się innowacyjnością, a dziś doszliśmy do poziomu, w którym możemy w pełni wykorzystać zasoby talentu do innowacyjności. Mamy jeszcze bardzo dużo niewykorzystanego talentu w takich krajach, jak Chiny i Indie. Zatem w skali światowej nadal odnotowujemy dużo wyższe tempo wzrostu sektora R&D niż sektora konwencjonalnego. To podtrzymuje dotychczasowe tempo wzrostu globalnej gospodarki. Jeszcze w tym wieku dojdzie jednak do pełnego wykorzystania zasobów talentu do innowacyjności w skali globalnej, co w połączeniu ze stabilizacją liczby ludności rozpocznie spowalnianie wzrostu gospodarki światowej. Za jakiś czas wrócimy do bardzo niskiego tempa rozwoju, z jakim mieliśmy do czynienia przez tysiąclecia. Tyle że poziom PKB na mieszkańca będzie dużo (kilkadziesiąt razy) wyższy niż dawniej.

Trend popierania programów liberalnych wynika zapewne z przekonania wyborców, że jest to najskuteczniejszy sposób na poprawę ich materialnego poziomu życia. Ale ta ocena może się zmienić, kiedy tempo wzrostu gospodarczego będzie znów bliskie zeru. Wtedy może pojawić się duża presja na zmniejszenie – poprzez system podatkowy – zróżnicowania dochodów oraz bogactwa na osobę. Warto zauważyć, że mimo istnienia gospodarki liberalnej transfery socjalne systematycznie rosną. Wieku temu takie transfery były dużo niższe, a dwa wieki temu w świecie zachodnim szkolnictwo i służba zdrowia w ogóle nie były finansowane ze środków publicznych. Dziś wydatki publiczne w stosunku do dochodu narodowego są w Chinach i Indiach relatywnie niskie, więc prawdopodobnie będą rosły. Widać duże różnice między krajami w podejściu do zadowalającego tempa rozwoju. W Chinach mamy wyjątkowo duże wydatki inwestycyjne, w Europie – wyjątkowo wysokie transfery socjalne. Chiny na papierze wydają się być dużo bardziej socjalistyczne niż Europa, zaś w praktyce polityki gospodarczej – dużo bardziej kapitalistyczne, a w każdym razie mocno zainteresowane wzrostem gospodarczym.

Nawet w Polsce mamy teraz konflikt między programem Morawieckiego, który akcentuje potrzebę wzrostu udziału inwestycji w dochodzie narodowym, i faktycznym programem wyborczym PiS, który kładzie nacisk na wzrost udziału konsumpcji. Wybór polityki gospodarczej Chin, które postawiły na bardzo szybki rozwój gospodarczy, ma charakter dramatyczny. Od czasów Deng Xiaopinga, czyli od końca lat 70., dominuje tam myślenie o potrzebie doświadczenia w ciągu kilku generacji najbardziej rozwiniętych krajów świata. W Chinach poziom PKB na mieszkańca to teraz jedna czwarta poziomu amerykańskiego, więc obecna strategia w polityce gospodarczej zapewne będzie tam kontynuowana jeszcze przez wiele lat.

O stanie demokracji w Polsce i Europie, zagubieniu rządzących oraz partiach politycznych jako ośrodkach dezinformacji z prof. **Radosławem Markowskim** rozmawia Kamil Broszko.

Radosław Markowski

(ur. 1957 r.) – socjolog, politolog, profesor nauk społecznych, nauczyciel akademicki. Specjalizuje się w porównawczych naukach politycznych i analizie zachowań wyborczych. Laureat socjologicznej Nagrody im. Stefana Nowaka (2007 r.) oraz nagrody Amerykańskiego Stowarzyszenia Nauk Politycznych (APSA). Dyrektor Centrum Studiów nad Demokracją Uniwersytetu SWPS. Profesor wizytujący amerykańskich uniwersytetów, m.in. Duke, Wisconsin-Madison, Rutgers, a także tzw. powracający profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie (CEU). Członek redakcji czasopism politologicznych (m.in. „European Journal of Political Research”, „European Union Politics”, „Political Studies”). Przez pięć kadencji zasiadał w Radzie Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) jako przedstawiciel różnych instytucji.

Nie jesteśmy demokratycznym państwem prawa

Kamil Broszko: Panie profesorze, jesteśmy w Centrum Studiów nad Demokracją, więc to chyba najlepsze miejsce, żeby zapytać, jaki jest jej stan w Europie i w Polsce.

Radosław Markowski: Powinniśmy zacząć od kontekstu. Demokracja liberalna ma się dobrze. W Europie Zachodniej nic jej nie zagraża, choć pojawiły się nowe problemy. Zdominowanie publicznego dyskursu przez tzw. *public intellectuals* (osoby publiczne uznawane za intelektualistów przez ogół społeczeństwa) i ich wiara w fenomenologiczny wgląd w istotę procesów społecznych to problem, nad którym należy się zastanowić. Natomiast rzetelne badania naukowe nie wskazują, by Europejczyk demokrata odrzucał demokrację. Z naszych badań (opisanych na przykład w książce

pt. „How Europeans View and Evaluate Democracy?”, Oxford UP, 2016, pod red. M. Ferrin i H. Kriesiego) wynika, że dwa elementy modelu liberalnego są uniwersalnie akceptowane przez współczesnych Europejczyków, mianowicie wolne i uczciwe wybory oraz rządy prawa. Pojawia się, co prawda, nowy element – oczekiwanie większej redystrybucyjnej sprawiedliwości demokracji – ale jest on uzupełnieniem modelu liberalnego, a nie jego substytutem. W Europie widać nieco więcej retoryki ksenofobicznej, radykalizmu i niepewności odnośnie migrantów, ale kiedy dochodzi do najważniejszych rozstrzygnięć, demokracja liberalna wygrywa. Dlatego porażkę poniósł Geert Wilders, sromotną porażkę poniosła Marine Le Pen, choć wszyscy kandydaci na autokratów w regionie modlili

się o jej zwycięstwo. W drugiej turze przegrała 34 do 66 proc. Skalek kłęski widać choćby po tym, że dziś Le Pen zastanawia się nad zmianą nazwy partii i wycofuje się z absolutnie pryncypialnego punktu swojego programu w polityce francuskiej, czyli rezygnacji z euro i powrotu do franka. W międzyczasie we włoskich wyborach lokalnych populiści również ponieśli porażkę, a za chwilę w Niemczech dwie główne partie zawiążą wielką koalicję i zneutralizują radykalne pomysły marginesu osiagającego około 10-proc. poparcie. Nie inaczej jest w Skandynawii czy na Półwyspie Iberyjskim. Pod koniec roku zobaczymy Europę, która wraca do swoich sprawdzonych przez dziesięciolecia tradycji. Oczywiście mieliśmy poważny kryzys gospodarczy, a procedury demokratyczne częściowo zawiodły. Daleki jestem od twierdzenia, że nic się nie stało. Popelniono błędy. Być może było to bezkrytyczne otwarcie się na uchodźców. Może

należało ten projekt lepiej przemyśleć. Ale Europa Zachodnia wciąż ma się dobrze. Straszne opowieści o panoszeniu się terroryzmu to bajki. Dzisiejsze ataki to jedna dziesiąta tego, co działo się w Europie w latach 70. i 80. (nawet nie uwzględniając irlandzkiej wojny domowej). Niemiecka Frakcja Czerwonej Armii, włoskie Czerwone Brygady, ETA – to były organizacje siejące okropne zniszczenie. Warto też wspomnieć, że jeśli zdarzy się w naszym kraju jakiś przejaw terroryzmu, to będziemy mogli za to podziękować PiS, bowiem jest autorem przedstawienia naszego kraju na arenie międzynarodowej jako bezkrytycznego lizusa Ameryki. Do tej pory postrzegano nas jako kraj, który uczestniczy wprawdzie w operacjach międzynarodowych, ale raczej odpowiada za logistykę, budowanie szpitali itp. Teraz, po hucpie urządzonej u nas z prezydentem Trumpem, jest wysoce prawdopodobne, że świat islamu może uznać Polskę za – jak to nazywa – najwinniejszego psa Ameryki.

KB: A Brexit to święto czy kryzys demokracji?

RM: Ci Brytyjczycy, którym powinno najbardziej zależeć na pozostaniu w Unii Europejskiej, zagłosowali za Brexitem i poniosą tego konsekwencje. Pierwsze poważne raporty mówią o trzech zmianach: spadła średnia płaca, spadł bilans migracyjny i większość organizacji międzynarodowych rozważa wyjście z rynku brytyjskiego. Krótko mówiąc, Wielka Brytania jest w opałach, choć Brexit jeszcze się na dobre nie zaczął. Mówię to z przykrością, mam tam wielu przyjaciół... Notabene Brexit wygrał, ponieważ młodzi jakoś nie skojarzyli, że trzeba pójść zagłosować. Aż 80 proc. z nich chciało pozostać w UE, ale na referendum poszło tylko 30 proc. Starszych poszło 70 proc., ale w tej grupie 80 proc. chciało wyjścia z UE. Zauważmy, że Wielka Brytania miała być największym

sojuszniakiem rządu PiS w UE. A teraz sojuszniak znika. Zresztą nawet gdyby pozostał w UE, niewiele by nas łączyło, bo nie mamy podobnych interesów w polityce rolnej, energetycznej, makro-gospodarczej itd. PiS znów popełnił strategiczny błąd wynikający z braku rozeznania w świecie polityki.

KB: Jak na tym europejskim tle przedstawia się stan demokracji w Polsce?

RM: W Polsce mamy do czynienia z paradoksem. Zdecydowana większość Polaków zarówno sprzyja liberalnej wersji demokracji, jak i jest euroentuzjastyczna. Problem w tym, że owe 18,6 proc. Polaków, które poparło PiS, doprowadziło do władzy polityków rozmontowujących konstytucyjny ład Rzeczypospolitej, w tym podstawowe elementy demokratycznych fundamentów. Co więcej, moje ostatnie

badania (z lipca 2017 r.) wskazują, że to właśnie wśród elektoratu PiS jest zdecydowanie najwięcej osób, które demokracji przypisują cechy reżimów niedemokratycznych (wpływ religii na stanowienie prawa, wojsko przejmujące władzę, gdy rząd jest „niekompetentny”, powinność posłuszeństwa wobec rządzących). Jest to jednocześnie elektorat, który – w porównaniu z innymi elektoratami – rzadziej czyta, jest gorzej wykształcony, ma niższe dochody, nie radzi sobie z własnym gospodarstwem domowym. Podkreślam, że to nie jest ocena, a opis wynikający z badań. Krótko mówiąc, kulturowy kapitał znacznej części elektoratu PiS nie pozwala mu zrozumieć, że to, co czyni PiS, nie jest budowaniem demokracji, a wręcz odwrotnie. Inna sprawa, czy mogliśmy zrobić więcej, aby ci ludzie sobie radzili

lepiej i więcej rozumieli. Natomiast dynamika zmiany w ciągu ostatnich 25 lat jest w Polsce rekordowa na tle innych krajów regionu. Bardzo szybko doganiamy Czechy, przez wiele lat ekonomicznego lidera w regionie. W 2013 r. przegoniliśmy Węgry w PKB per capita, który oczywiście nie jest jedynym, lecz bardzo istotnym wskaźnikiem możliwości kraju. A przypomnę, że w 1989 r. polski PKB per capita wynosił niewiele ponad połowę węgierskiego. Podwojenie PKB w stosunku do Węgier to z jednej strony nasz skok rozwojowy, a z drugiej – smutny obraz kraju pod rządami Orbana, który w praktyce rządzi już 11 lat. Na Węgrzech demokracja ma się bardzo źle, zwłaszcza w tym wymiarze klientelistyczno-korupcyjnym. Nastąpiło totalne zawłaszczenie gospodarki przez kleptokratyczną grupę polityczną – na prowincji nie można dostać pracy, jeżeli się nie należy do partii. To jedyny kraj z wyszehradzkiej czwórki, w którym pogarsza się bardzo wrażliwy wskaźnik biedy dzieci do lat siedmiu.

Polska, niestety, również idzie tą drogą. Warto przywołać opinie międzynarodowych gremiów. Nie myślę się Komisja Wenecka, Unia

W Polsce partie,
które proponują
w wielu kwestiach
podobne rozwiązania,
kłócą się bardziej
niż gdzie indziej partie
o zasadniczo
odmiennych
programach. Mamy
zatem sytuację matni:
konflikt uniwersum
znaczeń i języka.

Europejska, Departament Stanu USA i międzynarodowe organizacje monitorujące praworządność (np. Freedom House, Indeks Bertelsmanna, World Justice Forum). Polska podąża śladem Orbana. Jeśli przyjmujemy, że trójpodział władz i niezależność Trybunału Konstytucyjnego jest osiowym komponentem pojęcia demokracji, to w Polsce już jej nie mamy, gdyż Trybunał Konstytucyjny stał się atrapą. Podobnie pan prof. Adam Strzembosz – monumentalna postać polskiej prawicy, człowiek, który dwukrotnie był proszony przez Jarosława Kaczyńskiego i raz kandydował na prezydenta RP – nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że już nie jesteśmy demokratycznym państwem prawa. Ktoś może ignorować opinie z zewnątrz, twierdząc, że mamy tutaj swój ogródek. Otóż nie. Dziś świat jest globalny, od moźnych tego świata zależy również nasz los, a moźni czytają rankingi i wyciągają wnioski. Oczywiście jest kapitał spekulacyjny, który z chęcią przychodzi do Orbanów i Kaczyńskich, bo wie, że może mieć dzięki nim specjalne deale. W perspektywie krótkoterminowej to nawet może być korzystne dla gospodarki, ale w dłuższej kończy się zazwyczaj dramatycznie.

KB: Dla kapitału ma w ogóle znaczenie realna demokracja czy raczej zachowanie pewnych pozorów wizerunku, skoro w najlepsze kwitnie współpraca globalnych przedsiębiorstw i banków z putinowską Rosją, z Chinami, w których jeszcze niedawno urządzano egzekucje na stadionach, czy z niektórymi satrapami afrykańskimi?

RM: To złożony temat – są różne kapitalizmy i różne ich skutki. Z jednej strony w niektórych krajach i regionach świata mamy wzrost nierówności, ale nie można też zapominać, że to kapitalizm wydobyl z potwornej biedy kilkaset milionów ludzi w Azji, głównie w Chinach, o czym znów intelektualiści gardzący empirią i liczbami zapominają i biją w kapitalizm na oślep. Zostawmy jednak sprawy globalne i wróćmy do Polski. Przypomnijmy, że w ćwierćwieczu tego fantastycznego rozwoju III RP do pewnego momentu nierówności rosły (bo musiały), osiągając swój szczyt na początku XXI w., by potem systematycznie spadać, również w ostatnich latach. Ten rozwój polskiego kapitalizmu doprowadził też do znikomego bezrobocia oraz w 2015 r. do zaniku inflacji. Od 2015 r. mamy jednak problem polegający na tym, że państwo polskie poprzez pokazywanie światu, iż nie ceni trójpodziału władz i niezależności sądownictwa, może być niebezpieczne dla kapitału. Gdybym był zachodnim przedsiębiorcą (szczególnie małym lub średnim), obawiałbym się nie tylko braku niezależności sądów, lecz także retoryki repolonizacji i nacjonalizmu gospodarczego. Niby jest okazja, żeby zarobić, ale jeżeli zostanie uchwalone prawo działające wstecz, to zanim mój rząd się o mnie upomni – zbankrutuję. Natomiast wielki kapitał, który może bezpośrednio zapukać do Morawieckiego i dostać gwarancję ochrony, ma podstawy, by czuć się pewnie.

KB: Popularna jest taka publicystyczna figura, która polega na porównywaniu rządów PiS do sytuacji w Republice

Weimarskiej lub Korei Północnej. Czy pan profesor zgadza się z taką interpretacją?

RM: Nie zgadzam się z porównaniami do Korei Północnej. Nie widzę tutaj punktów wspólnych. Gdyby natomiast przeanalizować sytuację Republiki Weimarskiej czy Włoch w latach 20. XX w. (uwzględniając rozróżnienie między nazizmem i faszyzmem, z czym wiele osób w Polsce ma niestety problem), to asocjacje z polityką PiS są klarowne: korporacjonizm (uświęcony przez silny Kościół), rugowanie pluralizmu, przedkładanie interesu państwa nad interes społeczeństwa. Kiedy zatem mówiąc „faszyzm”, mamy na myśli lata 40. XX w., Oświęcim itp., to oczywiście obecna sytuacja w żadnym stopniu nie jest podobna do tamtej. Ale przypomina wydarzenia z końca lat 20., kiedy coraz częściej chodzono w rytm marszu, coraz bardziej paramilitarne bojówki kontrolowały sytuację na ulicach, coraz dokładniej przyglądano się „innym”. Pisałem o tym niedawno wraz z Władysławem Frasyniukiem w „Rzeczpospolitej” (wydanie z 24 lipca 2017 r.) – korzystałem z mądrości Timothy’ego Snydera („O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku”) oraz Umberto Eco. Gdyby ponadto wziąć pod uwagę niechęć do prawdy obiektywnej, kwestionowanie przyczynowości, odwrót od nauki i racjonalnego dowodzenia, używanie prostego języka, szukanie wrogów, nietolerancję dla odmienności, trzeba stwierdzić, że w Polsce występują niepokojące symptomy.

KB: Polska jest podzielona na dwa mniej więcej równe światy – powiadają socjologowie, wskazując na negatywne cechy owego podziału i destrukcję tkanki społecznej. Ale może podział społeczeństwa jest właśnie dobry, bo zabezpiecza przed dewiacją władzy?

RM: Znakomitą cechą demokracji jest to, że pomimo podziałów społecznych (wszak to naturalne, że ludzie wyznają różne wartości i mają odmienne interesy) zachowany jest ład społeczny. Wybory wygrywają różne obozy polityczne – przychodzi do władzy prawica i robi dobrze inflacji, przychodzi lewica, odpuszcza inflację, ale za to zmniejsza bezrobocie. W uproszczeniu: jeden obóz jest redystrybucyjny, drugi opowiada się za dyscypliną fiskalną i niskimi podatkami. Sytuacja polaryzacji polega na tym, że te dwa obozy bywają skrajne (jak w latach 60. XX w.) i bardzo się różnią programowo. U nas zaś jest taka specyfika, że partie, które proponują w wielu kwestiach podobne rozwiązania, kłócą się bardziej niż gdzie indziej partie o zasadniczo odmiennych programach. Mamy zatem sytuację matni: konflikt uniwersum znaczeń i języka. I w związku z tym możliwości porozumienia są coraz mniejsze. Skąd to wiemy? W światowej politologii zwracaliśmy zazwyczaj uwagę na wyborców źle poinformowanych i dobrze poinformowanych. Natomiast długo pomijana była kwestia wyborców celowo dezinformowanych. Tymczasem partie polityczne są bardzo silnymi ośrodkami dezinformacji. Potrafią wywołać reakcję zaprzeczania wobec najbardziej oczywistych faktów. W 2010 r. w ramach Polskiego Generalnego Studium Wyborczego zadaliśmy pytania na temat

obiektywnych faktów ekonomicznych i politycznych. Pierwsze dotyczyło „zielonej wyspy” (w dobie największego kryzysu jako jedyni w Europie odnotowaliśmy wzrost gospodarczy, o czym poinformowano podczas jednego z najbardziej znanych wystąpień w 2009 r.). W 2010 r. pytamy zatem światłego obywatela, czy to prawda, że Polska w 2009 r. miała wzrost gospodarczy, na poziomie 1,7 proc., jako jedyna w Europie. Odpowiedź 67 proc. elektoratu PiS brzmiała: „to nieprawda”. Zapytaliśmy również, czy w latach 2005–2007, za rządów PiS, spadł poziom przestępczości i korupcji (tak w istocie było). Ponad 60 proc. elektoratu Platformy Obywatelskiej odpowiedziało, że to nieprawda. Najsilniejszym czynnikiem, który wpływał na to, że ludzie zaprzeczali faktom obiektywnym, było silne przywiązanie do partii politycznej, zaś wykształcenie... nie pomaga. U osób wysoko wykształconych, ale równocześnie silnie przywiązanych do partii odrzucanie obiektywnych danych działa nawet jeszcze silniej. Wracając do sedna pytania – polityka demokratyczna polega na podziałach. Dwa obozy widzimy w Skandynawii, w Niemczech, w USA. To obozy, które mają inne pomysły na politykę, ale potrafią ze sobą rozmawiać. Jakies pięć lat temu, kiedy dochodziło po raz drugi do wielkiej koalicji w Niemczech, elektorat pytał, dlaczego partie CDU i SPD mają robić alians, skoro wcześniej przekonywały wyborców, że ich drogi są rozbieżne. Tymczasem dwie wielkie partie przez kilka miesięcy, krok po kroku, pokazywały obywatelowi niemieckiemu, na czym polega kompromis, w jakich obszarach będą ustępować sobie nawzajem i dlaczego to ma sens. To wynika z faktu, że w zachodnich demokracjach programy polityczne są traktowane poważnie. W polskiej telewizji nigdy nie widziałem, żeby którykolwiek dziennikarz rozliczył partię z niezrealizowanego programu. Zaś w Skandynawii czy Europie Zachodniej to działa.

W Polsce uprawnionych do głosowania w ostatnich wyborach było 31 mln ludzi. Na PiS zagłosowało 5,7 mln wyborców, a konkretnie na koalicję PiS z dwiema małymi partiami prawicowymi. Gdyby odjąć te dwie partyjki z poparciem ok. 2 proc., to okazuje się, że poparcie dla PiS wyniosło 32 proc. Tu nie było żadnego wielkiego zwycięstwa, bowiem PiS zawsze miał 28–32 proc. Druga strona – Platforma Obywatelska i Nowoczesna – też miała 32 proc. Właściwie zatem na poziomie wyborów nic wielkiego się nie stało. Natomiast bardzo sugestystycznie PiS przyczynił się do demobilizacji elektoratu PO. I dlatego odniósł sukces. Przy okazji zwyciężył również na wsi, rugując poparcie dla PSL. Po dojściu do władzy PiS przeprowadził natychmiastowy atak na pryncypia demokracji liberalnej i media. To jest zresztą niewyobrażalne, jak w kraju, który uchodzi za demokratyczny, udało się wprowadzić taką monopolizację przekazu w telewizji publicznej.

KB: Rządzący wierzą w ten przekaz?

RM: Kompletnie się zagubili. To wszystko przypomina politykę Becka w latach 1934–1939. Szukanie aliansów od Gruzji, przez Mołdawię, po Ukrainę, Rumunię i Litwę, a odrzucanie tego, co wypracowano w ramach relacji w UE, jest przedszkolem politycznym.

Budowanie potęgi w oparciu o rozwój armii jest dzisiaj archaiczne. Polityczne wiązanie się z rynkiem amerykańskim poprzez nieformalne obietnice zakupu tamtejszych produktów – tak bardzo zachwalanych przez prezydenta USA, który podczas wizyty w Polsce pełnił rolę komiwojażera – jest absurdalne. Niektóre produkty amerykańskie są dobre, a inne nie. Francuskie elektrownie atomowe, farmaceutyka czy pociągi są lepsze od amerykańskich. Lecz nasz rząd zdecydował jednostronnie, by postawić na Amerykę i Donalda Trumpa. Dzisiaj, po kilku miesiącach rządzenia, już wiadomo, że jego decyzje są zupełnie sprzeczne z obietnicami. Wielki kapitał i biznes znowu mają swoje pięć minut na robienie interesów. Do tego dochodzi sułtanistyczny zwyczaj, że członkowie rodziny otrzymują najważniejsze funkcje w państwie. Amerykanie przecierają oczy ze zdumienia. Część republikanów chce się Trumpa pozbyć, tylko nie uważa, by w tej chwili był na to dobry moment. Robienie z takiego prezydenta naszego głównego alianta jest kuriozalne.

KB: Wspomniał pan wcześniej, że demokracja dzieli społeczeństwo. Takim podziałem należy chyba jakoś sensownie zarządzać, bowiem przemiany społeczne mają swoją dynamikę i przy utracie kontroli pewne procesy mogą przybrać nagły i nieoczekiwany obrót...

RM: Opublikowałem 10 lat temu w „Polityce” artykuł, w którym przedstawiłem holenderski model konsocjonalizmu jako możliwy do wdrożenia na gruncie polskim. Przez niemal wiek, do końca lat 60. XX w., istniał tam „filarowy” podział społeczeństwa i polityki na filary: katolicki, protestancki i świecki. Każdy żył w swoim filarze instytucji od urodzenia, przez szkołę, uniwersytet, pracę, aż po grób. Funkcję spoiwa tych trzech filarów pełniły elity i monarchia. Dla Polski, jednorodnej religijnie i etnicznie, proponowałem system wzorowany na funkcjonalnym federalizmie. Obywatele Polski mieliby wybór, czy funkcjonują w logice systemu liberalnego, czy narodowo-katolickiego, czy też socjaldemokratycznego. Nie mam nic przeciwko temu, by ludzie wierzyli, że doświadczenie mistyczne leczy raka, tylko nie chcę ponosić finansowych konsekwencji takiej wiary. Ameryka jest piękna, bo mormoni czy amiszki mogą żyć tak, jak chcą, czyli bez cywilizacji, telefonu, samochodu itd. Ale żyją tak na własny koszt. Tymczasem u nas są gigantyczne transfery z Polski restauratorów, taksówkarzy, drogowców, sklepikarzy, która haruje po 16 godzin dziennie, do Polski, która z różnych powodów nie daje sobie rady i czeka, aż listonosz przyniesie kasę. Wszędzie na świecie istnieje solidaryzm społeczny (choć w różnym stopniu), bogatsi utrzymują biedniejszych, tyle że tam ci biedniejsi nie wyzywają na ulicach bogatszych od zdrajców i ludzi drugiego sortu. Minimum wdzięczności jest wskazane.

KB: Lider PiS z wielkim uporem jest przedstawiany jako człowiek archaiczny, nieobsługujący komputera, nieposiadający konta. Ten obraz jest ekstrapolowany na całe ugrupowanie. Czy jednak opozycjoniści, którzy powtarzają

takie tezy, nie pełnią niechcący roli użytecznych idiotów ze względu na fakt, że partia wydaje się korzystać z najnowszych zdobyczy technologii informacyjnej?

RM: Ta sprawa ma dwa aspekty. Ja od wielu lat mówiłem, że problem jest poważny, bowiem prezes PiS jest cywilizacyjnym analfabetą. Przywódca, który nie korzysta z podstawowych osiągnięć techniki, takich jak konto bankowe czy e-mail, nie prowadzi samochodu itp., musi budzić wątpliwości. Na czym bowiem polega wiedza Jarosława Kaczyńskiego o rzeczywistości? Na informacjach, które są mu podsuwane. Tymczasem nie wszystkie ważne publikacje są tłumaczone na język polski. Nie wyobrażam sobie, aby człowiek nie mógł samodzielnie czegoś sprawdzić na komputerze. To jest ewidentna wada kogoś, kto sprawuje władzę w 40-milionowym kraju. Podobnie jak nieumiejętność rozmawiania w kuliach w języku obcym z przywódcą innego kraju. Natomiast nie mam najmniejszych wątpliwości, że na zapleczu PiS jest gigantyczna technologia, która rozparcelowała społeczeństwo i manipuluje opinią publiczną. Każdej partii wypadałoby życzyć, żeby na jej tyłach stały takie narzędzia, z jakich korzysta PiS; pytanie, czy jest to coś na miarę Cambridge Analytica, czy coś skromniejszego. Jako obywatele powinniśmy się interesować, skąd płynęły i nadal płyną pieniądze na te działania. I czy przypadkiem nową obywatelską postawą nie powinno być bojkotowanie gigantów gospodarczych Skarbu Państwa (Orlen, PZU itp.), które służą teraz nie dobru publicznemu, lecz politycznym złoczyńcom rozmontowującym polską demokrację.

KB: Coraz popularniejsze jest twierdzenie, że przyszły polski lider wyjdzie z Facebooka. To brzmi fajnie i nowoczes-

nie, ale czy nie niesie równocześnie pewnych zagrożeń? Rzeczywistość mediów społecznościowych bywa mocno podkoloryzowana, ba, na krajowego lidera można nawet wykreować awatara.

RM: Kilka lat temu zapoznałem się z działaniem machin partyjnych w USA. Jeszcze około 2000 r. dwie główne partie polityczne miały program dla całego kraju. Później zmieniła się metoda i w następnych wyborach program był dostosowywany do elektoratu według miejsca zamieszkania. Zaś dzisiaj prawdopodobnie mają program, który jest dostosowany do indywidualnego odbiorcy na podstawie jego profilu. Ja sam używam jedynie e-maila i SMS-a. Nie dam się nigdy namówić do korzystania z czegoś tak dramatycznie ograniczającego moją niezależność, jak Facebook. Inna sprawa to intelektualna wartość aktywności w mediach społecznościowych. Kiedyś Stanisław Lem powiedział, że żałuje, iż dożył lat, w których musiał się przekonać, jak potwornie głupi jest homo sapiens. Te 140 znaków na Twitterze niszczy świat, w którym trzeba coś udowodnić, uzasadnić, przeprowadzić jakiś wywód. Można najwyżej opowiedzieć o odczuciach własnych trzewi, stwierdzić, że jest fajnie, albo kogoś obrazić. Spieranie się z innym poglądem i wyłuszczenie argumentów jest niemożliwe. Gigantyczne firmy, które zajmują się manipulacją społeczną na ogromną skalę, nie wzięły się znikąd. To my podaliśmy im jak na tacy swoją prywatność. W Facebooku dramatyczne jest to, że ludzie tworzą grupy bardzo podobnie myślących, które liczą 200, 500, 800 osób. Często nikogo innego nie znają. Później wyłączają komputer, wychodzą na ulicę i dziwią się, że spotykają ludzi inaczej myślących.

KB: Można nie lubić Facebooka, który odziera z prywatności, jednak Obamę i Trumpa łączy to, że przed wygranymi wyborami sumiennie odrobili zadanie z mediów społecznościowych. Macron również jest aktywny w sieci.

RM: Nie wiem, czy Macron zawdzięcza wygraną mediom społecznościowym, natomiast na pewno zawdzięcza ją potężnemu otwarciu francuskiego elektoratu na centrum, ze względu na duże zmęczenie konserwatywną ofertą prawicy i radykalizacją lewicy. Macron to wyczuł i wstrzelił się w tę pustą przestrzeń. Bardzo niska frekwencja (50 proc.) w wyborach we Francji pokazuje jeszcze coś innego. Marine Le Pen, która ma zdeteterminowany elektorat, nawet przy tak niskiej frekwencji nie mogła uzyskać normalnego wyniku. Gdybyśmy mieli typową francuską frekwencję (zazwyczaj ponad 70 proc.), to Marine Le Pen nie dostałaby 12, tylko 8 proc. głosów.

KB: Czy macronizm – jako koncepcję albo choćby styl – będą chcieli wykorzystać jacyś aspirujący krajowi liderzy?

RM: Już teraz jest kilku takich, którzy szykują się, żeby takimi Macronami zostać, w 2019 r. nagle wyjść i zaproponować coś nowego. To nie jest wykluczony, lecz mało prawdopodobny scenariusz. Choć z drugiej strony do wyborów jeszcze sporo czasu i być może jest miejsce na partię nowego typu.





© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Sylwia Chutnik (ur. 1979 r. w Warszawie) – polska kulturoznawczyni, feministka, działaczka społeczna, pisarka, laureatka Paszportu Polityki w kategorii Literatura za rok 2008, trzykrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike (w 2009 r. za „Kieszonkowy atlas kobiet”, w 2013 r. za „Cwaniary” i w 2015 r. za „W krainie czarów”). Jej powieści zostały przełożone na siedem języków. Autorka sztuk teatralnych. Jest absolwentką studiów gender na Uniwersytecie Warszawskim. Doktorantka w Zakładzie Historii Kultury Instytutu Kultury Polskiej UW. Kierowała Fundacją Mama, zajmującą się prawami matek. Jako przewodniczka miejska po Warszawie oprowadza po autorskich trasach śladami wybitnych kobiet. Jej twórczość odwołuje się do tematów feministycznych oraz koncepcji płci kulturowej. Porusza także tematy związane z historią i kulturą Polski. Od listopada 2016 r., w duecie z Grażyną Plebanek, publikuje felietony w „Polityce”. Jest także felietonistką „Gazety Stołecznej”, miesięcznika „Pani” i „Wysokich Obcasów”.

Wierzę w słowa, ale pisanie nie wystarczy

O humanizmie i anarchii, szansach wdrożenia lewicowych postulatów i o ciekawym zwyczaju pisarek z **Sylwią Chutnik** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Przyznawała się pani w wywiadach do rodowodu anarchofeministycznego, a dziś rozczulają panią ostre zadymy uliczne?

Sylwia Chutnik: Nigdy mnie nie satysfakcjonowały zadymy rozumiane jako dążenie do bardzo radykalnego wyrażania swojego zdania. Nigdy też nie byłam przeciwna zadymom o podłożu politycznym. Takim, które są formą i sposobem wyrażenia opinii, na przykład na temat procesów globalizacji podczas szczytu G20 w Hamburgu. Zastanawiam się nad strategią i skutecznością poszczególnych rodzajów protestów i wystąpień. To nie jest kwestia satysfakcji. Nie rajcuje mnie, że płonie samochód. Natomiast rozumiem, dlaczego podejmowane są takie, a nie inne środki – nikt nie zwraca uwagi na protesty o łagodnym przebiegu.

KB: A czy ktokolwiek zwraca w ogóle uwagę na protesty?

SCh: To jest pytanie, które zadają sobie nie tylko protestujący

radykalnie, ale także działaczki i działacze społeczni, choćby podczas zbierania podpisów pod petycją. Sprzeciwianie się pewnym postawom i lansowanie innych jest często naturalnym odruchem. Jeżeli robimy coś zgodnie z własnymi przekonaniami i własnym systemem wartości, a następnie podejmujemy jakieś kroki, to znaczy, że wierzymy w efekty. Trzeba mieć na uwadze, że różnego rodzaju protesty czasami są prowadzone na wielu poziomach. To, co widzimy w przekazach medialnych, czyli demonstracje, szarpaciny, podpalanie czegoś, to sporadyczne aktywności. Natomiast codziennie podejmowane są działania aktywistów społecznych, politycznych, trzeciego sektora, więc zmiany dokonywane są na wielu płaszczyznach. Codziennie odbywają się warsztaty, dyskusje, kampanie społeczne, a raz na jakiś czas coś wybucha.

KB: Nieco inaczej postrzegam ludzi trzeciego sektora, wykonujących pozytywną pracę u podstaw, inaczej

**anarchistów palących samochody, jeszcze inaczej wywo-
dzających się z wymienionych wcześniej środowisk, którzy
idą na kompromisy i próbują wejść do czynnej polityki.**

Czy wspomniane grupy mają jakiś wspólny mianownik?

SCh: Wspólny mianownik prowadzi do uogólnień, które chyba nie są konieczne. Kiedy przyjrzymy się przykładowo protestom przeciwko wycinie Puszczy Białowieskiej, to też napotkamy tam różne środowiska. Przyjeżdża trzeci sektor – Greenpeace. Przyjeżdżają pisarze, reporterzy, dziennikarze, ale również aktywiści, którzy są wszędzie tam, gdzie potrzeba. Zgłaszają się także osoby, które mają ambicje polityczne na poziomie samorządowym. Trudno więc czasem znaleźć wspólny mianownik. W przypadku Puszczy jest nim pewnie słowo „ekolodzy”. To zamykałoby sprawę. Ale co się za nim kryje? Myślę, że często osobiste historie. Trzeba pamiętać, że demonstracja to jedno, a akty wandalizmu to czasem działania niezależne od demonstracji. Jeśli chodzi o kwestię stosowania rozwiązań siłowych, to wiem, że grupy protestujące toczą bardzo długie i zaawansowane dyskusje dotyczące tego, co jest lepsze: wygłaszanie poglądu przez tubę czy spalenie sklepu. Gdybym odpowiedziała jednoznacznie na to pytanie, pewnie zostałabym ożłocona, bo byłabym jedyną osobą, która wie, jakie jest wyjście z sytuacji. Nie wiem tego.

KB: Jeżeli miarą sukcesu jest skuteczne wdrożenie programu, to trzeba zauważyć, że większość postulatów – użyję tego słowa: lewicowych – nie zostaje wdrożona i nie ma szans na wdrożenie. Czy zatem możemy powiedzieć, że skuteczność środowisk, które w owe postulaty wierzą i je lansują, jest marna, czy może sam postulat okazał się mrzonką?

SCh: Grupy, które żyją w mniejszości, najczęściej żyją też w swoistych bańkach. Spotykają się, mają kontakt z osobami o podobnych poglądach. Natomiast osoby decyzyjne (albo eksperci pracujący z osobami decyzyjnymi), które mają dużą wiedzę, korzystają z pewnego rodzaju luksusu polegającego na tym, że nie słuchają, co inni mają do powiedzenia. Byłam niedawno na pokazie filmu „Antyfaszyści”. Obraz ten przedstawiał środowiska radykalnie antyfaszystowskie działające w Szwecji i Grecji. Antyfa, bo o niej mowa, generalnie działa na ulicy, bezpośrednio, fizycznie próbuje eliminować faszystów. Natomiast jeden z bohaterów filmu stwierdził – z czym się zasadniczo zgadzam – że najlepszym rozwiązaniem z punktu widzenia skuteczności są trzy filary: część teoretyczna, czyli przedostawanie się do mainstreamu (w rozumieniu dostępu do komunikowania na szeroką skalę), praca u podstaw oraz działania bardziej radykalne.

KB: Partyzantka miejska?

SCh: Tak, ale w rozumieniu nocnego wyklejania plakatów, a nie rozpoczynania regularnej wojny. Koncepcja działania na różnych płaszczyznach jest mi bliska. Jako felietonistka uważam, że nie ma możliwości zmieniania rzeczywistości wyłącznie poprzez pisanie

felietonów. Jest taka scena w jednym z filmów Woody'ego Allena, kiedy w towarzystwie rozpoczyna się dyskusja o wojnie, a obecny na miejscu felietonista jest zaskoczony, że ona jeszcze trwa, skoro przecież napisał antywojenny felieton. Oczywiście wierzę w siłę słowa – jestem pisarką – ale uważam, że pisanie nie wystarczy. Dlatego między innymi podjęłam działania u podstaw. Utożsamiam się z koncepcją działania i widzę w niej siebie.

KB: Wspomniała pani o miesięcznicy i kontrmiesięcznicy.

Od pewnego czasu oba pochody rozdzielone są barierką.

Czy społeczeństwo jest coraz bardziej podzielone?

SCh: Społeczeństwo ciągle spotyka się na wspólnych obszarach, które funkcjonują obok podziału politycznego. Niedawno Marta Kaczyńska – o czym doniósł nawet serwis Pudelek – opublikowała felieton, w którym twierdzi, że ja i Jarosław Kaczyński mamy zbieżne poglądy na temat inteligencji. Część moich znajomych się oburzyła, uznając ten fakt za zniewagę mojej osoby. Stwierdzili, że powinnam się obrazić na rodzinę Kaczyńskich i jakoś to zademonstrować. Ja zaś się uśmiełam. Oczywiście, że jeśli chodzi o koncepcje kultury czy inteligencji Prawa i Sprawiedliwości, to jestem od nich jak najdalej; bardzo mi się nie podoba, gdy próbują cenzurować przekaz medialny. Natomiast zastanawia mnie, jak szybko wyklucza się możliwość jakiegokolwiek wspólnej płaszczyzny między osobami z PiS i posiadającymi inne poglądy. W pracy w Fundacji Mama nauczyłam się, że są tematy, które łączą wszystkich. Przykładem może być działanie dotyczące praw kobiet niepracujących zawodowo, ale zajmujących się domem. Kilka lat temu przekazałyśmy do Sejmu projekt ustawy mającej na celu zmianę sytuacji kobiet, które nie są nigdzie zatrudnione, ale zajmują się dziećmi, opiekują się osobami zależnymi itp. Chodziło m.in. o emeryturę, kwestię ułatwień w dostępie do edukacji. Przedstawiłyśmy te postulaty w Sejmie i zaprosiłyśmy na debatę wszystkie siły polityczne, które zasiadały w parlamencie (rzecz się działa w poprzedniej kadencji). Nagle się okazało, że przy stole, przy którym siedzieli przedstawiciele siedmiu partii, wszyscy zgodnie stwierdzili, że propozycje są świetne. A były tam naprawdę różnorodne osoby, które w innych sytuacjach, a szczególnie podczas audycji telewizyjnych, nie dają sobie dojść do słowa. Życie wielokrotnie pokazało mi, że są wspólne płaszczyzny między środowiskami feministycznymi i konserwatywnymi w aspekcie praw kobiet. Kiedy trwały wydarzenia na kijowskim Majdanie, nasza fundacja zorganizowała spontaniczną zbiórkę. Potrzeby były duże, bo Ukraińcy nieraz nagle opuszczali swój kraj i bez dobytku przyjeżdżali do Polski. W trzy dni fundacja zmieniła się w składowisko rzeczy. Odzew nas przerósł. Mimo że w mediach dawało się wyczuć antyukraińskie nastawienie lub asekurację, związaną z lękiem, że Putin wjedzie na czołgu. Codzienność pokazała, że ludzie bardzo chcą pomóc.

KB: Pani otwarta postawa odbiega trochę od moich skojarzeń z anarchią.

SCh: Ja jestem przede wszystkim humanistką. Z tego powodu czasami jestem wyśmiewana jako frajerka, której się wydaje, że warto rozmawiać. Ale takie są moje wartości. Jestem dobrą felietonistką, ale nie sprawdzam się w debatach publicznych, podczas których trzeba się ostro pokłócić, bo zawsze dążę do znajdowania punktów wspólnych, co w sytuacji obłączenia wojennego po obu stronach jest postrzegane jako tendencja do schodzenia z barykady. Moim zdaniem warunkiem współdziałania społecznego jest uznanie, że w jakimś stopniu wszyscy jesteśmy fajni i bez względu na sytuację nie wyprosimy się z domu. Bardzo chcę w to wierzyć, choć aktualny dyskurs publiczny jest skrajnie hejterski. Nie chciałabym myśleć na takim poziomie agresji, jaki jest dzisiaj powszechny. Nie życzę sobie, aby świat w aż takim stopniu mnie zmieniał. Wierzę w koncepcję potencjalnie dobrych ludzi wokół mnie, lecz jest mi to teraz odbierane. Bardzo nie lubię siebie, kiedy patrzę na działania osób, z którymi się nie zgadzam, i mimowolnie, z tłumionej agresji, zaciska mi się szczeka i pulsuje żyła. To się dzieje z bardzo dużą szkodą dla mnie, nie chcę być człowiekiem z zaciśniętymi zębami. Po prostu nie chcę.

KB: Postępujący zanik wspólnoty to jest efekt śnieżnej kuli czy czyjaś świadoma manipulacja?

SCh: Oczywiście, że manipulacja. Język obecnej władzy, ale poprzedniej również, język wzajemnych oskarżeń i przerzucanie piłeczki to nie jest sytuacja, kiedy w ferworze emocji komuś coś się wymyslnie. Dla nich nie ma nic lepszego niż przegrodzić Polskę murem i podzielić ją na Polskę A i Polskę B. To jest najlepsze, co może się zdarzyć politykom wszystkich opcji. Jako kulturoznawczyni widzę tutaj instynkt plemienny oraz podział na „my” i „oni”. Doświadczylam tego, uczestnicząc ostatnio w protestach przeciwko wizycie Donalda Trumpa. Przebrałam się za Podręczną – postać z książki Margaret Atwood. Stałam w bardzo dużej mniejszości, otoczona wściekłymi twarzami zwolenników „wujka z Ameryki”, zwiezionych autokarami. Czasami dobrze znaleźć się w mniejszości, choć ja właściwie jestem w niej całe życie.

KB: A jeżeli w bloku, na klatce schodowej, spotkają się zagorzali przeciwnicy polityczni i jeden z nich się przewróci, to drugi poda mu rękę?

SCh: Oczywiście. Ludzie dzielą się na tych, którzy będą drążyć temat, i na tych, którzy mówią: „dobra, napijmy się”. Ostatnio w wydawnictwie Znak ukazała się książka, która ma być polską odpowiedzią na skandynawską koncepcję hygge. Tytuł tej książki, zresztą bardzo ciekawej, brzmi „Jakoś to będzie”...

KB: A mogła być zatytułowana „Dobra, napijmy się”.

SCh: Myślę, że to naprawdę gdzieś głęboko w nas jest. Natomiast coraz częściej dajemy się porwać nieistotnym tematom. Możemy się spierać, czy 500+ jest dobrym rozwiązaniem pomocy dla rodzin z więcej niż jednym dzieckiem i czy powinno przysługiwać również dla pierwszego dziecka itd. Zaś spieranie się,

co powiedział prezes i czego nie powiedział jego oponent, jest ogromnym błędem.

KB: Wcześniej powiedziała pani, że lewica ma małe szanse, aby przejść do realnego rządzenia. Ale być może w przypadku wyborów samorządowych w Warszawie albo w innym większym mieście zobaczymy jakąś reprezentację wywodzącą się z szeroko rozumianych ruchów miejskich?

SCh: W większych miastach dzieją się ciekawe rzeczy i jest to właśnie zasługa ruchów miejskich. Oczywiście organizacje lewicowe jeszcze długo nie będą miały szans na zagarnięcie większości politycznej. Natomiast pomysły stowarzyszenia Miasto Jest Nasze czy innych organizacji są już teraz w mniejszym czy większym stopniu realizowane przez obecną władzę samorządową.

KB: Co dla pani znaczy termin „lewica”?

SCh: Dla mnie są to ludzie, którzy rozumieją wspólnotę w kategoriach wspólnych interesów. Mają oczy szeroko otwarte i patrzą wokół siebie. Nie tylko na najbliższych, na siebie czy na swoje dobro. Lewica to dla mnie wrażliwość na innych. Mam tu na myśli wszystkich, którzy żyją wokół nas, oczywiście również istoty nieludzkie – używając nomenklatury *animals studies*.

KB: I pani w tym jest?

SCh: Bardzo się pilnuję, żeby zawsze w tym być.

KB: A kto jeszcze w podobny sposób pojmuje lewicę?

Leszek Miller?

SCh: Wolne żarty! Zasłona milczenia. Serdecznie mu dziękujemy za wprowadzenie konkordatu.

KB: Adrian Zandberg albo inni z Razem?

SCh: Nie znam Adriana Zandberga, natomiast oczywiście jest mi blisko do Razem. Zaczęliśmy rozmowę od moich korzeni anarchistycznych. W tym kontekście muszę powiedzieć, że jestem daleka od partii, choć były na moją osobę pewne zakusy, akurat na poziomie lokalnym, na którym chyba dobrze bym się sprawdziła. Jeżeli miałabym wskazać partię, która mówi rzeczy mi najbliższe, to oczywiście wskazałabym partię Razem.

KB: A jaką ma pani metodę na budowanie osobistej akceptacji dla ugrupowania politycznego?

SCh: Stosuję kilka filtrów. Pierwszy filtr to wrażliwość. Jeżeli ktoś powie, że nie zgadza się na podniesienie podatków, żeby rozwiązywać ważne problemy społeczne, to automatycznie wykluczam taką partię. Drugi filtr dotyczy podejścia ugrupowania politycznego do praw kobiet. Trzeci – podejścia do kultury. Prof. Hausner wraz z prof. Balcerowiczem powiedzieli, że jeżeli ktoś jest złym twórcą, reżyserem albo aktorem, to nie utrzyma się na rynku, bo na tym właśnie polega wolny rynek. Jeżeli myśli się o kulturze jako o sposobie spę-

dzania wolnego czasu, a nie traktuje jej jako elementu tożsamości, jeżeli nie zauważa się, że wspólne czytanie książek zbliża nas do siebie i rozwija naszą wyobraźnię – to również z takim ugrupowaniem politycznym nie mam o czym rozmawiać. Dla mnie myślenie o kulturze jako bardzo ważnym elemencie wspólnoty ma charakter lewicowy i wolnościowy. Kultura pochodzi z głębi nas, czyli jest w pewnym sensie egocentryczna, ale też daje możliwość budowania wolności rozumianej jako prawo do tego, aby myśleć, co się chce, i realizować ekspresję twórczą według własnych standardów.

KB: Powiedziała pani, że na przekonania polityczne nakładają się osobiste historie. To jak pani przeżywa rocznice Powstania Warszawskiego?

SCh: Zawsze przeżywam rocznice Powstania Warszawskiego z dużym wzruszeniem. Jestem współautorką filmu o Powstaniu Warszawskim. Z dyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego, Janem Ołdakowskim, łączy nas – jak mówi sam pan dyrektor – trudna miłość. Uważam Powstanie za ważną cezurę dziejową miasta, w którym mieszkam i z którym mam bliskie relacje paramiłosne. Natomiast co do oceny faktów historycznych bliski mi jest tytuł książki pana Tomasa Łubieńskiego „Ani tryumf, ani zgon”. Gdybym mogła, to zakazałabym jednego z najgłupszych na świecie pytań: „Czy gdybyś był na miejscu ówczesnych warszawiaków, wziąłbyś udział w powstaniu?”. Nie popieram zabaw w wojnę, gloryfikowania upadku i jarańia się tym, że banda młodych chłopaków wpada na barykadę. Ja wiem, że to jest romantyczne i sexy, ale jest równocześnie bardzo głupie. Zajmuję się naukowo antropologią codzienności, badaniem, jakie są nasze obyczaje, co jemy, jak mieszkamy itp. Zawsze ciekawi mnie analiza życia kobiet z tego punktu widzenia. I ten pierwszy sierpnia jest dla mnie osobiście świętem owych kobiet, które w zadymionej, walącej się piwnicy kładły na stole obrus, żeby ładnie zjeść. Zaś jako swojego mentora wskazałabym Mirona Białoszewskiego i jego „Pamiętnik z powstania warszawskiego”. To lektura, która pokazała mi wiele nowych dróg myślenia o wojnie, ale także o języku i literaturze.

KB: Jeszcze na chwilę wróćmy do polityki. Dla pani większą porażką jest wygrana partii mocno liberalnych czy konserwatywnych?

SCh: Sama już nie wiem, dlaczego kolejny raz miałabym wybierać między kiłą i mogiłą. Tendencje są, jakie są. Donald Trump, popularność skrajnej prawicy w Europie, dyskurs w mediach o uchodźcach roznoszących choroby... Widzę bardzo duże zagrożenie skrajną prawicą. Dla mnie w obecnych poglądach Polaków na temat uchodźców objawia się skrajna ksenofobia. Nie wiem, jaki wynik przyszłych wyborów byłby dla mnie bardziej żałamujący, ale mam poczucie, że jakaś porażka niestety nastąpi. Bo wielu ludziom jest dobrze, gdy ich się za mordy trzyma. Czują się bezpieczniej, kiedy są kontrolowani. Zauważam taką tendencję, a ponieważ mam zupełnie inaczej, to mnie to bardzo dziwi. Zaś kiedy słyszą słowo „wolność” – wzruszają ramionami. To mnie z kolei niepokoi.

KB: Ciekawą ma pani bransoletkę.

SCh: Dostałam od Grażyny Plebanek. Między pisarkami dokonuje się bardzo silna wymiana rozmaitych gadżetów. Czasami pisarki się nawzajem wręcz ubierają, a nawet stroją, oczywiście nie w sensie dosłownym.

KB: Ale jak? Wysyłacie sobie precjoza kurierem?

SCh: Grażyna jest w Brukseli, Magda Parys w Berlinie, Kasia Tu-bylewicz w Sztokholmie, więc obieg dóbr ma charakter międzynarodowy. Nie korzystamy z usług kuriera, wymiana następuje, kiedy się widzimy, na przykład na festiwalach albo spotkaniach autorskich. Nie wiem, jak jest u pisarzy. Oni przy okazji spotkania raczej idą na wódkę. Dziewczyny czasem też coś wypiją, ale głównie wymieniają się gadżetami. W ogóle cieszę mnie różne gesty wymiany. Zawsze bardzo pozytywnie myślałam też o „słoikach” jako elemencie naszej kultury. Doprowadzała mnie do szału awantura o „słoiki”. Wydawało mi się, że ten gest przekazania przez matkę albo babkę jedzenia dziecku, które jedzie do dalekiej Warszawy, jest niesłychanie piękny i wzruszający.

KB: Ale mówienie o „słoikach” to była moda, która przeminęła.

SCh: Temat się wyczerpał medialnie, ale pojęcie weszło do języka. Kilka tygodni temu byłam w restauracji Żywiciel na Żoliborzu. Kilku panów zapytało kelnera, czy mogą zostawić samochód na parkingu restauracji, bowiem nigdzie w pobliżu nie dało się zaparkować. Kelner przestrzegł przyjezdnych, że jeśli auto jest na obcych numerach rejestracyjnych, to trzeba się liczyć, że wylądnie na nim worek ze śmieciami, zrzucony z mieszkania znajdującego się nad lokalem. Okazało się, że na Żoliborzu popularne są też kartki przyklejane na szyby samochodów z napisem „Do widzenia niewarszawiakom”.

KB: O czym będzie pani nowa książka?

SCh: Marcin Meller, jako dyrektor wydawniczy GW Foksa, wiedząc, że wcześniej ćwiczyłam boks, zapytał mnie, czy chciałabym pisać o walczących kobietach. Temat wydał mi się bardzo ciekawy. Zazwyczaj interesowało mnie to, co jest w głowie, a nie w mięśniach. Domyślałam się jednak, jak mocno skupione muszą być dziewczyny, które zajmują się sportami walki. Ciekawiło mnie, jak sobie radzą, wchodząc na pozycje zarezerwowane dla mężczyzn. Chciałam przyjrzeć się sprawie z perspektywy gender.

KB: Książka znajdzie się na rynku w listopadzie, więc chyba polecimy ją jako najlepszy prezent pod choinkę. W tradycyjne polskie święta anarchofeministka Sylwia Chutnik o biciu kobiet.

SCh: Od razu powinnam sprostować, powtarzając za Iwoną Guzowską, że bicie jest na dyskotecę, zaś walka jest z zasadami, wobec tego one nie biją, a walczą.



Wielka szansa małych winnic

© PARTNER CENTER (2)

○ historii polskich win i gustach Polaków z **Krzysztofem Apostolidisem**,

Anna Siedlińska: Wbrew obiegowym opiniom historia polskiego winiarstwa nie jest wcale uboga. Pierwsze wzmianki o rodzimych winach pochodzą z XII w. Dlaczego ta tradycja, zamiast kwitnąć, zaczęła zanikać?

Krzysztof Apostolidis: Historia polskiego winiarstwa jest długa, choć nasz klimat nie jest idealny dla upraw winorośli. Trudno porównywać go z klimatem basenu Morza Śródziemnego, RPA, Australii czy Nowej Zelandii. Najwięcej złego dla polskiego winiarstwa zrobiły władze PRL-u. Panujący wówczas zwyczaj picia wódki zabił kulturę picia wina i zmarginalizował kulturę spożywania piwa.

AS: Od kilkunastu lat powstają w Polsce kolejne winnice, produkujące coraz lepsze trunki, które znajdują uznanie smakoszy. Kazimierz Dolny, Jasło, Zielona Góra, Podkarpackie, okolice Gorzowa i Wrocławia – to miejsca, gdzie na nowo rokwita tradycja winiarska.

KA: Odbudowa polskiego winiarstwa jest istotą rozwoju polskiej agroturystyki. Polskim winnicom trudno konkurować z plantacjami winorośli o powierzchni kilkuset hektarów znajdującymi się w Mołdawii, Bułgarii, Rumunii czy RPA. Jednak mała winnica połączona z agroturystyką i restauracją serwującą lokalne smakołyki może być wspaniałym obiektem, który tworzy nie tylko dochód narodowy i miejsca pracy, ale także zapewnia odwiedzającym wiele pięknych chwil, doznań i wspomnień. Warto zwrócić uwagę, że ten model biznesowy można zbudować na bazie innych

rodzimych produktów – specjałów lokalnych browarów, śliwowicy, miodów itp.

AS: Ten model nie zakłada, że polskie wina podbiją świat, stając się hitem eksportowym...

KA: Raczej wątpię w to, że rodzime wina zdobędą międzynarodowy rozgłos. Natomiast szansę mają małe polskie winnice, do których będą przyjeżdżać turyści z całego świata. Nie chodzi zatem o eksport wina w butelkach za granicę, ale o import turystów, którzy przyjadą, by porównywać polskiego rieslinga z rieslingiem słowackim czy austriackim.

AS: Jakie wyzwania stoją przed polskimi winiarzami?

KA: Głównym wyzwaniem dla polskiego winiarstwa są regulacje prawne. Nasi przedsiębiorcy poradzą sobie z niedogodnościami klimatycznymi – dobiorą właściwe szczepy do właściwych lokalizacji i uzyskają świetne zbiory. Natomiast ustawodawca powinien rozluźnić przepisy, aby branża mogła rozwijać się bez zbędnych ograniczeń.

AS: W międzynarodowych rankingach Polacy pod względem spożycia wina wciąż plasują się u dołu tabeli. Jak rozwija się krajowy rynek wina?

KA: Rynek rozwija się w sposób stabilny, ale nie dynamiczny. Roczne spożycie wina w Polsce wynosi 7 litrów per capita i jest wielokrotnie niższe niż w innych krajach europejskich.



Krzysztof Apostolidis – absolwent Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, łódzki przedsiębiorca, założyciel i prezes kilku spółek. Od ponad 20 lat związany z branżą deweloperską. Jest inwestorem m.in. budynku biurowego Oktagon przy placu Wolności w Łodzi (pierwszy budynek klasy A w mieście), a także nowoczesnego centrum logistycznego w Wolborzu, na terenie Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Jedną z łódzkich wizytówek stała się zabytkowa kamienica Secesja 89 przy ul. Piotrkowskiej, pięknie zrewitalizowana przez spółkę zarządzaną przez Krzysztofa Apostolidisa. Mieszczą się w niej m.in. restauracja i prestiżowe centrum biurowe. Najnowszym projektem deweloperskim spółki Fabryka Biznesu, zarządzanej przez Krzysztofa Apostolidisa, jest Centrum Handlowo-Rozrywkowe Sukcesja. To wielofunkcyjny kompleks, który powstał przy al. Politechniki 1 w Łodzi, w pobliżu ścisłego centrum miasta. Krzysztof Apostolidis jest założycielem i prezesem zarządu spółki Partner Center – importera i dystrybutora win z całego świata. Jako lokalny patriota angażuje się w działalność na rzecz rozwoju rodzinnej Łodzi, należy do zespołu społecznych doradców prezydenta miasta. Od 2006 r. jest konsulem honorowym Królestwa Danii w Łodzi. W 2015 r. został odznaczony przez prezydenta RP Andrzeja Dudę Brązowym Krzyżem Zasługi. Jest Kawalerem Orderu Dannebrog, nadanego przez królową Danii Małgorzatę II.

prezesem zarządu Partner Center, rozmawia Anna Siedlińska.

AS: Jakie wina najczęściej pojawiają się na polskim stole?

KA: Kiedyś w Polsce dominowały wina z Węgier (węgrzyn), Niemiec (wina reńskie), Francji (wina z Bordeaux). Dziś Polacy są otwartymi konsumentami. Chętnie eksperymentujemy i pijemy wina z różnych części świata. Na półkach sklepowych można znaleźć wina z odległych krajów, jak Chile, Argentyna, Stany Zjednoczone, Australia. Francuzi piją głównie wina francuskie, Włosi – włoskie, Portugalczycy – portugalskie, Grecy – greckie, a Australijczycy – australijskie. Zaś Polacy, dzięki temu, że nie ma u nas dużej produkcji, są bardziej otwarci.

AS: Polacy podejmują świadome wybory przy sklepowych półkach z winami czy są raczej zagubieni?

KA: Polacy są coraz bardziej świadomi, coraz lepiej wykształceni w zakresie kultury winiarskiej, głównie dzięki podróżom. Goszcząc w krajach, gdzie jest ona rozwinięta, doznają radości zwiedzania i picia wina, uczą się i nabierają nawyków, które potem przenoszą na rodzimym gruncie.

AS: Jak wygląda w naszym kraju kultura picia wina? Odrobiliśmy już lekcję czy wciąż się uczymy?

KA: Biorąc pod uwagę statystyki – wciąż się uczymy. Część społeczeństwa jest już po doktoracie, część na studiach, a część dopiero w szkole podstawowej. Musimy nadrobić okres izolacji z lat 1945–1989.

AS: Ważną rolę w popularyzowaniu wina w naszym kraju odgrywają dyskonty, bo to głównie tam robimy zakupy.

Czy w dużych sieciach handlowych możemy kupić dobre jakościowo wina?

KA: Bardzo wiele sieci handlowych oferuje bardzo szeroką gamę win. Są wśród nich wina podłe, dobre, bardzo dobre i znakomite. Dotyczy to wszystkich produktów konsumpcyjnych. Z moich obserwacji wynika, że największą szansę na rozwój mają wina mołdawskie, gruzińskie, rumuńskie i bułgarskie, ponieważ mają coraz wyższą jakość.

AS: Jak zaczęła się pana przygoda z winem?

KA: Przez przypadek. Wszystko zaczęło się od pasji, która potem przerodziła się w biznes. Na początku lat 90., kiedy zaczynaliśmy, trudno było z sukcesem sprzedawać wina. Na polskich półkach sklepowych królował Ciociosan i bułgarska Sophia.

AS: Czas pokazał, że było warto – osiągnął pan wielki biznesowy sukces. Droga do niego była bardzo wyboista?

KA: Z tym wielkim sukcesem to chyba przesada. Znam wielu, którzy robią to skuteczniej i lepiej. Mamy za sobą 26 lat historii i ta długa droga nie zawsze była usłana różami. Popełniliśmy w przeszłości wiele błędów, jak każdy, lecz z pełnym przekonaniem możemy stwierdzić, że co nas nie zabiło, to nas wzmocniło. Jeśli miałbym komuś radzić, a szczególnie młodemu przedsiębiorcom, to powiedziałbym, aby nie zawracać z raz obranej drogi.

Z pokorą i wiarą w sukces

O budowaniu biznesu od podstaw i polskim produkcji, który podbija światowy rynek kosmetyczny, z **Moniką Żochowską** i **Ewą Dudzic** rozmawia Marzena Tataj.

Marzena Tataj: Zaledwie kilka lat temu stworzyście **Glov**, rękawicę, która zmywa makijaż wyłącznie za pomocą wody, a dziś dystrybuujecie ją już do ponad 40 krajów na świecie. Odniosłyście niesamowity sukces. Jak wpadłyście na ten pomysł?

Monika Żochowska: Demakijaż zawsze zajmował mi za dużo czasu, używałam mnóstwo toników, mleczek i wacików... Czasami kładłam się spać w makijażu, szczególnie w czasach studenckich. Wtedy ostatnią rzeczą, o jakiej się myślało po imprezie, było zmycie make-upu. Czasem nawet myłam twarz mydłem, byle szybko. A ono ma inne pH niż skóra, więc powodowało jeszcze większe problemy. Wprost nienawidziłam demakijażu. Pewnego wieczoru, ponad siedem lat temu, kiedy wróciłam zmęczona do

hotelu i znów skończyły mi się płatkі albo tonik, powiedziałam: dość. Potrzebowałam produktu, dzięki któremu mogłabym szybko i skutecznie usunąć makijaż. Później, w trakcie praktyk w klinice chirurgii plastycznej w Tasmanii, po raz pierwszy zetknęłam się z zagadnieniem mikrowłókien. To zainspirowało mnie do stworzenia tekstyliów do oczyszczania skóry. Nawiasem mówiąc, z zaciekawieniem obserwuję, jak powstają kolejne produkty rozwiązujące małe, a jednak znaczące problemy kobiet, które malują się na co dzień i dbają o siebie. Przykładem jest Beauty Blender, pozornie zwykła gąbka, która bardzo pomaga przy nakładaniu fluidu. To była kolejna zmora kobiet – jak równomiernie rozprowadzić fluid na twarzy i nie ubrudzić przy tym rąk. Tak więc można powiedzieć, że rękawicą **Glov** wyznaczyłyśmy nowy trend w kosmetyce.

Ewa Dudzic: Kiedy Monika po powrocie z Tasmanii opowiadała mi o swojej wizji produktu do demakijażu, wiedziałam, że to będzie coś wielkiego. Nie pomyliłam się. Miałyśmy świadomość, że branża kosmetyczna to jeden z bardziej innowacyjnych sektorów globalnej gospodarki, który na badania i rozwój wydaje miliardy. Budżet na rozwój francuskiego L'Oréala wynosi 750 mln dolarów rocznie i jest przeznaczany na opracowanie nowych, innowacyjnych szamponów czy kremów, które mają przedłużyć młodość klientów. Tymczasem w dziedzinie demakijażu od lat niewiele się działo. Nadal nie wynaleziono niczego lepszego od bawełnianego płatkі i toniku. I tu

Monika Żochowska

– prezes i współzałożycielka firmy Phenicoptere Sp z o.o. oraz marki **Glov Hydro Demaquillage**, która promuje innowacyjną metodę usuwania makijażu wyłącznie przy użyciu wody i specjalnej technologii. Ukończyła studia magisterskie na Uniwersytecie Warszawskim. Studiowała również międzynarodowy biznes na Uniwersytecie Północnej Florydy oraz Politechnice w Walencji. Doświadczenie biznesowe zdobywała, pracując w wielu korporacjach.

Ewa Dudzic – absolwentka

Uniwersytetu Warszawskiego, magister zarządzania i marketingu. Obecnie kontynuuje edukację, studiując Executive MBA na Uniwersytecie Warszawskim. Od zawsze chciała założyć własną firmę. Pierwsze kroki stawiała w gastronomii – prowadziła bar sushi w Krakowie.



weszliśmy do jaskini lwa

postanowiliśmy znaleźć swoją niszę. Z pokorą, ale i wiarą w sukces, weszliśmy do jaskini lwa i postanowiliśmy zawalczyć o nasz produkt. Trzy lata testów i badań tysiąca różnych splotów, składów i struktur włókien zaowocowały stworzeniem finalnej wersji Glov. Teraz dystrybuujemy nasze produkty do ponad 40 krajów – w Unii Europejskiej, na Bliskim Wschodzie, a także do Stanów Zjednoczonych. Nasz produkt jest bestsellerem m.in. we francuskiej sieci perfumerii Monoprix i w szwajcarskim Marionnaud. Powstają nawet jego podróbki, odkryliśmy je na przykład w Chinach. Cóż, jest to miara sukcesu, ale też wielki problem. Ktoś chce nielegalnie zarobić na naszej pracy. Najważniejsze, że nikt nie jest obecnie w stanie dorównać naszej jakości. Rękawica Glov jest wykonana z superwłókna, dostosowanego do ludzkiej skóry. Badania dermatologiczne wykazały, że nasz produkt nie tylko zmywa makijaż, ale też pielęgnuje skórę. Utrzymuje wyższy czynnik nawilżenia skóry, równoważy jej pH, dzięki czemu kobiety mają mniej problemów; skóra staje się bardziej zadbana, a jej mikrokrążenie zostaje pobudzone. Tak pozytywne wyniki badań zaskoczyły również nas.

MT: Macie na swoim koncie wiele prestiżowych nagród...

MŻ: To prawda, z wszystkich jesteśmy bardzo dumne. W 2016 r. nasza spółka Phenicoptere została uznana za drugą najszybciej rozwijającą się firmę w regionie Europy Środkowej w rankingu Deloitte Technology Fast 50 CE w kategorii Wschodzące gwiazdy. Zdobyła także nagrodę specjalną w konkursie EY Przedsiębiorca Roku 2016. Jest również Liderem Przedsiębiorczości Roku 2015 za szczególne osiągnięcia w dziedzinie przedsiębiorczości, innowacyjności i dostosowania firmy do funkcjonowania na zintegrowanym rynku europejskim. Nasze produkty otrzymały nagrody: Glamour Glammies 2017 i Glamour Glammies 2015 w kategorii Najlepszy gadżet, Best of Beauty („Allure Russia”) czy La Galería de Innovación Salón Look. Zostałyśmy docenione również przez „Newsweek” i „Dziennik Gazetę Prawną”. Znalazłyśmy się w rankingu 50 najbardziej kreatywnych osób w biznesie według magazynu „Brief”. Wreszcie, w tym roku, w Teatrze Wielkim w Warszawie z dumą odebrałyśmy Godło „Teraz Polska”.

MT: Na czym polega fenomen Glov?

ED: To pierwszy produkt na świecie, który usuwa makijaż i inne zanieczyszczenia wyłącznie za pomocą wody. Nasze rękawice zostały wykonane w nanotechnologii, ze specjalnych mikrowłókien, które wykazują właściwości oczyszczające oraz redukujące nadmiar sebum. Stworzone są z poliamidu, odpowiedzialnego za absorpcję wody, i poliestru, absorbującego tłuszcze. Taka kombinacja powoduje, że po zastosowaniu rękawicy powierzchnia skóry pozostaje w naturalnej harmonii hydrolipidowej, czyli nie zostaje zaburzone

naturalne pH zdrowej skóry. Włókna przyciągają wszelkie zanieczyszczenia niczym magnes i nie rozsmażają makijażu na powierzchni skóry. Tym różni się od włókien bawełny, które jedynie obtaczają zanieczyszczenia wokół siebie. Poza tym, dzięki odpowiedniej kombinacji włókien, Glov lepiej spełnia wymagania różnych typów skóry – od tłustej po mieszaną i suchą. Nasze rękawice są hipoalergiczne. Nie powodują podrażnień wrażliwej ani atopowej skóry. Prozdrowotne działanie zostało potwierdzone m.in. badaniami laboratoryjnymi przeprowadzonymi przez Skin Lab.

MŻ: Poza oczyszczaniem rękawice Glov wykazują lekkie działanie peelingujące oraz pobudzają mikrokrążenie skóry. Od początku stosowania można zauważyć, że stan cery ulega wyraźnej poprawie – staje się ona bardziej wygładzona, jędrna i elastyczna. Stosując Glov, nie potrzebujemy już żadnych płynów micelarnych, mleczek ani toników, więc oszczędzamy czas i pieniądze. Wystarczy zmoczyć rękawicę wodą, najlepiej ciepłą, i okrężnymi ruchami zmyć z twarzy wszelkie zanieczyszczenia, nie tylko makijaż, ale też nadmiar sebum, kurz i spaliny. Następnie należy ją uprać i pozostawić do wysuszenia. Glov zachowuje swoje właściwości przez około trzy miesiące. Rękawica wykonana jest z włókien do 100 razy cieńszych od ludzkiego włosa, a przekrój każdego z nich ma kształt rozgwiazdy, dzięki czemu szybko i skutecznie pochłania makijaż oraz inne zabrudzenia, nie podrażniając skóry.

MT: Jak wyglądało wejście Glov na rynek?

ED: Na początku spotkałyśmy się z wieloma krytycznymi uwagami. Ludzie studzili nasz zapal i mówili, że nie mamy szans w starciu z wielkimi firmami kosmetycznymi. Jednak my od początku wierzyłyśmy w nasz projekt, mimo że czasami było naprawdę ciężko. Nie poddałyśmy się, pracowałyśmy bardzo dużo. Siły dodawała nam świadomość, że nasz produkt to innowacja w skali globalnej. Na pierwsze zagraniczne targi wyjechałyśmy na Bliski Wschód. Można powiedzieć, że doświadczenie w prowadzeniu rozmów z zagranicznymi klientami zdobyłyśmy dzięki uprzejmości firmy Harper Hygienics, która nas tam zaprosiła. Trzeba przyznać, że w początkowym okresie działalności bieżącej pracy było tak dużo, że starałyśmy się po prostu sprostać zapotrzebowaniu rynku; nie miałyśmy nawet czasu myśleć o tym, co będziemy robić w kolejnym miesiącu. Teraz, kiedy w zespole mamy 15 osób, a na całym świecie dzień w dzień na sukces Glov pracuje około stu osób oraz pięć agencji PR, mamy wreszcie czas, by pomyśleć o profesjonalnej strategii rozwoju firmy.

MŻ: Początkowy okres działalności był trudny również z powodu konieczności zapewnienia finansowania. Nie korzystałyśmy z żadnych kredytów bankowych, gwarancji czy poręczeń, a jedynie z pożyczek prywatnych. Wsparcie otrzymałyśmy także z różnych programów pomocowych, takich jak AIP Seed Capital, „Paszport



do eksportu” czy „Promocja branży kosmetycznej za granicą” Ministerstwa Gospodarki. Innowacyjny biznes w początkowej fazie potrzebuje marketingu edukacyjnego, bo trzeba klienta nauczyć, jak się obchodzić z nowym produktem, i przekonać, że to właśnie nasz produkt rozwiąże jego problemy. Trzeba na te cele zarezerwować odpowiednie środki. Przez ponad dwa lata prowadziliśmy sprzedaż, wydając więcej, niż zarabialiśmy. Był taki moment, że byliśmy niewypłacalni, bo czekałyśmy na zapłatę od pierwszego dużego klienta. Cóż, nie ma co ukrywać, że przez pierwsze cztery lata swoją pracę wykonywałyśmy za darmo. Ale jest to zwyczajna sytuacja w młodej firmie.

Przyznam, że ogromnie przydała mi się wiedza o marketingu partyzanckim, o którym pisałam pracę magisterską. Dzięki temu wiedziałam, jak skutecznie promować produkt, nie wydając wielkich pieniędzy. Same kontaktowałyśmy się z redaktorkami urody, same wysyłałyśmy im rękawiczki lub zapraszałyśmy na lunch. Wiedziałyśmy, że nie stać nas na wielkie śniadanie prasowe. A poza tym kto by przyszedł na spotkanie z firmą znikąd? A tak miałyśmy sporo czasu, aby opowiedzieć dziennikarkom, kim jesteśmy i czym wyróżnia się nasz produkt. Miałyśmy też stuprocentową pewność, że zyskałyśmy ich uwagę, widziałyśmy ich reakcje i od razu wiedziałyśmy, czy spotkanie było udane i owocne. Teraz media zgłaszają się do nas same. To bardzo przyjemne uczucie. (śmiech)

MT: Czym zajmowałyście się wcześniej? Miałyście doświadczenie w branży kosmetycznej?

MŻ: Zaczynając wspólną pracę i zakładając Phenicoptere w 2012 r., postawiłyśmy na totalny spontan. Nie miałyśmy potrzeby spisania umowy spółki, bo znamy się od lat, mamy równe prawa, ustalenia słowne są dla nas święte i niepodważalne. Mamy do siebie bezgraniczne zaufanie. Co nie znaczy, że we wszystkim się zgadzamy. Kiedy mamy różne zdania, stosujemy burzę mózgów lub uznajemy wzajemnie swoje kompetencje i decyzję pozostawiamy tej osobie, która akurat na danej dziedzinie zna się lepiej. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie jest to może modelowe rozwiązanie, ale u nas się sprawdza.

Postawiłyśmy na współpracę z zewnętrznymi, profesjonalnymi laboratoriami, które pomogły nam od strony chemicznej i technologicznej, a my skupiłyśmy się na biznesie. Oczywiście przydały się nasze poprzednie doświadczenia. Jak już wspomniałam, w 2010 r. wyjechałam na praktyki do kliniki chirurgii plastycznej w Tasmanii. To właśnie tam poznałam lekarza, który wprowadził mnie w tajniki mikrotechnologii stosowanej we włókiennictwie. Przez dwa lata pracowałam też w Antwerpii jako menedżer ds. marketingu, by zarobić pieniądze na rozwijanie własnego biznesu.

ED: Ja natomiast w trakcie studiów na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego prowadziłam własny bar sushi w... Krakowie. Była to świetna szkoła biznesu. Dzięki tej pracy nauczyłam się podstawowych zasad finansowania, marketingu, zdobywania klientów i ich utrzymywania.

MT: Wasz produkt wywołał prawdziwą rewolucję w demakijażu na arenie międzynarodowej. Spodziewałyście się takiego sukcesu?

MŻ: Od początku zakładałyśmy rozwój globalny i aktywną ekspansję zagraniczną. Nawet nazwa produktu, pochodząca z języka angielskiego (*glove* – rękawiczka), została stworzona z myślą o światowych rynkach. Wychodziłyśmy z założenia, że Glov zrobi prawdziwą rewolucję w demakijażu na całym świecie, i tak się stało. Momentem, który dał temu początek, było rozpoczęcie sprzedaży w dużej, międzynarodowej perfumerii Sephora. Wiedziałyśmy, że dzięki współpracy z tą francuską siecią mamy szansę na osiągnięcie globalnego sukcesu.

MT: Glov z powodzeniem podbija rynki zagraniczne. Pierwsza była właśnie Francja. Dokąd jeszcze dystrybuujecie swoje produkty?

ED: Obecnie nasze największe rynki to: Francja, Niemcy, Włochy, USA, Chiny, Szwajcaria, Austria, Finlandia, Czechy, Islandia, a także kraje Bliskiego Wschodu, tj. Zjednoczone Emiraty Arabskie, Arabia Saudyjska czy Kuwejt.

MŻ: Za każdym razem, kiedy wchodzę do sklepu i widzę Glov, fotografuję półkę i cieszę się jak dziecko. Często dostajemy również zdjęcia od znajomych z całego świata, którzy zobaczyli gdzieś Glov. Miałam ogromną satysfakcję, gdy koleżanka przysłała mi zdjęcie półki sklepowej w Japonii, na której znalazł się nasz produkt.

MT: Jakie są wasze plany na przyszłość?

ED: Stale inwestujemy w badania i rozwój, rozszerzamy nasze portfolio o nowe produkty. W tym roku mamy pięć premier, w kolejnym będzie podobnie. Jeszcze w tym roku planujemy rozpocząć sprzedaż w krajach europejskich, w których nas jeszcze nie ma. Zamierzamy wzmocnić dystrybucję tam, gdzie jesteśmy już obecni, a także podbić zupełnie nowe rynki, np. w Ameryce Południowej.

MT: Czy Polki są coraz bardziej świadome? Czy zwracają uwagę na różnice między kosmetykami chemicznymi a naturalnymi?

MŻ: Oczywiście. Od kilku lat można zaobserwować wzrost zapotrzebowania konsumentek na naturalne produkty do pielęgnacji twarzy i ciała. Nasz produkt doskonale wpisuje się w ten trend. Jak już wcześniej wspomniałam, stał się też prekursorem mody na rozwiązywanie uciążliwych problemów w kosmologii w prosty sposób – przy użyciu niewielkich produktów wykorzystujących właściwości nowoczesnych materiałów. Jednak na rynku nadal dostępnych jest wiele preparatów do oczyszczania twarzy zawierających sztuczne składniki chemiczne. Cieszy nas fakt, że kobiety zaczęły uważniej czytać etykiety kosmetyków. Inspiracją do stworzenia naszych produktów były badania dotyczące negatywnego wpływu chemicznych składników kosmetyków oraz detergentów na organizm człowieka, a także troska o środowisko naturalne.



© LUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA GAZETA

Polska dryfuje

O wolności, wstydzie, narodowej dumie i polskiej „wyprowadzce z mapy” z prof. **Przemysławem Czaplińskim**, historykiem literatury, eseistą i krytykiem literackim, rozmawia Radosław Siedliński.

Przemysław Czapliński – profesor, historyk literatury XX i XXI w., eseista, tłumacz, krytyk literacki, współtwórca Zakładu Antropologii Literatury (Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu). Ostatnio opublikował książki: „Polska do wymiany” (2009), „Resztki nowoczesności” (2011), „Poruszona mapa” (2016). Redaktor tomów zbiorowych, m.in. „Nowoczesność i sarmatyzm” (Poznań, 2011), „Literatura ustna” (2011), „Kamp. Antologia przekładów” (współredaktor: Anna Mizerka; 2013). Kurator cykli dyskusyjnych: „Moc truchleje. Debaty o polskim katolicyzmie” (Centrum Kultury Zamek, Poznań, 2016), „Bioklasy: segregacje i sojusze” (Warszawa, 2016), „Wspólny świat. Ekologia i literatura” (UAM, Poznań, 2016), „Nie-boskie narracje. O lęku i gniewie” (Teatr Polski, Poznań, 2016/2017), „Prognozowanie teraźniejszości” (UAM, Poznań, 2016/2017). Zajmuje się badaniem literatury polskiej i problemami późnej nowoczesności.

Wolność jako alibi

Radosław Siedliński: W jednym ze swoich tekstów stwierdził pan, że wolność nam się nie udała. Co poszło nie tak?

Przemysław Czapliński: Polemizowałem w ten sposób ze stwierdzeniem, które pojawiało się dość często po zmianie władzy w 2015 r., że wolność nam się udała, tylko z równością nie wyszło. Jeśli dziś, po dwóch latach nowych rządów, coś jesteśmy sobie winni, to prawdę. A prawda wygląda tak, że wolność w III RP była skromną realizacją wartościowej obietnicy. Obietnica pojawiła się w połowie lat 80. i skończyła się w 1993 r. Od tamtego momentu wolność funkcjonowała w naszym kraju jako alibi.

RS: Dlaczego akurat w 1993 r.?

PC: W 1993 r. parlament przygotowywał się do uchwalenia nowej, zaostrej ustawy antyaborcyjnej. I zlekceważył najpotężniejszą społeczną akcję referendalną. Zebrano wtedy ponad milion podpisów, ale referendum nie zostało przeprowadzone. I ustawę przegłosowano. Bardzo trafnie pisała o tym Agnieszka Graff w książce „Świat bez kobiet”, stwierdzając, że młoda demokracja wybrała ciało kobiece jako obszar samostanowienia władzy. Ale to oznaczało częściowe wykluczenie kobiet z tej zbiorowości. Zostały one uprzedmiotowione i pozbawione prawa dysponowania swoim ciałem. Gdyby temu zaostreniu towarzyszyła na przykład – sięgam po pomysł jednej z amerykańskich senatorek – ustawa o penalizacji męskiej masturbacji, można by jeszcze zrozumieć, że nowa władza będzie restrykcyjna



w zakresie obyczajowym i seksualnym. Byłoby to rozwiązanie totalitarne, ale konsekwentne. Wybrało jednak nierówność.

RS: Na czym polegało alibi?

PC: Przegłosowanie nowej ustawy antyaborcyjnej oznaczało, że nie będzie również wolności dla mniejszości seksualnych, a więc nie pojawi się redefinicja związków partnerskich, małżeństwa i rodziny. I właśnie w granicach owego konsensusu – katolickiego i neoliberalnego – ustaliła się wolność. Każdy, kto mieścił się w tym obszarze, mógł uważać, że wszystko jest możliwe i że można swobodnie kształtować swoją tożsamość. Ale ta tożsamość już była dana – męskocentryczna, a więc heteroseksualna, łatwo obracająca się w homofobię, a także rynkowa, czyli uzależniająca szacunek od sukcesu. Ci, którzy się w tym nie mieścili, pozostali bez podmiotowości politycznej, a więc bez praw.

Powstał swoisty klinch: sfery praw obywatelskich nie poszerzano, ale istniejącą wersję wolności wykorzystywano do uzasadniania braku regulacji pracowniczych. Na tym właśnie polegało alibi. Mówiono, że nie są potrzebne związki zawodowe, płaca podstawowa, minimalna stawka godzinowa, trwałe umowy, ponieważ najważniejsza jest wolność jednostkowa. Bo rzekomo, kiedy człowiek jest wolny, może uczynić siebie tym, kim zechce – znajdzie sobie pracę albo sam ją stworzy, zarobi pieniądze, osiągnie sukces. Zakładano więc równość szans tam, gdzie nie tylko równości nie było, lecz gdzie istniały potężne dysfunkcje gospodarcze, finansowe bądź społeczne. W ten sposób prawa obywatelskie wykorzystano do minimalizacji udziału państwa w pośredniczeniu między rynkiem i pracownikiem oraz między obywatelem i pracą. A w 2015 r. alibi zostało odwrócone.

RS: To znaczy?

PC: Partia PiS przywraca prawa socjalne, ale w zamian zabiera prawa obywatelskie. Prawa socjalne występują tu, co prawda, w wersji wąskiej, bo obejmują zaledwie kilka spraw i nie uruchamiają dalszego ciągu, ale trzeba jasno i wyraźnie powiedzieć: wprowadzenie dodatku 500+, płacy podstawowej, minimalnej stawki godzinowej, a nawet wcześniejszych emerytur to historyczne wydarzenia. I bardzo ważne osiągnięcia. Sygnalizują one powrót państwa jako rozjemcy i pośrednika w relacjach ekonomicznych. Pracownik może poczuć się bezpieczniej. Jednakże nie ma tu ani spójności, ani dalszego ciągu. W liczącym trzysta stron „Planie na rzecz odpowiedzialnego rozwoju” termin „związki zawodowe” pojawia się dwa albo trzy razy. Rząd uszczelnia system podatkowy, ale nie dąży do zmian w prawie podatkowym. Zamiast zmieniać system emerytalny, obniża się wiek emerytalny, a chwilę później wprowadza premie dla osób, które na emeryturę nie przejdą. W lipcu 2017 r., w najgorętszym momencie obywatelskich protestów przeciw ubezwłasnowolnieniu sądów, PiS przedstawił projekt ustawy o Krajowym Zasobie Nieruchomości. Ustawa przewiduje, że obywatel otrzymujący mieszkanie w ramach

programu „Mieszkanie plus” będzie musiał zrzec się praw lokatorskich. Zatem jeśli nie będzie mógł zapłacić czynszu przez jakiś czas, to zostanie wyrzucony na bruk bez wyroku sądu! Premier aktualnego rządu w odpowiedzi na zbiorowe protesty wypomina społeczeństwu, że dostało 500+. Na tym właśnie polega nowe alibi: prawa pracownicze i opieka socjalna

w okrojonej wersji zaczynają funkcjonować jako usprawiedliwienie dla odbierania swobód obywatelskich. Panuje tu zresztą niedobra symetria, bo tak jak wcześniejsze rządy poprzestawały na wąskiej wersji wolności obywatelskich, tak aktualny rząd zatrzymał się przy okrojonej wersji praw socjalnych.

RS: Wcześniej powiedział pan, że obietnica nowej wolności pojawiła się w Polsce w połowie lat 80. Co się wtedy stało?

I czy osłabia to znaczenie roku 1989, który powszechnie przyjmowany jest jako cezura: dla większości Polaków to przede wszystkim moment odzyskania wolności politycznej.

PC: Socjolog literatury ma w związku z rokiem 1989 pełne ręce roboty. Bo to moment przejścia od kultury autorytetu do kultury gustu, od dwóch obiegów – państwowego i podziemnego – do rynkowej wielości, od etosu do wolnego rynku. Ale z szerszego punktu widzenia zmiana nastąpiła kilka lat wcześniej. Na prawach skrótu pozwolę sobie powiedzieć, że w połowie lat 80. polska literatura i kultura alternatywna wymyśliły nowe społeczeństwo. Była to koncepcja społeczeństwa pluralistycznego. Zapowiedź dostrzec można niemal we wszystkich rejestrach kultury. Przede wszystkim powstał tzw. trzeci obieg komunikacyjny, który zachował odrębność względem struktur państwowych i podziemnej kultury solidarnościowej.

RS: A jakie było nastawienie owych alternatywnych form kontestacji wobec tego, co przywykliśmy uznawać za prawdziwą opozycję względem peerelowskiego reżimu?

PC: Dostrzegamy tu ogromne pospolite ruszenie: nowe inicjatywy, nowe formy działania, nowe formy zrzeszania się i organizowania, nowe języki artykulacji. A wszystko to bez oglądania się na Solidarność, opozycyjne elity intelektualne czy Kościół. Istotą tego pospolitego ruszenia było tworzenie kultury zróżnicowanej, zakotwiczonej w codziennych praktykach komunikacyjnych, umożliwiającej pełniejszy udział każdemu człowiekowi, nieodwołującej się do autorytetów. Przyświecał tym aktywnościom nowy mit kulturowy – mit radykalnego pluralizmu. W społeczeństwie radykalnie zróżnicowanym chodzi o to, by każdy mógł wytwarzać kulturę i uczestniczyć w niej wedle własnych potrzeb – zmiennych, nieuporządkowanych, niespójnych.

Wstydlivy motor przemian

RS: W jednym ze swoich tekstów upatrywał pan źródła dynamiki przemian we wstydzie. Wstydziliśmy się biedy, braku



ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP (2)

samodzielności, niedostatecznej racjonalności, braku gustu, a w końcu także braku solidarności. Nadal się wstydzimy?

PC: Nie istnieje społeczeństwo bez wstydu. Zawstydzanie jest narzędziem dyscyplinowania drugiego człowieka, wychowywania, kształtowania. Stawać się członkiem społeczeństwa to stawać się podatnym na konkretne zawstydzanie. Dziś problem polskiego społeczeństwa nie polega na tym, że przestaliśmy się wstydzić, lecz na tym, że mamy dwa rywalizujące ze sobą systemy wstydu. Pierwszy z nich mówi, że hańbą jest skrzywdzić słabszego, drugi – że hańbą jest okazać się słabszym. Pierwszy czerpie dumę z obrony „innego”, drugi – z obrony wyobrażonej wspólnoty narodowej przed innością.

RS: Kogo skrzywdziliśmy, żeby się tego wstydzić?

PC: Pierwszy z tych wstydów jest w istocie głęboko zakorzeniony w polskiej kulturze walki „za wolność waszą i naszą”, w mitach o Polsce jako kraju bez stosów. To właśnie on zyskał piękną fabułę w połowie lat 80. – w książkach Hanny Krall, Tadeusza Konwickiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Henryka Grynberga, Andrzeja Szczypiorskiego i in. Kultura polska „zadawa” wtedy społeczeństwu wstyd z powodu aktów nietolerancji wobec innych. Skierowany ku przyszłości nakaz bycia solidarnym opierał się na płynącym z przeszłości wstydzie z racji porzucenia bliźnich w potrzebie – Żydów, Łemków, Kaszubów, Białorusinów itd. Ale już na przełomie lat 80. i 90. wstyd ten spotkał się z innym, równie silnym afektem, jakim był wstyd z powodu zapóźnienia.

RS: Ten ostatni różni się od wstydu z powodu bycia słabszym?

PC: Owszem, ale od jednego do drugiego wiedzie niemal prosta droga. Najpierw zauważmy, że wstyd zapóźnienia cywilizacyjnego stał się najsilniejszym motorem polskiej transformacji. Nie radość z odzyskanej wolności, nie duma z demokracji, lecz właśnie wstyd z powodu „pozostawania w tyle”. Jest to emocjonalne nastawienie zdecydowanej większości społeczeństw słabiej rozwiniętych: chcą one dogonić państwa bogatsze, bardziej zaawansowane w rozwoju, lepiej urządzone, ponieważ doświadczają własnej kondycji jako cywilizacyjnego wstydu.

RS: Wstyd zadziałał więc prorozwojowo?

PC: Wystarczy przypomnieć sobie reportaż filmowy „Arizona” Ewy Borzęckiej z 1997 r., aby zrozumieć, że ogromna dynamika rozwoju po 1989 r. wynikała z chęci ucieczki przed obrazem zdegenerowanych, zapijaczonych, bezradnych chłopów ze zlikwidowanego pegeeru. Wstyd w ujęciu ogólnospołecznym sprawiał, że chcieliśmy jak najszybciej zyskać status, który nie kompromituje na scenie publicznej.

RS: To tak, jakby ktoś mówił, abyśmy się wstydzili i za to, jacy byliśmy, i za to, jacy jesteśmy. Nie za dużo? Czy te dwa wstydy działały osobno, czy jakoś się wzmacniały?

PC: To dla mnie jedno z najważniejszych pytań dotyczących polskiej historii najnowszej. Bo odpowiedź prowadzi do wyjaśnienia aktualnej zagadki naszego życia zbiorowego. W największym skrócie można powiedzieć: właśnie dlatego, że wstyd niesolidarności i wstyd zapóźnienia weszły ze sobą we współpracę, mamy dziś w Polsce kłopoty z demokracją, kapitalizmem i więzią społeczną. Jak do tego doszło? Otóż w latach 90. wstyd z tytułu zapóźnienia uległ indywidualizacji. Nie chodziło już więc o to, że nasze instytucje źle działają i państwo nie najlepiej funkcjonuje, lecz o to, by każdy we własnym zakresie zajął się doganianiem Europy.

RS: Wstyd z powodu wspólnego zapóźnienia stał się wstydem z powodu indywidualnej niesamodzielności?

PC: Zadanie zbiorowe przekształcało się – krok po kroku i rok po roku – w zadanie prywatne. To pozwoliło państwu stopniowo wycofywać się ze swoich funkcji rozjemczych, pośredniczących i opiekuńczych i ograniczyć się do infrastruktury. Pojedynczy człowiek zostawał w coraz większym stopniu sam; stawał przed zadaniem radzenia sobie, zaś ewentualne niepowodzenia skazywały go na doświadczanie wstydu z powodu niesamodzielności. Nie czekaj, aż fabryka w twojej okolicy zacznie znowu zatrudniać, nie czekaj na regularną płacę, podwyżki, związki zawodowe, opiekę zdrowotną! Dogoń Europę sam! A to popychało do poszukiwania rozwiązań w sferze usług prywatnych. Szkoły wszystkich szczebli (od podstawowej do wyższej), opieka medyczna, emerytury – wszystko to w coraz większym stopniu zależało od indywidualnej majątności. Nie tylko to było złe, że rósł podział na bogatszych i biedniejszych, lecz także to, że biedniejszych pozostawiano samym sobie. Ci, którym się nie udało, mieli poczuć, że sami są sobie winni.

RS: Jakie są skutki tego procesu?

PC: Skoro można założyć szkołę prywatną, to ci, którzy nie posyłają do niej swoich dzieci, są postrzegani jako gorsi rodzice; skoro można zacząć oszczędzać na emeryturę poza państwowym systemem, to ci, którzy tego nie robią, są postrzegani jako niefrasobliwi, mniej zapobiegliwi, niezdolni do zapewnienia sobie samodzielności. Stąd przecież na przełomie XX i XXI w. wzięła się reprivatyzacja i wielka akcja promocyjna kredytów mieszkaniowych, która komunikowała: jeśli chcesz być dorosły, kup sobie mieszkanie, a jeśli brakuje ci gotówki, zaciągnij kredyt, bo tak postępuje człowiek odpowiedzialny. Wstyd z powodu niesamodzielności współdziałał z neoliberalnymi rozwiązaniami gospodarczymi – coraz mniej państwa, coraz więcej odpowiedzialności spoczywającej na jednostce.



Schizofreniczna nowoczesność

RS: Gdzie podziały się tożsamości zbiorowe?

PC: Przekształcenie społeczeństwa w osobne jednostki musiało polegać głównie na demontowaniu podmiotów zbiorowych – przede wszystkim klas społecznych. Kiedy robotnicy żądali większej opieki ze strony państwa, mówiono im, że chcą powrotu komuny. Rolników wysypujących zboże na tory kolejowe nazywano warchołami. Łączny komunikat był mniej więcej taki: przestańcie być członkami klasy społecznej, a stańcie się indywidualnymi ludźmi. Odrzucić koncepcję neoliberalną mógł tylko jakiś silny podmiot zbiorowy, więc na powrót pojawił się „naród”. Ten powinien głosić hasła antykapitalistyczne, ale nie może tego zrobić, bo to zbliżałoby go do komuny. Atakuje więc tych, których uważa za uprzywilejowanych, bo oni rzekomo dostają to, co należy się „nam”. Dlatego wznosi okrzyki przeciw obcym – „pedałom”, uchodźcom, „mordercom dzieci”. Mówiąc krótko, odrzucenie retoryki neoliberalnej pociągnęło za sobą odrzucenie tolerancji. A nieco okrutniej: Żyd, kobieta, uchodźca i homoseksualista stali się wrogami publicznymi, ponieważ postulat tolerancji wobec mniejszości łączył się z programem minimalizacji udziału państwa w grze rynkowej. Dlatego powrót roszczeń zgłaszanych wobec państwa odbywa się pod sztandarem ksenofobii.

RS: I tak narodził się nacjonalizm III RP...

PC: To tylko skrót, należy go uzupełnić o trzy rzeczy. Po pierwsze, dzisiejszy nacjonalizm wyprodukowały wszystkie rządy po 1989 r. – demokratyczne, postkomunistyczne i prawicowe – ponieważ wszystkie negowały potrzebę rozmawiania o państwowych regulacjach kapitalizmu i wszystkie zawiodły w budowaniu szacunku dla codziennej kultury Polaków. Po drugie, dzisiejszy język nacjonalistyczny – łatwo przybierający postać ksenofobicznej agresji – jest agresywny, bo zastępczy. Służy mówieniu o jedności, nie pozwala natomiast sensownie mówić o źródłach nierówności i sposobach ich zmniejszania. Jesteśmy więc przekonywani, że nie trzeba zmieniać reguł kapitalizmu, wystarczy zmienić kadry: kiedy tylko łże-elity, postkomuniści, ubecy i gorszy sort odejdą ze spółek, rządów, kopalń i banków, wtedy zapanuje sprawiedliwy kapitalizm i wszyscy będą zarabiać dużo... Ponieważ jednak – i to po trzecie – zniknięcie obcych niewiele w funkcjonowaniu kapitalizmu zmienia, wobec tego aktualna władza skazana jest na eskalowanie języka nienawiści. Tylko dzięki podtrzymywaniu wizerunku wroga możliwe jest bowiem wytwarzanie jedności. Problem polega na tym, że legitymizowana przez władzę pogarda dla pokaźnej części społeczeństwa prowadzi do radykalnego podziału. A społeczeństwo podzielone nie wytworzy rozwiązań systemowych,

których coraz bardziej potrzebujemy. Chodzi o rozwiązania, które zadecydują o przyszłości nas wszystkich – o system podatkowy, środowisko naturalne, równouprawnienie kobiet, demografię czy udział w Unii Europejskiej.

RS: W raporcie „Reforma kulturowa 2020, 2030, 2040” polską nowoczesność nazywa pan schizofreniczną. Na czym owa schizofreniczność polega?

PC: Wychodzę z założenia – które przyjmuję za Fredrikiem Jamesonem, autorem książki „A Singular Modernity” (2013) – że nowoczesność to dwa różne procesy. Jeden dotyczy infrastruktury, drugi – sfery obywatelskiej. Pierwszy można nazwać modernizacją. Obejmuje ona techniczny rozwój sieci łączących społeczeństwo, a więc drogi, szkoły, środki transportu, rury z wodą i gazem, kable z prądem i światłowodem. Proces drugi można nazwać modernizmem. Dotyczy on sfery obywatelskiej, a konkretniej prawa do wyboru własnej tożsamości i swobody kształtowania relacji międzyludzkich. Modernizacja wiąże się z rozwojem technologii, modernizm – z nadawaniem praw obywatelskich temu, co różne, a więc ze stopniowym poszerzaniem „normalności” i tworzeniem społeczeństwa inkluzywnego. Każde społeczeństwo musi samodzielnie ułożyć relacje między tymi dwoma procesami. Co więcej, każde społeczeństwo musi pamiętać, że obie sfery pozostają w ciągłym ruchu, więc zasad nie da się ustalić raz na zawsze. Nowoczesność nie wywołuje ostrych konfliktów tylko w tych społeczeństwach, w których obie te sfery są ustawicznie do siebie odnoszone, a ich rozwój jest uzgadniany. A schizofrenia polskiej nowoczesności polega na ustawicznym rozłączaniu obu tych sfer: III RP toczyła się wedle naiwnego i zgubnego przekonania, że stopniowy rozwój infrastruktury zmieni sferę obyczajową. Zgodnie z tym przekonaniem ludzie mający do dyspozycji 60 kanałów telewizyjnych któregoś dnia wstaną przed telewizorów, by zagłosować za przyznaniem mniejszościom seksualnym prawa do zawierania małżeństw i adopcji dzieci. Z kolei IV RP to pomysł odwrotny: sądzi się, że tylko twarda obrona starej obyczajowości pozwoli rozwinąć zmodernizowane państwo. Zakłada się więc postęp technologiczny wspierany przez konserwatyzm obyczajowy. Błąd III RP polegał na przekonaniu, że tolerancja przyjdzie ze strony zamożności i technologii, błąd IV RP wynika z założenia, że trening konformistyczny, konieczny dla zakonserwowania społeczeństwa, może doprowadzić do powszechnej wynalazczości.

RS: Skoro nowoczesność nie zdaje egzaminu, to próbujemy wrócić do sprawdzonych, tradycyjnych wzorców. Gdzie tu błąd?

PC: Sęk w tym, że w Polsce nie ma czegoś takiego jak tradycja obyczajowa. Cała polska obyczajowość jest zanurzona



ANDRZEJ RYBICKI/NSK/PAP (2)

w nowoczesności. Politycy, którzy upierają się, że można obyczajowość przeciwstawić nowoczesności, lepią tradycję wąską, na przykład z nuklearnej rodziny i katolicyzmu. Nie dopuszczają do siebie świadomości, że co piąte dziecko w Polsce pochodzi dziś z nieformalnych związków, a co trzecie małżeństwo kończy się rozwodem. Krótko mówiąc, separowanie sfery technologicznej od prawno-obyczajowej jest źródłem najpoważniejszych problemów, a nie ich rozwiązaniem. Schizofrenia polskiej nowoczesności jest stanem, który nie pozwala tego dostrzec.

„Jak oni nie żyją!”

RS: Sporo mówi pan o polskim wstydzie, znacznie mniej o dumie. We wspomnianym raporcie określa pan narodową dumę mianem zatrutej. Co to znaczy?

PC: Duma, podobnie jak wstyd, jest jedną z najsilniejszych więzi społecznych. Problem z dumą polega na tym, że przez całe dwa tysiąclecia nie udało jej się schrystianizować. Chrześcijaństwo ufundowało pojęcie godności, które oznacza, że mogę mieć godność tylko wtedy, gdy przyznaję ją również bliźniemu. W tym sensie godność jest prospołeczna i egalitarna. Nie można bowiem zachować godności własnej, odmawiając komuś jego godności. Nie można okazać się godnym, upokarzając bliźniego. Tymczasem duma jest elitarna, ponieważ oznacza ona dysponowanie prawem do wskazania tych, którzy na dumę nie zasługują. Być dumnym można tylko czymś kosztem. Istnieją jednak – bardzo chwiejne, choć szlachetne – próby zachowania dumy i przekierowania jej ogromnej energii na inne cele.

RS: Na przykład?

PC: Pierwszy z nich wiąże się ze wstydem. Związek ten można ująć w maksymę: jestem dumny, ponieważ potrafię doświadczać wstydu. W tej paradoksalnej etyce dumy z powodu wstydu żadna krzywda wyrządzona bliźniemu nie może być źródłem dobrych emocji. Przeciwnie, zakłada się tutaj, że możemy być dumni tylko wtedy, gdy potrafimy wstydzić się za to, co zrobiliśmy bliźniemu. Ale nawet na pierwszy rzut oka widać, jak nieprawdopodobnie głęboko trzeba by przebudować polskie nauczanie historii, polską katechezę, polską codzienność, aby mogło pojawić się oświadczenie: „Wstydzimy się zła, które wyrządziliśmy Żydom, i z tego wstydu jesteśmy dumni”. Słyszysz pan to zdanie? Ono jest z innej planety!

RS: A czy poza ową dumą z możliwości odczuwania wstydu może pan wymienić inne przykłady zdrowej dumy?

PC: Pomysł równie paradoksalny, równie wywrotowy, znaleźć można w polskiej prozie rodzinnej, m.in. u Tomka Tryzny, Kingi Dunin, Wojciecha Kuczoka czy Ignacego Karpowicza. Prowadzi

on do innej zasady: jestem dumny z tego, że potrafię nie zawstydząć. Oznacza to, że odczuwam dumę tylko wtedy, gdy nikogo nie poniżam, nikim nie gardzę, nikogo nie pouczam. Albo wyraźniej: bądź dumny, jeśli potrafisz nawiązać porozumienie z drugim człowiekiem, nie zawstydzając

go. Wprowadzenie takiej etyki wymagałoby radykalnej zmiany polskiej codzienności, polskiego życia rodzinnego, polskiej komunikacji. Polskie życie polityczne bez pouczeń, bez retoryki poniżania, upokarzania, zawstydzania. Brzmi to równie abstrakcyjnie, prawda?

RS: Z pana słów wynika, że nie mamy żadnych powodów do dumy. A co z dumą z powstańców warszawskich, żołnierzy wyklętych, krwi przelanej za ojczyznę?

PC: Jest ważna, jeśli pozwala poszerzać społeczność. Jest samobójcza, jeśli opiera się na odbieraniu godności innym. A dziś w Polsce dominuje ta druga. Jest w niej coś samobójczego, ponieważ zaczyna się ona od poczucia braku w życiu własnym. Konkretnie – od poczucia niedostatku szacunku w sferze codziennej. Za mało jest szacunku dla sumienności, słowności, rzetelności; nie okazuje się szacunku za dobrą opiekę nad dziećmi, za codzienną pracę, za normalny trud. A właśnie zwykłe uczynki, przeciętne działania, powszechne prace zasługują na szacunek, ponieważ to one podtrzymują całą rzeczywistość. Tymczasem po równinach polskiego życia codziennego hula wiatr obojętności bądź lekceważenia. Aby zyskać szacunek, trzeba od razu ubiegać się o dumę.

Oczywiście duma należy się tym, którzy walczyli za ojczyznę. Problem jednak polega na tym, że ci, którzy czczą narodową dumę, sami siebie pozbawiają prawa do codziennego szacunku. Bo poprzeczka dumy z powstańców warszawskich jest zawieszona powyżej życia codziennego – robienia zakupów, wynoszenia śmieci, rzetelnego wykonywania swojej pracy i opieki nad dziećmi. Uruchamia to zabójczą dynamikę: im bardziej spustoszona jest polska codzienność, tym bardziej agresywnie żąda się czci dla bohaterów, a im głośniejsze krzyczy się „chwała bohaterom!” i „śmierć wrogom ojczyzny!”, tym większą pustką ziele codzienność. Skutki czerpania energii życiowej ze zmarłych bohaterów można zrozumieć, czytając dramat Doroty Masłowskiej „Między nami dobrze jest”. Jedna z bohaterek mówi tam o powstańcach: „Jak oni nie żyją!”. Oni, czyli ci, którzy zginęli za ojczyznę, „nie żyją” intensywniej i piękniej, niż żyjemy my, którzy „tylko” żyjemy. Taka ekstatyka patriotyczna działa jak maszyna przemieniająca całe społeczeństwo w zombi: każdy, kto odczuwa swoje życie jako niepełne i nie dość żywe, wzmacnia swoje nieżycie „prawdziwym” życiem zmarłych, a potem kąsa innych żywych i zaraża ich swoim nieżyciem. Takie są konsekwencje niedostatku szacunku w sferze codziennej.



Wyprowadzka z mapy

RS: Dokąd dziś zmierza Polska?

PC: Pana pytanie zaprasza do śmiałych prognoz, a ja mam tylko skromną obserwację dotyczącą narracji literackich i politycznych. Z obserwacji zaś wynika, że Polska znajduje się w stanie historycznego dryfu, czyli bezwładnego pływu w niewiadomym kierunku.

RS: Dryf oznacza unoszenie się bez celu, niedostatek siły i woli. Jednak chyba nie zaprzeczy pan, że jeżeli potraktować ów polski dryf geopolitycznie, to da się w nim zauważyć pewną energię?

PC: Energia aktualnego ruchu nie wynika z dążenia do określonego celu, lecz z odrywania się od naszych dotychczasowych miejsc zacumowania – od czterech większych całości, do których należeliśmy. Te cztery całości pokrywają się, umownie rzecz jasna, z czterema kierunkami geograficznymi. Od zachodu zrywamy połączenie z Europą i Unią, na południu trwa demontaż Europy Środkowej, na północy zahamowaniu uległ proces przymierzania się do modelu skandynawskiego, a na wschodzie trwa proces izolowania się od Litwy, Białorusi i Ukrainy. Oczywiście te cztery większe całości należy wyobrażać sobie nie tyle jako trwałe układy państw, ile raczej jako pola grawitacyjne o różnej sile przyciągania. Niejednolita jest ich historyczna trwałość, a także nasza obecność w każdej z nich, ale trudno zaprzeczyć, że wypisujemy się z tych układów.

RS: Jakie są przyczyny naszej – jak ujął to pan w swojej ostatniej książce – „wyprowadzki z mapy”? Co izoluje nas od europejskich sąsiadów?

PC: Zbiegły się w czasie dwa procesy. Pierwszy, kulturowy, polegał na zakwestionowaniu dotychczasowych narracji, które nas zakotwiczały w większych całościach. Drugi, polityczny, to faktyczne zrywanie powiązań.

RS: Wiemy o tym z literatury?

PC: W dziesiątkach tekstów literackich na różne sposoby podważono reguły naszej przynależności do Europy Wschodniej, Europy Środkowej, Europy Zachodniej i Europy Północnej. Na wszelki wypadek zaznaczę, że tę rozbijacką robotę uważam za jedną z najważniejszych rzeczy, jakich polska literatura ostatniego trzydziestolecia dokonała w naszej wyobraźni geograficzno-historycznej. Bo pisarze pokazali, że nasze narracje są przestarzałe albo iluzoryczne, nieadekwatne albo słabe.

RS: Nakładamy na mapę stare opowieści?

PC: Zgadza się. I te opowieści oddzielają nas od rzeczywistości. Od wschodu izolują nas widma Rzeczypospolitej szlacheckiej. Są to narracje, które mówią, że na Kresach zgodnie współżyło wieloetniczne społeczeństwo, poskładane z Ukraińców, Białor

usinów, Litwinów, Żydów, Niemców, Tatarów i Polaków, i że ta zgoda narodów, funkcjonująca niczym Atlantyda, została zatopiona przez komunistyczną rewolucję, a potem przez faszyzm. Dopóki trwamy w tych narracjach, dopóty nie jest możliwe utworzenie sensownych powiązań z naszymi wschodnimi sąsiadami.

Od południa rządzi naszą wyobraźnią nieaktualna narracja o Europie Środkowej jako krainie tolerancji zamieszkiwanej przez społeczeństwo obywatelskie miłujące wolność i tworzące autentyczną kulturę. Zatem Europa Środkowa jest bardziej Zachodem niż sam Zachód, ale właśnie Zachód ją zdradził, porzucając na pastwę Rosji sowieckiej w 1945 r. Po wejściu do Unii (2004 r.) nie zauważyliśmy jednak, że tę narrację należy odnowić, pytając choćby o wartości obywatelskie w działaniu.

Od zachodu rządzi naszą wyobraźnią narracja o możliwości istnienia w Europie na zasadzie prostej wymiany towarów, ludzi, pieniędzy i technologii. Zaś od północy – przeświadczenie, że wzrost PKB samoczynnie doprowadzi do poprawy demokracji. Zarazem z polskiej literatury wyczytać można coś więcej – warunki odnowy narracji, warunki innego łączenia się z większymi całościami. I tu ujawnia się kluczowa różnica między aktywnością literacką i polityczną. Bo politycy specjalizują się w zrywaniu, które nazywają suwerennością, choć nie potrafią odpowiedzieć na elementarne pytania dotyczące dalszego ciągu. Literatura okazuje się pod tym względem dużo bardziej odpowiedzialna.

RS: Co proponuje?

PC: Trzeba zdekolonizować i zdenacjonalizować nasze narracje wschodnie. Od zachodu natomiast trzeba zbudować infrastrukturę codzienności, a więc sieć powiązań, która pozwoli na przepływ nie tylko pieniędzy i ludzi, lecz także praw, norm obyczajowych, problemów i zobowiązań. Wejść do Unii znaczy brać udział w rozwiązywaniu jej problemów. Kto nie chce pomagać Unii, ten sam się z niej wypisuje.

Od południa trzeba dostrzec, że aktualne układy i umowy tworzące Europę Środkową są iluzją pracującą na rzecz sojuszu egoistów. Państwa wchodzące w skład takiego sojuszu popierają nawzajem swoje dążenia izolacyjne i nie deklarują żadnej wzajemnej pomocy. Kiedy Grupa Wyszehradzka się rozpadnie – a Czechom i Słowacji coraz mniej po drodze z Polską – zostaniemy sami.

Zaś aby wejść w relacje z Północą i odnowić nasze skandynawskie marzenie, trzeba podjąć pracę nad zaufaniem społecznym. A zaufanie można zbudować tylko poprzez większą równość – między klasami społecznymi, płciami, preferencjami seksualnymi. Nie istnieje demokracja bez powszechnego udziału, a powszechny udział nie jest możliwy w ramach polityki opartej na coraz powszechniejszych wykluczeniach. Dopóki nowe narracje nie powstaną i nie zostaną zakotwiczone w konkretnych prawach i instytucjach, dopóty Polska będzie dryfowała.

Wystarczy **szanować publiczność**

O urokach życia i grania poza miastem, kryteriach dobrego teatru oraz o relacji między sztuką i biznesem z **Janem Jakubem Należytym** rozmawia Kamil Broszko.



Jan Jakub Należyty w spektaklu „Viagra i chryzantemy”

© ARCHIWUM KTK

Kamil Broszko: W różnych wypowiedziach afirmuje pan wiejskie życie, przyznaje się do silnych związków z wsią, a nawet sympatii do traktorków...

Jan Jakub Należyty: Wieś jest dla mnie najlepszym miejscem do życia. Pomysł zamieszkania na wsi wyszedł od mojej żony. Na początku, jako człowiek miasta, nie bardzo chciałem przeprowadzić się na wieś. Myliłem się. Wieś pozwala nabrać dystansu, odpocząć; czuję się jak na nieustających wakacjach. Las, sarny, w zagrodzie dwa konie, dwa psy i kilka półdzikich kotów... Życie nie umierać. A małe traktory – po prostu lubię.

KB: Istnieje pojęcie teatru mieszczańskiego, odnoszone najczęściej do komedii, choć nieraz wiązane również z teatrem mniej ambitnym. Czy pan się zgadza na taką kategoryzację i umieszczanie Krakowskiego Teatru Komedia w tym nurcie?

JJN: Ci, którym to potrzebne, niech sobie kategoryzują. Dla mnie najważniejszy jest odbiór widzów. Szanujemy naszą publiczność i dlatego nie pozwalamy sobie na bylejakosć. Zawsze powtarzam, że przez pięć lat istnienia Krakowskiego Teatru Komedia nie było ani jednej złej opinii na temat naszych komedii. Naszą ambicją jest wysoka jakość – i to chyba wystarczy. Kategoryzacje zostawiam teoretykom teatru.

KB: Współczesny teatr niekomediowy silnie eksploruje sfery abstrakcji i polityczności. Zapewnia to rozgłos i pochwałę krytyków, ale niekoniecznie uznanie wielkich postaci polskiego teatru.

JJN: Nie lubię szokować i być szokowanym, ale jeśli są odbiorcy, a przekaz ze sceny wnosi coś nowego, odkrywczego, to nie odmawiam takiemu teatrowi prawa do istnienia, choć raczej na widowni nie zasiądę, bo to nie moja bajka.

KB: Czy teatr bez siedziby (tak działa Krakowski Teatr Komedia) jest pokłosiem współczesnych trendów w biznesie związanych mobilnością, czy nawiązaniem do dziedzictwa wędrownych trup teatralnych?

JJN: Brak stałej siedziby wynika z przyczyn ekonomicznych. Koszty utrzymania siedziby są ogromne, a my jesteśmy młodym teatrem, mamy dopiero pięć lat. Nie wykluczam w przyszłości posiadania naszego „teatralnego miejsca na ziemi”, ale to jeszcze nie ten czas. Rzecz jasna jesteśmy trupą wędrowną, ale wędrujemy do sprawdzonych miejsc i wracamy do nich co jakiś czas, co dowodzi, że nasza praca podoba się odbiorcom. Jest taki przedwojenny list aktora do żony: „Droga żono, wczoraj w Kielcach odnieśliśmy ogromny sukces. Dziś idziemy do Radomia”. W pewnym sensie nawiązujemy do dziedzictwa wędrownych aktorów, ale przemierzamy się samochodami.



KB: Znaleźliście przystań w Niepołomicach.

Czy to potwierdzenie trendu decentralizacji w sztuce?

JJN: Przypadek sprawił, że nawiązaliśmy kontakt z Małopolskim Centrum Dźwięku i Słowa w Niepołomicach w sprawie wynajmu sali na próby. Wtedy rozpoczęliśmy stałą współpracę z dyrektorem obiektu, panem Kajetanem Konarzewskim. To właśnie w Niepołomicach „stawialiśmy” dwie komedie. Zaś decentralizacja sztuki ma miejsce i ma się dobrze. Bardzo wiele dobrego dzieje się na tzw. prowincji. Życie kulturalne nie ogranicza się już jedynie do dni miasta czy gminy. Można dyskutować czasem o poziomie kulturalnych działań, ale chodzi przede wszystkim o to, żeby coś robić, zająć się czymś mądrzejszym niż zbijanie bąków czy nadużywanie alkoholu dla zabicia nudy. Oczywiście trafiają się pustynie kulturalne, ale jest ich chyba coraz mniej.

KB: Początek pana kariery to było przysłowiowe wysokie C – wygrana na festiwalu w Opolu. Czy łatwiej tak zaczynać drogę artystyczną, czy lepiej powoli piąć się na szczyt?

JJN: To zależy, komu się trafi wysokie C. Ja miałem wtedy 18 lat, nie byłem w stanie ocenić sytuacji z dystansem. W moim przypadku byłoby dużo lepiej piąć się powoli na szczyt.



Ewa Dałkowska i Jan Jakub Należyty w spektaklu „Viagra i chryzantemy”

Jan Jakub Należyty

(ur. 1964 r.) – wiceprezes zarządu Krakowskiego Teatru Komedia, aktor estrady, literat, autor kilkunastu komedii teatralnych i tekstów piosenek dla najwybitniejszych polskich artystów, autor książek dla dzieci i nauczycieli. Piosenkarz, laureat Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu oraz Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Miłośnik i wykonawca piosenek francuskich. Na estradzie i na scenie występuje od 16. roku życia. Mieszka na wsi. W Krakowskim Teatrze Komedia odpowiada za repertuar i artystyczną realizację projektów.

KB: Nieraz opowiadał pan o rozmaitych kosztach związanych z prowadzeniem artystycznego trybu życia...

JJN: Nie jestem psychologicznym ekshibicjonistą. O swoim przypadku alkoholowym opowiadałem na wyraźne prośby prowadzących rozmaite audycje adresowane do osób uzależnionych. Uważałem, że komuś mogę w ten sposób pomóc.

KB: Jest pan miłośnikiem i wykonawcą piosenki francuskiej. Skąd te frankofońskie fascynacje i których twórców ceni pan najbardziej?

JJN: Jacques Brel, Charles Aznavour, Gilbert Bécaud – to moi faworyci, jeśli chodzi o klasyków piosenki francuskiej. Ich utwory zaczarowały mnie już w czasach młodości i tak jest do dziś.

KB: Czy występował pan przed publicznością francuską?

JJN: Śpiewałem we Francji, ale dla Polaków. Śpiewać Brela Francuzom czy Belgom to skazanie się na porażkę.

KB: Krakowski Teatr Komedia na stronie internetowej akcentuje bliskie relacje sztuki z biznesem. Tymczasem u wielu artystów myślenie w kategoriach przedsiębiorczości wywołuje nieraz nawet obrzydzenie...

JJN: Gdyby aktorzy byli konsekwentni w swoim obrzydzeniu do pieniędzy i nie pobierali honorariów, może podzielałbym ich zdanie. Tymczasem bez pieniędzy się nie da. Uważamy ze współnikami, że bliskie relacje z biznesem bardzo pozytywnie wpływają na rozwój, a zwłaszcza wzajemną promocję partnerów. Mamy naprawdę bardzo ciekawe i innowacyjne pomysły dla przedsiębiorców i jestem przekonany, że to dobra droga.

KB: Niedawno Krakowski Teatr Komedia wystąpił na deskach Teatru Narodowego, lecz nie ze spektaklem, a podczas odbierania Godła „Teraz Polska”.

Skąd pomysł na udział w Konkursie „Teraz Polska”?

JJN: Skoro traktujemy teatr jak biznes, skoro mamy osiągnięcia, duży dorobek i reprezentujemy najwyższą jakość, a nasze komedie są napisane przez polskich autorów, to Konkurs „Teraz Polska” wydał się nam najlepszym sposobem promocji naszego teatru. To dla nas wielkie wyróżnienie i duża odpowiedzialność. Działamy nietypowo, gramy w różnych wnętrzach, mamy bardzo ciekawą ofertę dla partnerów biznesowych. Cieszymy się, że nasza praca została zauważona i doceniona przez tak zacne gremium.

Dumy nie można

Elżbieta Cherezińska (ur. 1972 r.) – polska pisarka, teatrolog. Specjalizuje się w powieści historycznej. Absolwentka Wydziału Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Debiutowała w 2005 r. książką napisaną wspólnie z Szewachem Weissem pt. „Z jednej strony, z drugiej strony”, która jest jedyną literacką biografią byłego ambasadora Izraela w Polsce. Od 2008 r. związana z Wydawnictwem Zysk i S-ka. Autorka „Gry w kości”, „Turnieju cieni” i „Legionu” oraz cyklów „Północna droga”, „Odrodzone królestwo” oraz „Harda królowa”. Powieści historyczne ukazujące relacje między Polską Bolesława Chrobrego a cesarstwem Ottona III, intrygi polityczne i walkę o tron w epoce rozbitcia dzielnicowego czy 10 lat losów Władysława Łokietka przed objęciem tronu zapewniły jej miejsce w kanonie polskiej literatury. Mieszka w Kołobrzegu.

© ARCHIWUM ELŻBIETY CHEREZIŃSKIEJ

O powieści historycznej, silnych kobietach i sympatii do piastowskich drani z **Elżbietą Cherezińską** rozmawia Anna Siedlińska.

Anna Siedlińska: Na pani profilu na Facebooku można znaleźć wiele pozytywnych komentarzy. Czytelnicy często podkreślają, że dzięki pani polubili historię Polski. Czuje się pani popularyzatorką?

Elżbieta Cherezińska: Teraz, po napisaniu kilkunastu książek, już tak. Zwłaszcza gdy czytelnicy mówią, że czytając moje powieści, równolegle sięgali po książki historyczne lub choćby szperali w Internecie, by sprawdzić, czy to, co spotyka bohaterów, wydarzyło się naprawdę. Gdy słyszę takie wyznania, czuję, że spełniło się moje marzenie i historia przedarła się przez zakurzoną kurtynę.

AS: W jednym z wywiadów powiedziała pani, że historia wypadła z popkultury. A jednak coraz większą popularnością cieszy się rodzima powieść historyczna, a także takie wydarzenia, jak woliński Festiwal Słowian i Wikingów czy Festyn Archeologiczny w Biskupinie.

ECh: To był dawny wywiad, tyle że przytacza się go często. Wtedy, po „Grze w kości”, pierwszej książce poświęconej Piastom, dziennikarze nieustannie pytali, po co opowiadać o tak dalekiej przeszłości, kogo to dzisiaj obchodzi. Zaciskałam zęby i myślałam: to powinno obchodzić nas wszystkich. Ale też czułam, że skoro po pierwszej książce dziennikarze mają takie wątpliwości, to może powinnam poszukać jeszcze innej formy dla piastowskiej opowieści, innego sposobu na dotarcie do masowej wyobraźni. Dlatego cykl „Odrodzone królestwo” tak bardzo różni się od „Gry w kości”. Festiwale, które pani przywołuje, na wyspie Wolin i w Biskupinie, odbywają się od wielu lat i zawsze miały swoją publiczność, ale trzeba było czasu, by przełożyło się to na powszechność. Dzisiaj chyba każde polskie miasto i miasteczko doczekało się swojego festiwalu lub choćby jarmarku historycznego. Niektórym osobom to przeszkadza; twierdzą, że takich wydarzeń jest już za dużo. A ja się cieszę. Każda okazja i forma jest dobra, by cieszyć się naszą przeszłością, zwłaszcza że takie miejskie małe imprezy często angażują całą lokalną społeczność, od dzieci z przedszkoli i szkół po seniorki z kół gospodyń wiejskich. Dziś nasza historia wraca do łask i cieszymy się z tego. Dzięki temu, że twórcy wzięli przeszłość na warsztat, odbiorca ma dostęp do wielu epok jednocześnie. Jak dla mnie – bosko!

AS: Przejdźmy zatem do problemów większego kalibru. Czy pani pisarstwo ma ambicję krzewienia narodowej dumy, patriotyzmu?

się nauczyć

ECh: Duma? Tak, ale trzeba z nią uważać, bo zaskakująco łatwo przechodzi w pychę. Nasza przeszłość jest barwna i fascynująca, ale zawsze, gdy opowiada się o niej, trzeba być czujnym, by nie kreować narracji, która zacznie być obraźliwa dla sąsiadów. Gdy opowiadam na przykład o wojnie Chrobrego z cesarzem, wojnie wygranej przez naszego władcę, albo o zdobyciu przez niego Kijowa, czyli o dość jednoznacznym miecie zwycięzcy, chcę to zrobić tak, by nie budować obrazu kosztem pokonanych. Mamy wielkie tradycje literatury rozrachunkowej, opartej na własnej przegranej. Potem był Sienkiewicz i jego idea „pokrzepienia serc”, która pozwalała odnaleźć pozytywne wartości nawet w wojnach przegranych. Jednak on też bardzo mocno podkreślał, że dumę narodową trzeba budować z szacunkiem dla innych narodów. Ten aspekt myśli Sienkiewicza jest w mojej pracy punktem wyjścia.

AS: Z istotą patriotyzmu mamy chyba jednak pewien problem. Sami nie do końca wiemy, czym on jest i jak powinien się przejawiać?

ECh: To prawda, mamy pewną skłonność do skrajności. Może potrzebujemy jeszcze kilku lat, aby zrozumieć, że patriotyzm to rzecz wielka i zwykła jednocześnie. Że to te proste czynności, które wykonujemy na co dzień: dbałość o dom, miasto, w którym mieszkamy; ciekawość przeszłości i szacunek dla pokoleń, które były przed nami. Że częścią patriotyzmu jest kultura osobista. Jednocześnie powinniśmy uczyć się historii i kultywowania tradycji, a także odnajdywania dla nich miejsca w dzisiejszej, multimedialnej kulturze. Wciąż wierzę, że znajomość historii własnego kraju, ale i sąsiadów, jest najlepszą lekcją patriotyzmu uwolnionego od wpływów nacjonalizmu. Przecież szacunek nie może być wybiórczy, skierowany tylko do własnej nacji. Jest wartością wyższą i przenosi się na wszystko, co robimy.

AS: Przemysław Czapliński twierdzi, że literatura nie powinna łączyć dziur, tylko je odnajdywać.

ECh: Myślę, że jesteśmy w tym szczęśliwym momencie, w którym literatura robi i jedno, i drugie. To znaczy przywołuje chwałę, poszukuje miejsc zapomnianych i jednocześnie podejmuje temat klęski. Wyborem twórców nie da się zarządzać odgórnie. Dzięki Bogu, sięgają po to, co ich interesuje, więc i czytelnik otrzymuje wybór. Może czytać o chwilach wielkich, ale także o porażkach. W historii nikt nie jest wiecznym zwycięzcą. A czy będzie wiecznym przegranym, zależy często od tego, czy z klęski potrafi wyciągnąć wnioski.

AS: Jednak Polacy kochają przegranych. Obchodzimy rocznice nieudanych powstań, wybuchu przegranej wojny... Czyżbyśmy nie potrafili odnaleźć w polskiej historii wielkich momentów i postaci, które napełniłyby nas dumą?

ECh: Nie zmienimy przeszłości. II wojna światowa była hekatombą i obchodząc rocznicę jej wybuchu, ale i zakończenia, kształtujemy świadomość, że wojna to najgorsze, co może się przydarzyć ludzkości, to porażka człowieka. Ale zgadzam się z panią, że brakuje nam świąt radosnych. W zeszłym roku hucznie obchodziliśmy rocznicę chrztu Polski – i to było święto pozytywne. Chętnie dorzuciłabym do kalendarza najważniejszych świąt rocznicę koronacji Chrobrego, rocznicę koronacji Przemysła II (pierwszy król po ponad 200 latach rozbitcia dzielnicowego) czy koronacji Łokietka. Albo symboliczne urodziny dawnych wielkich królów i królowych. Pomysłów jest mnóstwo, musi być jeszcze wola. Czasami odnoszę wrażenie, że w naszym podejściu do historii brakuje luzu. Za bardzo się napinamy, ma być poważnie, na baczność. Z pomnikiem i wieńcem. Może i tak, ale dla młodych ludzi to raczej nudne. Nikt nie zakocha się w pomniku, nawet jeśli król i królowa na cokole będą mieli sylwetki celebrytów. Historia potrzebuje legendy, opowieści, która ożywia. Taka opowieść może stać się źródłem fascynacji i dumy. Bo dumy nie można się nauczyć, ona musi płynąć z wiedzy o przeszłości i miłości do niej.

AS: Nietrudno spotkać się dziś z opiniami, że historią nie warto się zajmować i że trzeba iść do przodu, a nie wciąż spoglądać za siebie...

ECh: Roślina bez korzeni nie będzie owocować. Wiedząc, skąd jesteśmy, precyzyjnie określimy, dokąd zmierzamy. W dodatku, co ważne, możemy szybciej diagnozować zagrożenia. Lekcja z początku XX w., gdy na oczach oświeconej społeczności europejskiej wykuły się dwa wielkie systemy totalitarne i zebrały swe krwawe żniwo, nie może umknąć naszej uwadze na początku XXI w.

AS: Czy wobec tego Polacy potrzebują dziś polityki historycznej?

ECh: Oczywiście, że potrzebujemy polityki historycznej, tak jak wszystkie narody obok nas. Jednak – jak powiedziałam wcześniej – ona musi być oparta na wiedzy i świadomości zmienności dziejów, a nie na wybiórczym patrzeniu na jeden konkretny okres historyczny. Wbrew temu, co pokutuje w powszechnej świadomości, że jesteśmy tylko narodem cierpiętników ciężko doświadczanych przez historię, w naszej przeszłości były okresy wspaniałego rozkwitu, „punkty świetlne”, do których warto nawiązać, tworząc nie tylko politykę historyczną, ale może nawet kulturę historyczną. Kultura ma nieprawdopodobną moc kształtowania wyobraźni. Jest magią, której siłę poznał człowiek na początku swej drogi, malując zwierzęta w jaskini Lascaux i wielkie bitwy na skałach w Tanum.

AS: W pani twórczości szczególną rolę pełni średniowiecze, które nigdy przecież nie miało dobrej prasy. Teraz jednak ta epoka cieszy się coraz większym zainteresowaniem twórców popkultury. Możemy już mówić o ponownym odkryciu bogactwa i znaczenia wieków średnich?

ECh: Chyba nie będzie przesady w stwierdzeniu, że średniowiecze wróciło do łask szerokiego odbiorcy. Z jednej strony zawdzięczamy to trwającej latami „pracy u podstaw”, czyli przywołanym przez panią festiwalom historycznym oraz książkom popularzatorskim. Ale średniowieczu bardzo pomogła także literatura fantasy. Wiem, że wielu krytyków wzrusza ramionami i wytyka jej autorom wszelkie braki, ale nie ulega wątpliwości, że to oni, adaptując średniowieczny anturaż do swoich potrzeb, pokazali epokę olbrzymiej grupie młodych odbiorców. Paradoksalnie wielu młodych czytelników fantasy to ci sami ludzie, którzy angażują się w rekonstrukcje średniowieczne; z biegiem czasu historia zaczyna ich interesować równie mocno, jak wybujała na jej podstawie fikcja.

AS: Maria Janion pisała w „Niesamowitej słowiańszczyźnie”, że chrystianizacja odebrała nam coś niezwykle istotnego, bowiem utraciliśmy rdzeń naszej zbiorowej tożsamości, czego efektem jest fundamentalne pęknięcie w tożsamości Polaków (i szerzej – Słowian).

ECh: To temat znacznie przekraczający ramy tej rozmowy, bo musiałybyśmy przeanalizować, co jest tym rdzeniem zbiorowej tożsamości. Prawdą jest, że nasza słowiańskość ma problem z zakotwiczeniem się w konkretnych mitach. Żałuję, że nie mamy, jak Skandynawowie, spisanej słowiańskiej kosmogonii. Badacze próbujący ją odtworzyć mają niemały kłopot. Czujemy naszą słowiańskość, lecz nie umiemy jej zdefiniować. Co to znaczy, że jesteśmy Słowianami? Nie mamy jednak żadnych dowodów na to, że chrystianizacja na naszym terenie była procesem szczególnie okrutnym (o Prusach czy Litwie można już tak powiedzieć). Nie mamy pojęcia, jacy byśmy byli, gdyby nie tysiącletnie chrześcijaństwo. A ono ukształtowało się na tym rdzeniu, który był w naszych przodkach wcześniej. Możemy żałować, że nie przetrwało „słowiańskie chrześcijaństwo” Cyryla i Metodego (bardzo nowoczesny pomysł jak na owe czasy). Jednak jeśli komuś w duszy gra słowiański sentyment, to znajdzie dzisiaj wiele stowarzyszeń, które próbują do niego wrócić i tę słowiańską wiarę odnowić.

AS: W swoich powieściach nie gloryfikuje pani bohaterów, a pokazuje zarówno ich sukcesy, jak i porażki oraz czyny, które moglibyśmy dziś uznać za – łagodnie mówiąc – kontrowersyjne. Nie kusiło pani, by idealizować naszych władców?

ECh: Jestem w nich tak zakochana, że nie muszę ich idealizować. Lubię nawet tych piastowskich drani.

AS: W pani powieściach niektórzy recenzenci doszukują się aluzji do współczesnej polityki. Czyżby istota jej uprawiania tak niewiele się zmieniła od średniowiecza?

ECh: Istota nie zmieniła się wcale, bo ludzie wciąż mają takie same pragnienia. Władza, bogactwo, sława, miłość itd. Zmieniają się sposoby uprawiania polityki. Kiedyś narzędnikiem pokazującym,

kto ma rację, był topór, później kusza, dzisiaj często jest nim przestrzeń wirtualna. Ale przyznam, że drażni mnie to szukanie aluzji do współczesności, bo pokazuje naszą zarozumiałość. Czy władca sprzed tysiąca lat nie może być ciekawy sam w sobie? Może.

AS: „Harda” jest powieścią o silnej kobiecie w świecie rządzonym przez brutalnych mężczyzn. Czuje się pani feministką?

ECh: Gdyby nie feministki i ich zwycięski bój stoczony o miejsce i pozycję kobiet, nie mogłabym iść na wybory i robić wielu rzeczy, które dzisiaj wydają się nam oczywiste jak oddech. A nasza rozmowa zapewne odbyłaby się w kąciку porad kuchennych i dotyczyła przepisu na cudowne niedzielne ciasto, które zawsze wychodzi. Nikt nie słuchałby naszego głosu w sprawach innych niż wychowanie dzieci i prowadzenie domu. Chwała siostrze feministkom!

AS: Skoro dotarliśmy do kobiet... O większości bohaterek pani powieści nie dowiemy się niczego z kart podręczników do historii. Świętosława, siostra Bolesława Chrobrego, Ryksa Elżbieta czy też Elżbieta Łokietkówna – wszystkie są w zasadzie nieobecne w świadomości zbiorowej. Jakie inne wybitne Polki, o których zapomnieliśmy, mogłyby dziś być dla nas źródłem narodowej dumy?

ECh: Wspomniane przez panią Elżbieta Łokietkówna i Ryksa (zwana przeze mnie Rikissą) to doskonałe przykłady. Druga nosiła szczytny tytuł *bis regina* (z łac. podwójna królowa) i była pierwszą Piastówną, która została królową Polski i Czech. Zaś Elżbieta Łokietkówna miała chyba wybitniejszy umysł niż jej słynny brat, Kazimierz Wielki (przy całej sympatii do niego), i to jej zręcznej polityce, jako królowej Węgier, zawdzięczamy Jadwigę Andegawerską na tronie. Sama Jadwiga jako król Polski zasługuje na nieustanną uwagę. Albo Anna Piastówna, która toczyła wojnę z Zygmuntem Starym. To była kobieta niesamowitego formatu. Nie mniej ciekawe są Jagiellonki – Izabela, królowa Węgier, i jej siostry. Katarzynę, królową Szwecji, usiłował poślubić car Iwan Groźny. Zaś Annę, fascynującą kobietę, zapamiętano niestety tylko jako tę najbrzydszą z siostr. Wiele jest także mało znanych księżniczek i księżnych, których życiorysy czekają na odkrycie. Nasza uwaga należy się także żonom naszych władców, „dziewczynom z importu”, które wzbogaciły polską wyobraźnię i kulturę. Ich niekwestionowaną liderką jest Bona Sforza. Warto się jednak przyjrzeć dwóm córom Arpadów, siostrze Jolencie i Kindze. Obie świątobliwe, Kinga nawet święta, ale w ich życiu, poza adoracją Boga, było nieprawdopodobnie dużo polityki i obie były w jej uprawianiu niezłe. I księżna Jadwiga z Meranu, żona Henryka Brodatego, twarda babka, której bali się awanturniczy Piastowie; ta, co wraz z synową, Anną Przemyślidką, na polach pod Legnicą szukała zwłok syna, księcia Henryka, i znalazła je bez głowy. Rozpoznały Henryka Pobożnego po sześciu palcach u stopy. Zaczyna się jak historia sensacyjna? No pewnie!

Fabryka Dwurnika



© JOANNA MIESZKO-NITA

O pracy ciągłej, niechęci do autoportretu oraz o kupowaniu supersamochodów z **Edwardem Dwurnikiem**, malarzem i grafikiem, rozmawiają Kamil Broszko i Marzena Tataj.

Edward Dwurnik: O polityce nie rozmawiamy.

Kamil Broszko: Ale o bieżącej czy o polityce w ogóle?

ED: W ogóle nie rozmawiamy o polityce.

KB: Tylko jak uniknąć polityki, skoro ona chce o wszystko zahaczyć?

ED: Komuniści mówili, że wszystko jest polityką.

KB: Może akurat w tej sprawie komuniści mieli rację?

ED: Może mieli. Dla nich polityka i rządzenie to były główne cele.

Marzena Tataj: Ale pan, komentując sprawy bieżące, siłą rzeczy też nawiązuje do polityki.

ED: Raczej komentuję sprawy społeczne, a w mniejszym stopniu polityczne. Co mnie właściwie obchodzi polityka? Namalowałem kiedyś taki obraz „Politycy to kurwy”. Palikot się z nim fotografował i nawet planował zakup, ale później wciągnęła go polityka i zrezygnował. Obraz nabył inny biznesmen i dziś jest w prywatnych rękach. Kiedyś malowałem dużo aktualnych, społecznych obrazów. Jest wśród nich cykl „Sportowcy”. Nie zakładałem, że będzie na sprzedaż, a dziś z kolekcji 300 obrazów zostało mi raptem kilkanaście. W ostatnich 10 latach sprzedawałem prawie wszystko – głównie do kolekcji muzealnych. Namalowałem też kilka politycznych obrazów, m.in. „Ja chcę do sejmu”.

KB: A w tym tytule, poza humorem i prowokacją, może się kryć trochę autentycznego dążenia?



„Bitwa pod Grunwaldem”, Edward Dwurnik

ED: Tak, wtedy wszyscy chcieli do sejmu. *(śmiech)* Namalowałem też obraz „III Rzeczypolita to my”, czyli wszystkich posłów na sali sejmowej. Obraz był nieco abstrakcyjny. Zamówiłem napis u Stanisława Pucha, najlepszego liternika w Polsce powojennej, który wpisał nazwiska wszystkich 460 parlamentarzystów i zmieścił je idealnie, od jednej krawędzi do drugiej, po skosie. To były czasy AWS i Suchockiej. Rząd padł przez to, że jeden poseł dostał rozwolnienia i nie zdążył na głosowanie. I Suchocka musiała wyjechać do Watykanu.

KB: Do pana domu wchodzi się przez garaż i tam dzieją się ciekawe rzeczy...

ED: Mam tam skrzynie zaprojektowane i wykonane przez mojego kolegę. Nie byłem w stanie pomieścić namalowanych obrazów w domu, więc część znajduje się w skrzyniach. A może nawiązuje pan do samochodów, które tam stoją?

KB: Tak.

ED: Bardzo lubię samochody, przede wszystkim nowe. Nie lubię staroci.

KB: Z czego wynika ta sympatia do motoryzacji?

ED: Wszystko zawsze przychodziło do mnie za późno. Jak byłem młodym chłopakiem i mieszkalem w Grójcu, to chciałem mieć rower. Ale ojciec kupił mi jedynie plastikowe gogle. Zakładałem je, brałem w ręce kijek i udawałem, że mknę przed siebie. I było fajnie. Zawsze wszystko przychodzi za późno. Więc kiedy już zaro-

biłem trochę, sprzedając jakieś obrazy w galeriach, natychmiast kupowałem sobie supersamochód. Albo gdy się wkurzyłem na jakiegoś dziennikarza. Teraz już jestem odporny. Dotarło do mnie w końcu, że to, co mówię i myślę, jest inaczej postrzegane i interpretowane przez osobę, która mnie słucha. Prawdopodobnie tak samo będzie z tym wywiadem. Raz się tak wnerwiłem na dziennikarza „Gazety Wyborczej”! Wszystko opacznie zinterpretował, w dodatku świątecznym napisał na mój temat same głupoty. Tak byłem rozdrażniony, że poszedłem sobie kupić mercedesa, aby się uspokoić. I tak się zaczęło. Miałem między innymi porsche 911 carrerę – model nazywany ze względu na kształt świateł jajeczną. Następnie miałem drugą carrerę z napędem na cztery koła i wymieniłem ją na porsche cayenne. Ten ostatni to jest bandzior. Ma 510 koni mechanicznych. Moja przyjaciółka Joanna kocha nim jeździć. A później kupiłem jeszcze porsche boxtera, czyli kabriolet, ale jego nie da się raczej używać w Polsce. Robię nim przejażdżki do Wilanowa. Trzeba uważać na słońce. Kiedyś miałem mercedesa SL cabrio i tak mnie spaliło, że schodziła mi skóra z całej twarzy. A poza tym jazda kabrioletem w mieście to samobójstwo, nie ma czym oddychać, bo trują diesle.

KB: Ale takim wozem można przeskoczyć przez Polskę, Czechy i pojechać na południe, na przykład do Włoch.

ED: Nie mam czasu z powodu zamówień. Chociaż nieraz gdzieś wyskoczę, ale raczej samolotem. Niedawno chciałem polecieć do Rzymu, ale na szczęście nie poleciałem. W Rzymie kończy się woda pitna, władze wprowadziły jej racjonowanie.



„Poznań”, Edward Dwurnik



„Kolejarz państwowy”,
Edward Dwurnik



© JOANNA MIESZKO-NITA

Edward Dwurnik (ur. 1943 r. w Radzyminie)

– wybitny polski malarz i grafik, jedna z najbardziej rozpoznawalnych osobowości polskiej sztuki współczesnej. Jedyne polski artysta, któremu udało się odnieść międzynarodowy sukces przed transformacją (m.in. udział w wystawie „Documenta 7” w Kassel w 1982 r.). Niezależnie od uznania w kręgach profesjonalnych, stał się popularny we wszystkich środowiskach konsumentów sztuki. Niepokorny i prowokacyjny, do dziś budzi skrajne emocje, także wśród twórców najmłodszego pokolenia.

W latach 1963–1970 studiował malarstwo, grafikę i rzeźbę na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

W 1965 r. rozpoczął niezależny od toku studiów cykl rysunków i akwael, a od 1966 r. – obrazów olejnych „Podróż autostopem”, przedstawiający charakterystyczne widoki miast z lotu ptaka (kontynuowany do dziś). Od 1970 r. powstało kilkanaście innych cykli malarskich, m.in. „Sportowcy” (1972–1978)

– jedna z najwyżej cenionych obecnie serii malarskich Dwurnika, ukazująca na poły karykaturalnie, na poły komiksowo bohaterów zwykłej peerelowskiej codzienności. Powstały także dwie serie obrazów poświęcone tragicznym losom ludzi uwikłanych w historię: w „Drodze na Wschód” (1989–1991)

Dwurnik upamiętnia ofiary stalinizmu, a w „Od Grudnia do Czerwca” (1990–1994) ofiary stanu wojennego w Polsce.

W twórczości Dwurnika można także znaleźć obrazy niezaangażowane. Cykl „Błękitne” (lata 90.) to pozbawione horyzontu, bliskie abstrakcji pejzaże morskie, a „Dwudziesty piąty” – barwne abstrakcje wykonane w technice

action painting. Inne serie to m.in. „Portret” (od lat 70.), „Robotnicy” (lata 80.), „Niech żyje wojna!” (1991–1993), „Niebieskie miasta” (od 1993 r.), „Diagonalne” (od 1996 r.), „Wyliczanka” (od 1996 r.). Poza malarstwem Dwurnik uprawia grafikę i rysunek (zarówno autonomiczne serie, jak i ilustracje). Lubi projektować monumentalne kompozycje malarskie w przestrzeni publicznej. Stworzył rysunki do filmów animowanych „Warzywniak 360 stopni” (2007 r.) i „Oaza” (2009 r.) w reżyserii Andrzeja Barańskiego. Powstało kilka filmów dokumentalnych o twórczości artysty, m.in. „Owoce ziemi” (1977 r.), „Portret z natury” (1984 r.) i „Polska Nike” (1987 r.) w reżyserii Andrzeja Szczygła oraz „Podróż Edwarda Dwurnika” (1995 r.) Grażyny Banaszkiewicz. W 2011 r. powstał album ze wszystkimi reprodukcjami cyklu „Sportowcy”. Mieszka i pracuje w Warszawie.

KB: A auto elektryczne kupiłby pan sobie?

ED: Kilka lat temu kupiłem elektryczny samochód. Ładowałem go w Zachęcie. *(śmiech)* Faktycznie rozpuściłem taką fałmę. I wszyscy go szukali. W pewnym momencie zadzwoniła dziewczyna, która się zajmuje marketingiem w Mercedesie, i mówi: „Słuchaj, ty masz mercedesa elektrycznego, a ja nic o nim nie wiem”. Oczywiście potwierdziłem. Bardzo lubię wpuszczać w maliny, zwłaszcza dziennikarzy. Oczywiście również ich szanuję. Wielu z nich ginie, wykonując swoją pracę. Poza tym Hemingway był dziennikarzem.

KB: Trochę się baliśmy, idąc do pana. Ma pan nieco nieobliczalny wizerunek.

ED: Lubię rozmawiać, kiedyś mnie rajcowało robienie prowokacji. Nie wszyscy dziennikarze mogą sobie ze mną harcować. Mam tę przyjemność, że mogę wybierać. Czasem córka poleci mi rozmowę z kimś, kogo sama ceni. Na pewno nie wystąpię w reżimowej telewizji.

MT: W pana pracowni wisi kilka portretów aut, zaś ja chciałabym zapytać o... autoportret. Nie jest pan kojarzony z tą formą.

ED: Kiedyś robiłem autoportrety z córeczką Polcią i żoną Teresą – te obrazy są w Zachęcie. Nie lubię siebie malować, bo uważam, że autoportret jest ucieczką od pustki twórczej – kiedy ktoś nie wie, co namalować, maluje siebie. Próbowałem rysować siebie i byłem przerażony. Schowałem ten szkicownik bardzo głęboko.

MT: Ale portrety wykonuje pan chętnie?

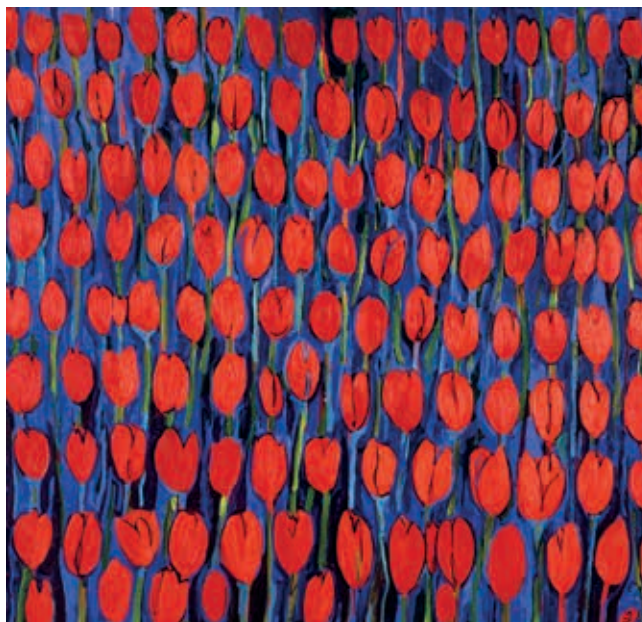
ED: Był taki okres w latach 70., kiedy robiłem dużo portretów. Na ogół się nie podobały. Ludzie mieli inne wyobrażenie o sobie. Ale po latach przychodzili i chcieli je odkupić. A portretu już nie było, bo dawno został sprzedany. Tak było z Agnieszką Osiecką, Tomaszem Stańką, Krzesimirem Dębskim. W muzeum w Radomiu jest duża kolekcja portretu i tam można znaleźć kilkanaście moich prac. W Muzeum Warmii i Mazur jest kilkadziesiąt obiektów mojego autorstwa z różnych czasów. Są tam portrety m.in. Ewy Głowackiej, Krzesimira Dębskiego i Moniki Olejnik. Ta ostatnia strasznie się wkurzyła, kiedy zobaczyła siebie. Powiedziała, że jestem do niczego, i poszła sobie, a teraz już portretu nie odzyska, bo jest w kolekcji muzealnej.

MT: Obok nas stoi wspaniały rzeźbiarski portret – pana głowa...

ED: To praca Joanny Mieszko, rzeźbiarki, mojej przyjaciółki, która czasami przyjeżdża do mnie i pomaga mi malować – robi „boczki”. Wykonaliśmy kiedyś pewien eksperyment. Joanna namalowała cały obraz. Przyszedł klient i stwierdził, że to jest absolutnie typowy Dwurnik, i go kupił. Bardzo dobrze. *(śmiech)* W każdym razie ja się na tym obrazie podpisałem.

KB: A który to obraz?

ED: Mój. Wszystkie są moje, podpisane z tyłu i z przodu.



KB: To się raz wydarzyło?

ED: To się nie zdarzyło, to cały czas trwa. *(śmiech)* Czasem korzystam z pomocy. Kiedyś poprosiłem Rafała Olbińskiego, aby namalował dla mnie chmurki. Myślałem, że to zrobi, bo gdyby mnie poprosił, to ja bym mu namalował, co tylko zechce. Ale on się obruszył. Więc sam sobie namalowałem – identyczne. Często też kupuję obrazy innych artystów, żeby mieć gotową podmalówkę, bo najtrudniejsze dla malarza to stanąć przed pustym, białym płótnem i zacząć malować. A gdy się zamalowuje, to sprawa jest łatwiejsza. I tak przemaalowałem na przykład obrazy Wróblewskiego, Sasnała, Korolkiewicza. Mojego Sasnała kupił jakiś Turek, Wróblewskiego – Andrzej Starmach, który od razu zapowiedział, że zdejmie moją warstwę farby. A Korolkiewicza tak pochlapałem, że żał mi się zrobiło i sam zleciłem konserwatorowi usunięcie mojej farby. Planuję wystawę obrazów, które zamalowałem w przeszłości.

KB: Dlaczego na wystawach zbiorowych z pana udziałem to nazwisko Dwurnik przyciąga najbardziej?

ED: Może dlatego, że jestem starym artystą, maluję ponad 50 lat. Namalowałem 7050 obrazów. Zrobiłem ponad 30 tys. rysunków. I jeszcze grafiki. Myślę, że doganiam Nikifora, który namalował ponad 40 tys. obrazów

KB: Myśli pan o Nikiforze?

ED: To jest mój wujek czy stryjek... Już nie pamiętam. *(śmiech)* Bardzo często do mnie przychodzi, z teczuszką, i przynosi mi małe Nikifory. Mam ich chyba ze sto, oczywiście przemaalowuję je i ozdabiam. Nikifor nauczył mnie malować i rysować. W rzeczywistości spotkałem go ze trzy razy. Był u nas na ASP w latach 60. Kiedy jestem w Krynicy, to go odwiedzam. I on też do mnie przychodzi, nawet niedawno przyniósł mi rysunek, który znów będę zamalowyywał...

KB: Zrobił pan karierę za granicą?

ED: A który polski artysta ją zrobił? Może jedynie Michałowski,

którego obrazy wiszą w Luwrze. Ja po prostu maluję – inni kupują. Niebawem odbędzie się uroczystość w Londynie, podczas której książę Karol będzie obchodził jakieś swoje święto. Polski arystokrata Jan Lubomirski-Lanckoroński chciał mu sprezentować mój obraz. Zaproponowałem „Żerań”, ale on stwierdził, że widać na nim faceta, który sika do Wisły, więc zrezygnował. Wobec tego zaproponowałem mu piękne tulipany, które nazywam roboczo „waginkami”, ale przestał się odzywać. Ma jeszcze trochę czasu do namysłu, bo uroczystość odbywa się jesienią. Niektórzy właśnie rozszyfrowali moje tulipany i piszą o nich „dwuznaczne”. A one tak szybko schodzą w galeriach.

MT: Pracuje pan na zamówienie galerii?

ED: Nie, bo galerzyści to hieny. Nie można im ulegać, bo wykorzystują artystów i zawsze biorą stronę klienta. To mi się nie podoba. Powinni bronić mnie, artyści, a oni płaszczą się przed kupującym. Nie pracuję na zamówienie galerii, ale radzę sobie inaczej. Kiedyś rozpuściłem plotkę, że jestem umierający, i od razu sprzedaż ruszyła z kopyta. Jednak potem było to już trochę uciążliwe. Wszyscy dzwonili i pytali, jak się czuję. Odpowiadałem, że jeszcze żyję.

KB: Kto poza muzeami i galeriami kupuje Dwurniki?

Bogaci?

ED: Im bogatszy człowiek, tym chytrzejszy albo głupszy. Mądrzy biznesmeni wygrywają, bo są otoczeni doradcami. Najgorsze są młode wilczki, które nic nie wiedzą. Znałem jednego biznesmena, który kupował obrazy jak wściekły. Teraz nie wie, co z nimi zrobić, bo ma ich całą piwnicę. Skontaktował się z doradcami, historykami sztuki, którzy mu powiedzieli, że ma u siebie chłam. Mam fajnego przyjaciela, Jana Barana, restauratora, który prowadzi lokal na ul. Gertrudy pod Wawelem i ma około 60 moich obrazów. Kupuje je na aukcjach. Bardzo się zdziwiłem, kiedy poszedłem do jego restauracji, a tu same Dwurniki.

MT: Istnieje już w Polsce świadomy rynek sztuki?

ED: Ludzie kupują domy, mają już wszystkie sprzęty, ferrari, mają podgrzewany dojazd do garażu długości kilometra. Więc pojawia się jakaś potrzeba sztuki, głównie jako elementu wystroju wnętrza. Są ludzie, którzy mają nadwyżki, jest dużo zbieraczy. Są też ludzie świadomi, inteligencja, lekarze, nauczyciele, którzy często kochają sztukę, ale nie mają kasy. Przedstawiciele biznesu nie mają czasu, więc zostawiają wolną rękę architektom i projektantom, którzy kontaktują się z galerią lub ze mną. Jest też wielu projektantów i architektów wnętrz, którzy są tak głupi, że zapominają o przestrzeni dla obrazów. Przychodzi do mnie facet i pyta: „Ma pan mniejszy obraz, bo ja mam tylko kawałeczek ściany między oknem i kinkietem?”. A ja do niego mówię: „To niech pan wywali kinkiet”. Na ogół ludzie chcą kupować małe obrazy. Na przykład mówią, że bardzo podobają im się moje „Żółte tulipany”,

bo to jest taki duży obraz – 55 × 46 cm. Pytam ich wtedy, czy lubią znaczki pocztowe.

Wracając do pytania o wystawy zbiorowe – wiem, że jestem na nich pewnego rodzaju ozdobą i przyciągam ludzi. Cenię je. Na przykład kilka miesięcy temu w Muzeum Częstochowskim odbywała się duża wystawa o czasach wojennych i stalinowskich. Poproszono mnie, abym udostępnił obraz z cyklu „Droga na Wschód”, przedstawiającego problem zsyłek, czyli poważną tematykę. Kilka tych obrazów znajduje się w muzeum Schaulager w Bazylei, założonym przez rodzinę biznesmenów i historyków sztuki. Namalowałem „Wąwóz Wulecki”, „Katyń”, który podarowałem Muzeum Narodowemu w Warszawie. Cykl „Droga na Wschód” to najczęściej białe obrazy, śnieg, a na tym tle lekko zarysowane postaci. Jak u Herlinga-Grudzińskiego. Wywieźli, wyrzucili z wagonów i róbcie, co chcecie.

KB: Jak wymyśla pan temat dzieła? Wynika on z osobistego przeżycia, jakieś emocji?

ED: Ja maluję, gdy już można. W latach 90. w Zamku Ujazdowskim w Warszawie odbyła się wystawa cyklu „Droga na Wschód” i pani Jarecka z „Gazety Wyborczej” napisała, że „Dwurnik zaczął malować drogę na Wschód, bo już teraz można”. Namalowałem około 20 obrazów z cyklu „Krzyż”, przedstawiających 20 scen z Chrystusem w różnych sytuacjach. Chrystus na wsi, w parku, w powietrzu, na dźwigu. To jest mocny temat, a właściwie tych obrazów nie pokazywałem. Inny temat to dziewczyny w ciąży. Pewnego dnia zauważyłem, że wiele koleżanek mojej córki nagle zaczęło chodzić z brzuchami. Oczywiście zaproponowałem im, że mogę namalować akty. Mam bardzo duży zbiór tych obrazów, pokazałem je między innymi w galerii Winda w Kielcach. Aby ozdobić cykl, namalowałem „60 kobiet masturbujących się na przystanku autobusowym”, a ostatnio „60 mężczyzn onanizujących się na przystanku PKP”.

KB: Muszę w tym momencie zapytać o warsztat.

ED: Kobiety mi pozują, a mężczyzn znam – oglądam siebie. Natomiast muszę przyznać, że wielu przyjaciół chciało znaleźć się na tym obrazie i nawet zabiegało o to. Oczywiście namalowałem ich.

KB: Czy da się pana twórczość podsumować w kilku słowach, wymieniając to, co w niej najważniejsze?

ED: To jest po prostu fabryka Dwurnika. Dwa dni temu zacząłem, dzisiaj muszę skończyć, bo mi wysycha olej.

MT: A czy kiedyś było inaczej? Na przykład w czasach, gdy w Kielcach tworzył pan przełomowy dla swojej twórczości „Rysunek nr 1”?

ED: Ten rysunek przygotowywałem chyba z tydzień. Zmazywałem i rysowałem na nowo. Tak się męczyłem... Wie pani, teraz to już jest właściwie wszystko za mną. Trudno mi się nawet zastanowić. Tyle tego jest...

Trzeba uczyć etyki, nie tylko lekarzy

O medycynie zorientowanej na wynik finansowy, polskiej kardiologii dziecięcej i pracy, która jest rodzajem służby, z prof. **Bohdanem Maruszewskim** rozmawia Kamil Broszko.



© WOSP

Kamil Broszko: Jest takie słynne zdjęcie przedstawiające prof. Religę, który siedzi po zakończonej operacji wśród płataniny jakichś kabli...

Bohdan Maruszewski: Mówi pan o zdjęciu z „National Geographic” – na stole operacyjnym leży pacjent po przeszczepie serca, obok na stołku siedzi prof. Religa, a w kącie sali śpi (dziś profesor, a wówczas asystent) Roman Cichoń. To bardzo wiele mówiąca fotografia. Wie pan, co jest napisane na grobie prof. Religi? „Kto chce zapalać innych, sam musi płonąć”. To jest drugi przekaz tego zdjęcia. Trzeba mieć w sobie wiarę, bardzo silną wiarę w wartości, które się wyznaje, i nieskończoną wolę dotrwania do końca na placu boju w ich realizowaniu. Taką wartością może być wolność słowa, demokracja, ale także chory – jego zdrowie, dobro, jego prawa.

Prof. Religa na zawsze pozostanie dla mnie wzorem człowieka i lekarza, który się nie poddaje i który podejmie każdy wysiłek dla pacjenta. Zatem wspomniane zdjęcie mówi o wartościach. Pokazuje, ile trzeba z siebie wykrzesać, kiedy się walczy o coś, w co się wierzy.

KB: Jednak ten wysiłek wydaje się być trudny do wyobrażenia. Czy powinniśmy go oczekiwać od wszystkich lekarzy, czy jedynie od wybitnej osobowości?

BM: Siła cechuje lidera. Trzeba umieć pociągnąć za sobą ludzi, a ludzie nie wierzą w puste słowa. Ludzie wierzą w dokonania. Jeśli rzeczywiście chce się być liderem i coś w życiu osiągnąć, trzeba polegać na ludziach. Należy przeprowadzić naprawę, czyli samemu podjąć wysiłek i osiągnąć sukces.

KB: Wspomniane zdjęcie uzmysławia też skalę postępu technologicznego w medycynie.

BM: Największy postęp technologiczny w medycynie dokonał się w ciągu ostatnich 10 lat. Dzięki niemu ogromnie zwiększyły się możliwości ratowania życia oraz zdrowia. Niedawno nie byliśmy w stanie pomóc niektórym pacjentom, a dziś dla podobnych przypadków istnieją standardowe metody operowania i leczenia. Jeszcze 20 lat temu pewna grupa dzieci z wrodzonymi wadami serca, najbardziej złożonymi, nie miała tych szans, które ma dzisiaj. W leczeniu skrajnej niewydolności serca – która może wynikać z wady serca, zmian wtórnych, zmian zapalnych na przykład w mięśniu sercowym – w ciągu ostatnich 20 lat dokonał się gigantyczny postęp. Mamy sztuczne komory serca, sztuczne serca, komory znajdujące się na zewnątrz człowieka albo komory całkowicie wszczepialne, które pozwalają pacjentowi powrócić do domu i oczekiwać na przeszczep. Tysiące ludzi mogą dziś żyć dzięki rozwojowi technologii medycznej. Z drugiej strony postępują zmiany niekorzystne: odejście od misyjnej służby zdrowia, „ukorporacyjnienie” szpitalnictwa (wprowadzenie modeli zarządzania, zachowań i mentalności typowych dla biznesu), powstawanie bariery emocjonalnej między lekarzem a pacjentem. Dzisiaj wręcz uczy się lekarzy, że nie powinni angażować się emocjonalnie w proces leczenia. Mówi się o zarządzaniu stresem, o zarządzaniu ryzykiem, natomiast coraz mniej o poczuciu ludzkiej odpowiedzialności i misji. A jeśli już, to wyłącznie w aspekcie prawnym. Medycyna się odczłowiecza. Ale ja mam 64 lata i być może taki osąd wynika z mojego wieku. Medycyna, dla której ja zostałem lekarzem i która mnie zafascynowała jako nastolatka, bardzo się zmieniła. Jest wspaniała, mamy dzisiaj możliwości leczenia zupełnie niezwykle, ale atmosfera i relacje między pacjentem a lekarzem są zupełnie inne niż wtedy, kiedy ja wybierałem medycynę. Tak więc postęp ostatnich lat jest zupełnie niepodważalny; wyposażenie sal operacyjnych i oddziałów intensywnej terapii, możliwości monitorowania i przewidywania wystąpienia powikłań, przeciwdziałanie powikłaniom – to wszystko jest dzisiaj dostępne, zatem chory jest bezpieczniejszy. Tylko czy lekarze i personel zajmujący się chorym są mu równie – użyję może niemodnego słowa – oddani, jak wtedy, gdy ja zaczynałem pracę w tym zawodzie?

KB: Z czego wynikają owe negatywne tendencje: z wpływu na medycynę kapitału czy polityki?

BM: Medycyna to ogromne pieniądze, ogromny biznes. Jest takie pojęcie *finance-oriented medicine*. Zorientowanie na wynik finansowy jest największym wrogiem dzisiejszej medycyny. Nie mogę się zgodzić z moimi przyjaciółmi, którzy zajmują się biznesem lub zarządzaniem i mówią, że medycyna to po prostu kolejny sposób na zarabianie pieniędzy i zarządzanie metodą korporacyjną. Absolutnie się z tym nie zgadzam. W ramach *finance-oriented medicine* kierownikom klinik i ordynatorom oddziałów każe się analizować wynik finansowy i tak dostosowywać leczenie, żeby ten wynik był jak najlepszy. To wywołuje u mnie dreszcze. Od czasu do czasu sły-

sze też od zarządzających, że trzeba „schładzać”, czyli zmniejszać ilość świadczeń, bo w przeciwnym razie będziemy mieli niezapłacone świadczenia za tzw. nadwykonania. Ja od 20 lat kieruję kliniką, a od 40 lat jestem lekarzem chirurgiem i nigdy w życiu nie kierowałem i nie będę się kierował tymi kryteriami. Pamiętam taki rok, w którym NFZ ogłosił, że osiągnął wynik dodatni na sumę kilku milionów złotych. Skoro mamy w Polsce kolejki dwu- czy trzyletnie i ogromny problem z dostępnością świadczeń, skoro ludzie czekają na wymianę stawu biodrowego przez dwa lata i w tym czasie biorą niszczące organizm leki przeciwbólowe, to jak można mówić o dodatnim wyniku finansowym w medycynie? Jesteśmy krajem, w którym funkcjonuje w życiu publicznym pojęcie nadwykonań, również w dziedzinach medycyny ratujących życie. Kiedyś zapytałem ministra zdrowia, jak mogą mu przez gardło przejść słowa o nadwykonaniu w onkologii. Jak można mówić o nadwykonaniu w przypadku ostrych zespołów wieńcowych? Jak można nie zapłacić za operację w stanie zagrażającym życiu? Gdzie jest konstytucja? Oczywiście trzeba oszczędzać, ale nie można myśleć nielogicznie i głęboko nieetycznie. Nie można powiedzieć: „Proszę »schłodzić« w trzecim kwartale ilość wykonywanych operacji serca u dzieci, bo nie ma pieniędzy na nadwykonania”. Nie życzę nikomu, kto używa tego języka, by jego dziecko czy wnuczek miało wadę serca.

KB: Chciałem zapytać, czy pan profesor zostanie kiedyś ministrem zdrowia, ale widzę, że chyba nie...

BM: Nigdy w życiu nie chciałem być politykiem i to się nie zmieniło. Stanowisko ministra zdrowia ma charakter polityczny, co mnie kompletnie nie interesuje. Staram się być całkowicie apolityczny, tak dalece, że kiedy wchodzę do szpitala, wypinam z klapy marynarki znaczek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, który poza szpitalem dość często noszę. Mój pacjent może nie być akurat wielbicielem WOŚP, chociaż dla mnie jest ona jedną z najważniejszych rzeczy na świecie. Nie chciałbym, żeby miał wątpliwości, czy ja jako osoba nosząca ten znaczek nie będę na niego czy jego dziecko patrzył innym wzrokiem niż na kogoś, kto też nosi taki znaczek. Jestem absolutnym zwolennikiem apolityczności i medycyny, której nie interesują poglądy, przekonania czy kolor skóry. Powiem szczerze, że w całym moim życiu staram się nie wiedzieć, jakie kto ma przekonania religijne czy poglądy polityczne. A do ludzi o innym kolorze skóry staram się zawsze uśmiechać.

KB: W wielu krajach ludzie uśmiechają się do siebie na ulicy i to jest zwykłą, codzienną praktyką.

BM: Na pewno znacznie częściej niż w Polsce. Kiedy pewna bliska mi osoba, Europejka, pierwszy raz zetknęła się z Polską, zapytała: „Dlaczego ludzie w tramwaju albo w pociągu gapią się na mnie bez uśmiechu? To jest niepojęte. W moim kraju nawiązanie kontaktu wzrokowego jest zapowiedzią uśmiechu albo rozmowy”. W Polsce takie gapienie się bez okazania sympatii w jakikolwiek, nawet najprostszy sposób, jak choćby poprzez

uśmiech, jest na porządku dziennym. Dużo jeszcze przed nami w tej dziedzinie.

KB: Spotkałem się kiedyś na konferencji filozoficznej z tezą, by powrócić do nauczania etyki na studiach medycznych. Profesor, który badał historię dydaktyki filozoficznej, twierdził, że przed wojną na medycynie obowiązywał dwuletni kurs tego przedmiotu.

BM: Jestem absolutnym zwolennikiem nauczania etyki na studiach medycznych. Potraktuję jednak to pytanie trochę jako pretekst, by opowiedzieć o całym procesie kształcenia lekarzy. Samodzielnymi lekarzami i specjalistami zostajemy zwykle po sześciu latach studiów i sześciu latach rezydentury. Ludzie idą na studia w wieku 19 lat i dopiero w wieku około trzydziestu kilku lat mogą podejmować samodzielne decyzje w ramach wykonywania swojego zawodu. Choć jest to proces kształcenia bardzo długi i trudny, brakuje w nim kompletnie dwóch rzeczy. Po pierwsze szeroko pojętej etyki, a nawet szerzej – filozofii. Ja się pasjonowałem filozofią, czytałem sporo na ten temat jako nastolatek i starałem się korzystać z tej uniwersalnej wiedzy. Druga rzecz, której brakuje w procesie kształcenia lekarzy, to nauka komunikacji. I nie chodzi tutaj o szkolenia prawników, którzy uczą, co wolno powiedzieć, a czego nie, żeby nie ponosić odpowiedzialności za słowa, a jedynie o zapewnienie pacjentowi poczucia bezpieczeństwa. Kiedy człowiek staje się pacjentem, potrzebuje dwóch rzeczy, mianowicie kompetencji lekarza i poczucia bezpieczeństwa, które jest niemożliwe bez zaufania, a to zostało mocno nadszarpnięte w ciągu ostatnich dekad. Należy zatem uczyć etyki i komunikacji. Trzeba też jednak zadbać o to, by po tym długim procesie nauczania lekarz mógł odczuć satysfakcję finansową. W Polsce pierwsza pensja specjalisty w zabiegowej wąskiej specjalności może wynosić tysiąc euro. Dopóki to państwo będzie płaciło personelowi pomocniczemu w spółkach Skarbu Państwa więcej niż specjaliście w dziedzinie kardiologii, dopóty młodzi ludzie będą kończyli w Polsce studia, bo są względnie tani, i wyjeżdżali za granicę. Dzisiaj blisko 70 proc. studentów medycyny po skończeniu studiów planuje wyjazd z Polski. Dopóki politycy będą ludziom opowiadali, że lekarze w Polsce zarabiają krocie, a w tym samym czasie rezydenci będą zmuszeni żyć za kilkadziesiąt euro, dopóty na pewno nie będzie dobrze.

KB: Ostatnio sporo mówi się o konstytucji. Skoro zgodnie z jej literą obowiązkiem państwa jest zapewnienie ochrony zdrowia, powinno ono zadbać o dostępność nowoczesnego sprzętu medycznego, ale również o lekarzy.

BM: Ostatnie 25 lat upłynęło mi na walce o to, żeby pediatrizy w Polsce dysponowali nie gorszym sprzętem, niż dysponują w najbogatszych krajach na świecie. Bo od tego zależy wynik i bezpieczeństwo leczenia. Stąd mój udział i moja rola w Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. Kiedy w 1986 r. wróciłem do Polski po okresie kształcenia w Anglii, zdałem sobie sprawę z przepaści, jaka istniała

wówczas pomiędzy poziomem wyposażenia kardiologii dziecięcej w obu krajach. Wiedziałem, że aby móc wykorzystać w Polsce to, czego się nauczyłem za granicą, muszę pracować na nowoczesnym sprzęcie. U nas z powodu zapóźnienia technologicznego umierały dzieci. Po 30 latach mamy wyposażenie bloków operacyjnych, intensywnej terapii czy diagnostyki obrazowej na najwyższym, światowym poziomie. Zwłaszcza w takich dziedzinach jak moja, czyli w wysokospecjalistycznej medycynie. Teraz trzeba zadbać o lekarzy – ich wykształcenie, nie tyle o studia, co szkolenia podyplomowe, udział w międzynarodowej wymianie edukacyjnej, jak również ich uposażenie. Jeśli społeczeństwo chce być zdrowe, to zawód lekarski musi wrócić do grona szanowanych zawodów, w każdym tego słowa znaczeniu. Oczywiście bardzo wielką w tym rolę samych lekarzy. Korporacje lekarskie nie powinny zamiatać pod dywan tego, co jest złe. Powinny działać w interesie dobrego imienia lekarzy i na rzecz bezpieczeństwa oraz godnego wykonywania zawodu.

Medycyna to ciężka praca. Nikt nie zlikwidował przysięgi Hipokratesa. Mądre państwa oczekują od swoich lekarzy, żeby wykonywali jej ducha. W przysiędze Hipokratesa nigdzie nie jest napisane, ile powinien zarabiać lekarz, ale mądre państwa dbają o to, żeby nie musiał się martwić o swój byt i pracować w siedmiu miejscach naraz, po 300 godz. w miesiącu. Jednocześnie oczekują od lekarza zaangażowania w leczenie pacjenta oraz życzliwości, a nie jedynie wykonywania procedury. Mądre państwa dbają, by nie traktować lekarzy jak zasoby ludzkie, i nie zarządzają nimi w sposób korporacyjny, czyli poprzez redukcję najwyższych kosztów. Ludzie, którzy żyją już długo, mówią, że w czasach biedy lekarze byli sympatyczniejsi, miłsi i bardziej lubili swoich pacjentów. Myślę, że o edukację, służbę zdrowia, o zdrowie trzeba walczyć dokładnie tak samo, jak walczy się o demokrację i wolność słowa, bo to są wartości. A politycy niekoniecznie umieszczają je na liście swoich priorytetów.

KB: Jak pan odbiera zarzuty wobec WOŚP?

BM: Żeby Orkiestra przetrwała, trzeba umieć robić swoje mimo tego, co się dzieje w mediach. Oskarżenia, które padały pod naszym adresem, znalazły finał w sądzie. Wszystkie sprawy wygraliśmy, o czym media nie informowały tak ochoczo, jak o oszczerstwach. Czy martwią mnie takie ataki? Czy się nimi denerwuję? Bardzo się denerwuję i bardzo mnie martwi, kiedy się nas oskarża bezpodstawnie. Jest mi przykro, kiedy ten hejt dotyczy Jurka Owsiaaka, dlatego że on naprawdę na to nie zasłużył. Musi być bardzo odporny, bo jest liderem i twarzą projektu, ale jest też zwykłym, wrażliwym człowiekiem, dotykają go oszczerstwa. Z drugiej strony, czy można w nowoczesnym społeczeństwie tego uniknąć? Hejt dotyczy wszystkich osób publicznych, zawsze ktoś się komuś nie podoba. Mówi się, że osoba publiczna musi kalkulować ryzyko związane z publiczną krytyką. Ta teza jednak dotyczy minionych czasów. Młode pokolenie praktycznie zrezygnowało z tradycyjnych mediów i przeniosło się do Internetu, a tam wolno wszystko. Prawo za tym nie nadąza i nie chroni przed bezpod-

stawnymi atakami, dziś każdego można obsmarować bezkarnie i na wielką skalę.

KB: Renoma Centrum Zdrowia Dziecka jest powszechnie znana. Proszę opowiedzieć, jakie są dokonania i status polskiej kardiologii, również w skali międzynarodowej.

BM: Centrum Zdrowia Dziecka jest jednym z ośrodków kardiologii dziecięcej w Polsce i jednocześnie najbardziej znanym ośrodkiem kardiologii dziecięcej na świecie. Ludzie ze wszystkich kontynentów, którzy zajmują się kardiologią i kardiochirurgią dziecięcą, wiedzą o naszym istnieniu. Wiedzą, że jesteśmy ośrodkiem unikalnym pod względem liczby i rodzaju wykonywanych operacji. W Polsce rodzi się rocznie 2,5–3 tys. dzieci ze wszystkimi rodzajami wad wrodzonych serca. Otrzymują pomoc nie tylko w Centrum Zdrowia Dziecka, ale również w pozostałych dziewięciu ośrodkach kardiologii dziecięcej. Jestem kierownikiem Kliniki Kardiologii Centrum Zdrowia Dziecka i z tego punktu widzenia jest mi ona najbliższa, za nią odpowiadam, jest moim życiem. Jestem również jednym z fundatorów WOŚP, która powstała w Centrum Zdrowia Dziecka, w tym gabinecie, aby ratować życie dzieci z wrodzonymi wadami serca. Zaczęło się od tego, że planowaliśmy z zebranych środków zakupić płucoserce dla Kliniki Kardiologii Centrum Zdrowia Dziecka. Po pierwszym finale zostały zebrane ogromne jak na owe czasy pieniądze – 1,7 mln dolarów. Wtedy zdecydowaliśmy – przy bardzo wielkim oporze ze strony niektórych osób – że trzeba się podzielić z innymi ośrodkami kardiologii, bo dzieci z wadami serca rodzą się w całym kraju. Na ten cel fundacja zbierała pieniądze przez pierwsze pięć lat. Dopiero potem uznaliśmy, że zaufanie społeczne i ilość pozyskanych pieniędzy pozwalają nam podzielić się z innymi dziedzinami medycyny.

Dziś mogę powiedzieć, że polska kardiologia dziecięca ma dwa oblicza. Wykonujemy wszystkie najbardziej złożone operacje wad wrodzonych serca, mamy największe w Europie doświadczenie leczenia dzieci z sercem jednokomorowym. W innych krajach wysokorozwiniętych Europy, przede wszystkim w Skandynawii, Beneluksie, Anglii, te dzieci się praktycznie nie rodzą. Tam wcześnie rozpoznanie takiej wady serca w okresie ciąży oznacza aborcję. Mamy ogromne doświadczenie i świetne wyniki w leczeniu najtrudniejszych wad wrodzonych serca, na poziomie najlepszych ośrodków w USA. To jest nasz ogromny sukces. Drugie oblicze polskiej kardiologii i kardiologii dziecięcej to konsekwencje finansowe i organizacyjne wynikające z naszego postępu – ponieważ te dzieci przeżywają, wymagają następnych operacji, nie z powodu powikłań, ale z powodu planu leczenia. Mogą dożyć wieku dorosłego, niektóre w bardzo dobrej formie, ale to dużo kosztuje. Więc kolejki do następnych etapów leczenia są coraz dłuższe. Jedynie noworodki, które wymagają natychmiastowej operacji, nie muszą czekać w kolejce. Stąd akcje zbierania pieniędzy na wyjazdy dzieci za granicę – mogłyby być leczone w Polsce, bo mamy tutaj wszelkie niezbędne kompetencje i sprzęt, ale oczekiwanie w kolejce

kosztowałoby je życie. Innym ważnym problemem polskiej kardiologii jest brak następców. Bycie kardiochirurgiem dziecięcym stwarza ogromne wymagania odnośnie czasu kształcenia. Żeby być samodzielnym specjalistą w tej dziedzinie, trzeba do 12 lat studiów i rezydentury doliczyć jeszcze 10 lat praktyki. To jest trudny, długotrwały proces. W związku z tym studenci nie wybierają tej specjalności. W naszej klinice praktykę rozpoczęło dziewięć osób – wszystkie uznały, że jest to dla nich zbyt trudne, zbyt wymagające. Kardiochirurg dziecięcy musi być dyspozycyjny 365 dni w roku, siedem dni w tygodniu. Kiedy trzeba operować noworodka, zespół musi zebrać się w Wigilię, w Wielkanoc, w sobotę i niedzielę. Kardiochirurdzy wychodzą ze szpitala jako ostatni. Tutaj zabiegi trwają najdłużej, a po operacji nie można wyjść od razu do domu – trzeba monitorować pacjenta, którego się operowało wiele godzin.

KB: Tu się pojawia problem zarzutów o nadwykonania, który został wcześniej zasygnalizowany.

BM: Każdy najtrudniejszy pacjent, którego wyleczenie dla mnie jako chirurga i kierownika kliniki jest największym sukcesem, dla szpitala oznacza zwiększenie długu. Zatem z perspektywy skomercjalizowanego systemu ochrony zdrowia nie opłaca się dzisiaj leczyć najcięższych chorych dzieci. Jeden dzień pobytu noworodka na intensywnej terapii kosztuje 3,5 tys. zł, a musi na niej przebywać średnio 10 dni. Politycy różnych opcji od wielu lat zastanawiają się, co tu zrobić, żeby największe szpitale kliniczne czy instytuty nie przynosiły tak wielkich długów. Niektórzy wpadają na „genialny” pomysł, że najlepiej je zlikwidować. Inni usiłują nas namówić, żebyśmy oszczędzali. W systemie finansowania świadczeń zdrowotnych w Polsce nie ma w ogóle zróżnicowania, nie funkcjonuje referencyjność. Instytuty, które zajmują się leczeniem najcięższych przypadków, zawsze będą przynosiły wielkie długi. Przynajmniej z perspektywy polityków zarządzających tym systemem. Dopóki nie zdadzą sobie oni sprawy, że kiedyś ich dziecko czy wnuczek znajdzie ratunek tylko w takim miejscu. Powiada się, że w USA jest najbardziej skomercjalizowana medycyna na świecie. Jednak istnieje tam około 60 instytutów narodowych, których celem jest leczenie najcięższych chorych, kształcenie specjalistów, personelu, tworzenie standardów, prowadzenie badań oraz wdrażanie najnowszej technologii medycznej. Te instytuty funkcjonują głównie dzięki subsydiom państwowym. A Polska jest na jednym z trzech ostatnich miejsc w Europie pod względem wydatków na ochronę zdrowia na mieszkańca. To nie wysokospecjalistyczna medycyna wydaje za dużo pieniędzy. To społeczeństwo poprzez wybranych przez siebie polityków przeznacza za mało środków na ochronę zdrowia – o wiele za mało, nie mówimy tu o małych kwotach, tylko o ogromnych brakach w finansowaniu służby zdrowia. Staramy się leczyć na najwyższym światowym poziomie, a to przez polityków określane jest mianem nadwykonania. Trzeba uczyć etyki, ale nie tylko lekarzy na studiach, również tych, którzy w życiu publicznym opowiadają takie brednie.



© ARCHIWUM PIOTRA SUWAŁSKIEGO

Ta praca ma głęboki sens

O sukcesji w medycynie, kardiochirurgii małoinwazyjnej oraz lekarzach grających rocka z prof. **Piotrem Suwałskim** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Kardiochirurdzy to zapracowani lekarze. Jak rozgranicza pan profesor pracę i czas wolny?

Piotr Suwałski: Nie jest to łatwe. W zawodzie kardiochirurga nie ma limitowanego czasu pracy, a to się odbija na życiu rodzinnym. W przypadku naszej specjalizacji nie wystarczy powiedzieć, że pacjent jest najważniejszy – specyfiką kardiochirurgii jest to, że praktycznie zawsze chodzi o życie pacjenta. Pracuję w zespole, który jest bardzo dobry i bardzo zgrany, co pozwala dzielić się obowiązkami. Generalnie kardiochirurg spędza życie w pracy. Mogę jedynie dziękować rodzinie, która stara się to zrozumieć, choć oczywiście są momenty, kiedy nie jest lekko, zwłaszcza w święta. Szczególnie małym dzieciom trudniej zrozumieć, dlaczego podczas świąt czy innych ważnych uroczystości rodzic jest nieobecny. Ale taki to jest zawód.

KB: Zawiera się z rodziną jakiegoś rodzaju umowę?

PS: Tak. Chociaż muszę powiedzieć, oczywiście półżartem, że czasami argumenty w stylu „przecież wiedziałas, że jestem kardiochirurgiem” nie są wystarczające. Szczególnie kiedy pojawiają się dzieci, które nie rozumieją tego, co robi tata. Ja jednak już w liceum wiedziałem, że chcę zajmować się kardiochirurgią, i zdawałem sobie sprawę, jak ta praca wygląda.

KB: Sukcesja w medycynie budziła i nadal budzi kontrowersje. Jednak dziś coraz powszechniejsza wydaje się świadomość, że zawód lekarza to nie tylko prestiż, ale także ciężka praca. W tym sensie sukcesja jako budowanie świadomości odnośnie dokonywanego wyboru zawodu wydaje się czymś ważnym i potrzebnym.

Piotr Suwalski – lekarz, specjalista w dziedzinie kardiologii i transplantologii klinicznej, profesor nadzwyczajny, kierownik Kliniki Kardiologii Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie, członek wielu europejskich i międzynarodowych prestiżowych gremiów naukowych, prezydent elekt International Society for Minimally Invasive Cardiac Surgery. Jest autorem ponad 200 publikacji w czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Syn znanego kardiologa, prof. Kazimierza Suwalskiego. Po ukończeniu studiów medycznych i uzyskaniu specjalizacji stał się uczestnikiem i promotorem niezwykłego postępu, który dokonywał się na przestrzeni ostatnich lat w medycynie, w tym w szczególności w kardiologii małoinwazyjnej. Jego nazwisko jest rozpoznawalne na równi z nazwiskami wybitnych kardiologów z Niemiec, Włoch, Szwajcarii czy USA. Uhonorowany wieloma wyróżnieniami, w tym ostatnio – wraz z kierowanym przez siebie zespołem – nagrodą „Teraz Polska” za leczenie kardiologiczne przy wykorzystaniu technik małoinwazyjnych.



© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM

PS: Na pewno sukcesja w sensie zawodowym, czyli fakt, że potomek ma ten sam zawód co rodzic, nie powinna być uznawana za coś niesłusznego. Dobrym przykładem są rodziny prawnicze czy rzemieślnicze na Zachodzie, które kontynuują tradycję przez setki lat. Oczywiście należy przestrzegać reguł równego dostępu do zawodu. Natomiast samo dziedziczenie jest czymś naturalnym. Trudno też zakazać młodej osobie świadomego wyboru. Pójście drogą swojego rodzica pewne sprawy upraszcza, choć inne wręcz komplikuje. Nierzadko trzeba wykonać większą pracę czy ciągle dowodzić swojej wartości. Znam to z autopsji, ale także z relacji przyjaciół, którzy kontynuowali drogę zawodową swoich rodziców (nie tylko na polu medycyny). Osiągnięcie sukcesu musi być okupione cięższą pracą, jeżeli również rodzic osiągnął w danej dziedzinie sukces. Mój ojciec był kierownikiem kliniki w dwóch szpitalach w Warszawie, ostatnio był kierownikiem kliniki na Uniwersytecie Warszawskim. Ja sześć lat temu dostałem szansę od dyrekcji Szpitala MSWiA i było to dla mnie duże wyróżnienie. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że jakoś tę szansę wykorzystałem. Wartość sukcesu doceniam przede wszystkim w aspekcie wpływu na podejmowanie decyzji. Nie każdy czuje się dobrze w medycynie. Ja znałem ten zawód od małego. I tym bardziej pociągała mnie medycyna, choć oczywiście ojca zbyt często w dzieciństwie nie widywałem. Powiem szczerze, że moja mama, wiedząc, w jaki sposób jej mąż, a mój ojciec pracuje, nie chciała, żebym został kardiologiem. A ja uważałem, że ta praca ma głęboki sens.

KB: Kardiologia bardzo się rozwijała w ostatnich latach.

PS: Polska kardiologia zawsze była dość blisko poziomu zachodniego, mimo ciemnych dni komunizmu. Podziwiałem ojca i innych kardiologów, bo była to ich zasługa. Zaś w ostatnich

latach niesłychanie rozwinęła się technologia medyczna i dziś mogę śmiało powiedzieć, że polska kardiologia reprezentuje najwyższy światowy poziom. Nie mamy pełnego dostępu do niektórych najbardziej wysublimowanych narzędzi, ale na pewno możemy być dumni z poziomu merytorycznego. Wielu z nas jest na Zachodzie wykładowcami, prelegentami na konferencjach, autorami publikacji; uczymy również chirurgii poprzez przeprowadzanie pokazowych operacji. Koledzy z Europy czy z USA w normalny sposób przyjmują naszą obecność w międzynarodowym świecie kardiologicznym – nikogo już nie dziwi, że przyjechał kardiolog z Europy Wschodniej. To zjawisko bardzo mnie cieszy. Wszyscy już rozumieją, że również w naszym kraju powstają znakomite publikacje. Artykuły naukowe z Polski nie natrafiają już na taki opór, jak 15–20 lat temu, kiedy były kilkakrotnie weryfikowane, bo zespół redakcyjny miał wątpliwości, czy naprawdę tak dobra praca mogła powstać w naszym kraju. Niedawno w Szpitalu MSWiA odbył się centralny kurs europejski kardiologii małoinwazyjnej. Jestem z tego niezwykle dumny. Długo nie mogłem uwierzyć, że Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne wyznaczyło nasz ośrodek do goszczenia tego prestiżowego wydarzenia. Przyjechali najlepsi kardiologowie z całego świata, nie tylko z Europy Zachodniej i naszego regionu, ale również z Tajwanu, Sri Lanki, Brazylii, Ameryki, Kanady. Nasz zespół wykonał na żywo 10 bardzo trudnych operacji małoinwazyjnych, dowodząc, że możemy czegoś nauczyć innych. W dziedzinie kardiologii jesteśmy pełnoprawnymi partnerami Europy. Wcześniej tego typu kongresy odbywały się m.in. w Berlinie i Londynie, ale u nas było najwięcej uczestników. Polscy kardiologowie sprawują również funkcje w rozmaitych prestiżowych organizacjach. Pan prof. Marian Zemba jest teraz prezydentem elektem Europejskiego Towarzystwa

Kardio-Torakochirurgicznego, ja zostałem niedawno mianowany prezydentem elektem Międzynarodowego Towarzystwa Kardiochirurgii Małoinwazyjnej. To dla mnie niewiarygodny honor i jednocześnie dowód, że całe polskie środowisko kardiochirurgiczne cieszy się uznaniem na Zachodzie.

KB: Na czym polega metoda małoinwazyjna?

PS: Typowym dostępem kardiochirurgicznym do serca jest tzw. sternotomia, czyli pełne przecięcie mostka pośrodku, które daje nam bardzo dobry dostęp do całego serca i wielkich naczyń, ale jest inwazyjne. Jest to oczywiście złoty standard, ale na pewno stanowi dla pacjenta obciążenie zarówno fizyczne, jak i psychiczne. W ciągu ostatnich lat upowszechniły się metody operacji „przez dziurkę od klucza”. Zawdzięczamy to nowym technologiom, takim jak kamery endoskopowe, którymi możemy się posługiwać w środku klatki piersiowej, czy specjalne narzędzia chirurgiczne. Część operacji wykonujemy całkowicie endoskopowo czy – jak my to nazywamy – torakoskopowo. Ja porównałbym je do operacji laparoskopowych w brzuchu, tzn. poprzez porty wchodzimy przez ściany klatki piersiowej i za pomocą specjalnych narzędzi wykonujemy operację w klatce, zupełnie nie naruszając ciągłości tkanek i kośćca. Muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o operacje zastawek serca w naszej klinice, to od sześciu lat nie wykonaliśmy żadnej sternotomii – wszyscy pacjenci są operowani metodami małoinwazyjnymi. Po pierwsze jest to związane ze znacznie mniejszym urazem (ze względu na nie-naruszenie kośćca), więc pacjenci mogą dużo szybciej wrócić do normalnej aktywności. Podczas operacji tracą mniej krwi i lepiej oddychają, z czego zadowoleni są anestezjolodzy. Z punktu widzenia samych kardiochirurgów nowoczesny dostęp do serca jest nierzadko nawet lepszy – oczywiście przy założeniu krzywej uczenia – dlatego że przy bardzo dobrym sprzęcie jesteśmy w stanie wizualizować elementy serca znacznie lepiej niż są one widoczne gołym okiem, przez dojście standardowe. Używamy między innymi technologii 3D. Dzisiaj operacje przypominają film science fiction, na sali operacyjnej wszyscy jesteśmy w okularach do odbierania obrazu 3D. Muszę przyznać, że technologia bardzo nam pomaga.

Chciałbym, żeby wszyscy pacjenci mieli świadomość postępu we współczesnej kardiochirurgii. Moją osobistą ambicją jest zmiana stereotypu ogromnej i krwawej operacji, który oczywiście jest przerysowany nawet w przypadku sternotomii. Dziś nowoczesne operacje kardiochirurgii małoinwazyjnej wiążą się często z mniejszym ryzykiem niż drobne operacje innych części ciała. Mamy znakomite wyniki – pacjenci są w dobrej formie wiele lat po operacji.

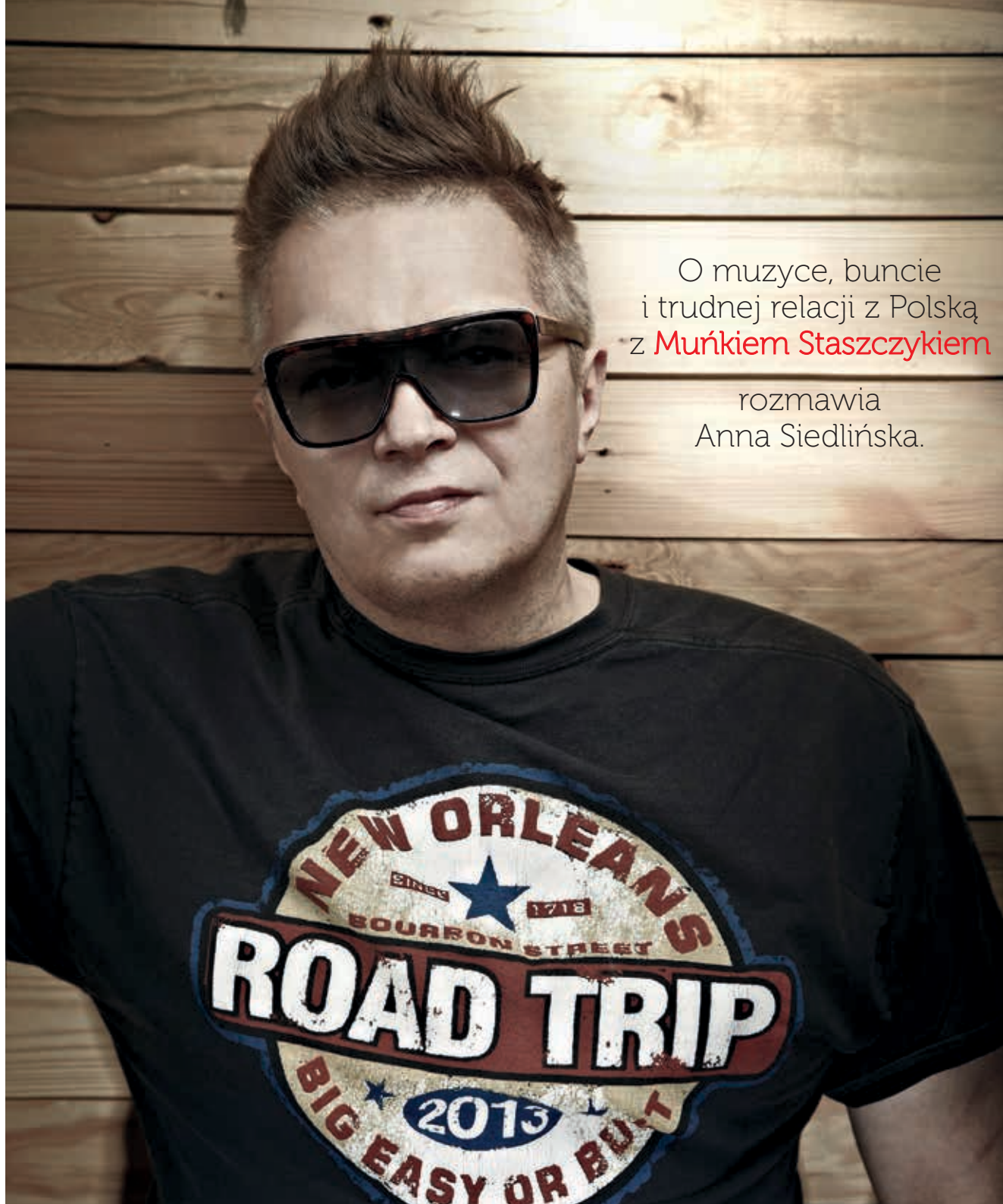
Małoinwazyjne
operacje
kardiochirurgiczne
wiążą się często
z mniejszym ryzykiem
niż drobne operacje
innych części ciała.

KB: Zależy panu na promowaniu kardiochirurgii małoinwazyjnej nie tylko w środowisku medycznym, ale także wśród potencjalnych pacjentów. Czy dlatego, że wcześniejsza diagnoza również w przypadku chorób serca dobrze wpływa na rokowania?

PS: To jest bardzo dobra uwaga. Kardiochirurgów jest niewiele. Dobrze się orientujemy, czym każdy z nas się zajmuje, jakie są postępy, nowe technologie i nowe możliwości. Natomiast zależy nam, żeby wyjść do ludzi i zaprezentować najnowsze możliwości kardiochirurgii, aby powszechna świadomość była coraz większa. Oczywiście wcześniejsza korekcja wad serca jest korzystniejsza dla pacjenta. Dziś u pacjentów planowych, we wczesnych stadiach choroby, jesteśmy w stanie wykonywać zabiegi z minimalnym ryzykiem, podobnym jak przy drobnych zabiegach chirurgicznych. Wczesna korekcja patologii powoduje, że pacjent ma prawie tak dobre rokowania długotrwałe, jak zdrowy człowiek. Natomiast nawet najlepiej zrobiona operacja w późniejszym stadium choroby – choć zwiększa szanse pacjenta na przeżycie – nie da tak dobrych efektów, gdyż serce i płuca mają mniejszą zdolność regeneracji. Wczesna konsultacja z kardiochirurgiem jest na pewno bardzo istotna.

KB: Na koniec chciałbym zapytać o muzykę. Pan profesor gra w zespole Rekord! Niby to tylko hobby zapracowanych profesorów kardiochirurgii (zespół tworzą osoby związane z tą specjalnością), ale panowie koncertujecie, nagrywacie płyty i macie naprawdę rasowe brzmienie.

PS: Tak, zespół Rekord! to profesorski zespół międzynarodowy. Grają w nim szef kliniki w Berlinie, jeden z szefów intensywnej terapii szpitala uniwersyteckiego w Zurychu i inżynier z USA, który współtworzył słynnego robota kardiochirurgicznego da Vinci. Połączyła nas pasja. Nagrywaliśmy naszą płytę w słynnym studiu Power Play, w którym tworzyli m.in. Prince, Lady Gaga, Quincy Jones i Foo Fighters (minęliśmy się z nimi w drzwiach). Myślę, że płyta za sprawą naszych emocji i entuzjazmu oraz starań ludzi, z którymi pracowaliśmy, nie jest najgorsza, nawet lepsza niż się spodziewaliśmy. Staramy się, na ile to możliwe, od czasu do czasu koncertować. Czasem na konferencjach medycznych gramy covery. Muszę się pochwalić, że tydzień temu nagraliśmy drugą płytę, również w jednym z najbardziej znanych studiów na świecie – Hansa Studios, w którym powstała płyta U2 „Achtung Baby”. Większość swoich płyt nagrali tam Depeche Mode czy David Bowie. Praca z zespołem tego studia to ogromna przyjemność i przywilej. Teraz materiał jest w postprodukcji, więc w ciągu miesiąca będziemy się mogli poszczycić drugą płytą. Dla nas, ludzi, którzy są na co dzień poddani ogromnym obciążeniom, jest to coś niezwykle ważnego. Trochę żartujemy, że ten zespół pozwala nam nie zwariować.



O muzyce, buncie
i trudnej relacji z Polską
z **Muńkiem Staszczukiem**

rozmawia
Anna Siedlińska.

Kocham ją i nienawidzę

Muniek Staszczuk, właśc. Zygmunt Marek Staszczuk (ur. 1963 r. w Częstochowie) – polski muzyk; współzałożyciel, lider, wokalista, autor tekstów, w początkowym okresie także basista zespołu T.Love. Ma na koncie kilkanaście albumów. Do najbardziej znanych przebojów należy m.in. „King”, „Stokrotka”, „Stany”, „Wychowanie”, „Chłopaki nie płaczą”, „Warszawa”. Muniek jest autorem książki „Dzieci rewolucji” oraz tomiku poezji „Ganja”. Współpracował z wieloma artystami i zespołami, takimi jak Maanam, Kasia Nosowska, Pidżama Porno, Zipera, Habakuk. Członek Akademii Fonograficznej ZPAV. Wychowywał się w Częstochowie, w robotniczej dzielnicy – na Rakowie. Jest absolwentem częstochowskiego IV LO oraz Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zdeklarowany pacyfista, wspiera działania charytatywne i antywojenne. Otrzymał wiele nagród. Był również ambasadorem zorganizowanych w Krakowie Światowych Dni Młodzieży 2016.

Anna Siedlińska: Okładkę waszej najnowszej płyty stworzył Rosław Szaybo, wybitny polski grafik, który zaprojektował też jedną z okładek naszego magazynu. Skąd pomysł na tę współpracę?

Muniek Staszczuk: O Rosławie po raz pierwszy przeczytałem jeszcze jako dzieciak. W magazynie muzycznym „Jazz”, w czasach głębokiego PRL-u, opublikowano artykuł o polskim grafiku, który tworzy okładki dla takich artystów, jak Carlos Santana, Leonard Cohen i The Clash. To on zaprojektował okładkę płyty „British Steel” Judas Priest. Mijały lata, aż któregoś razu po koncercie podeszła do mnie kobieta, która – jak się okazało – znała Rosława osobiście. Dostałem od niej numer telefonu, zadzwoniłem, przedstawiłem się i umówiłem na spotkanie, na które wziąłem nasze wszystkie winyle. Rosław spojrział na okładki i stwierdził, że powinniśmy mieć logo. Miałem już wtedy pomysł na płytę, która będzie miała prosty tytuł „T.Love”, więc był to dobry moment na stworzenie także prostej, eleganckiej okładki.

AS: „T.Love” to płyta, która jest gorzkim komentarzem współczesności.

MS: Ta płyta powstała dość szybko, bo w ciągu czterech miesięcy. Płytę „Old is gold” z 2012 r. tworzyliśmy dużo dłużej, ale była bardziej refleksyjna, dotyczyła spraw duchowych – miłości, śmierci, Boga, sensu istnienia. Spodobała się publiczności, przyniosła nam Fryderyka. Jednak jej sukces trochę nam ciążył. Nie mieliśmy pomysłu, w jaki sposób podejść do nowego albumu.

Pamiętam dokładnie, że prace nad płytą „T.Love” ruszyły w styczniu 2016 r., w dniu śmierci Davida Bowiego. Wtedy już wiedzieliśmy, jaki będzie jej kształt. Kiedy jesienią 2015 r. byliśmy na koncercie w Szwecji, dowiedzieliśmy się o zamachu terrorystycznym w Paryżu. Pamiętam to całe napięcie... Potem były kolejne zamachy. Do tego sytuacja w kraju, nieustanne marsze, narastające podziały w społeczeństwie. Nasiąkaliśmy tą atmosferą lęku, niepewności. I to wszystko znalazło odbicie na naszej najnowszej płycie, zdecydowanie bardziej katastroficznej i publicystycznej od poprzedniej. Zresztą T.Love nigdy nie był zespołem, który unika publicystyki, oceny współczesności.

AS: Od 35 lat w swoich utworach komentuje pan rzeczywistość. Wiele tekstów ma dziś status kultowych. Wszyscy znają słowa: „Ojczyznę kochać trzeba i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło”. Pobrzmiewa w nich nuta ironii...

MS: „Wychowanie” to piosenka, którą napisałem, mając 20 lat. Ona właściwie sama „wskoczyła” na papier – i to zaledwie w ciągu kilku minut. Co ciekawe, to w ogóle nie jest piosenka o ojczyźnie! Jej bohaterem jest chłopak, który próbuje porozumieć się z dziewczyną. To piosenka o wtłaczaniu młodym ludziom do głowy pustych frazesów. Są w niej spore pokłady ironii. Ciekawe jest też to, że ze względu na refren ten utwór wykorzystywany był przez różne strony polityczne – i to czasem w bardzo dziw-

ny sposób. Dość wspomnieć, że w latach 80. hajlowali przy nim skinheadzi. To przecież absurd! Tym bardziej że w tekście są jasne nawiązania do PRL-u, do systemu, który poznałem od podszewki.

AS: Nigdy jednak nie angażował się pan politycznie...

MS: Nie należałem do żadnych organizacji, ale w 1979 r. 48 godzin spędziłem najpierw na dołku, a w końcu na posterunku SB. A wszystko dlatego, że z kolegą rozlepiiliśmy na osiedlu ulotki, które były takim naiwnym wołaniem o przebudzenie się. Nieźle wtedy oberwaliśmy. Przede wszystkim psychicznie. I to w człowieku zostaje. Więc potem zamiast rozwieszać plakaty zacząłem pisać piosenki.

AS: Wiele z nich, na przykład „King”, to dla fanów prawdziwe hymny.

MS: „King” powstał na Żoliborzu. Janek Benedek zagrał mi kiedyś melodię na ławce w parku Żeromskiego przy placu Wilsona. Nie był z niej do końca zadowolony, bo nie miała wyraźnego refrenu. Ja byłem zachwycony. Zawsze chciałem stworzyć taką opowieść w stylu Boba Dylana, a ta melodia idealnie się do tego nadawała. Nie wiedziałem jednak, o czym ma być cała historia. Wcześniej napisałem piosenkę o Warszawie, mieście, w którym się nie urodziłem, a które stało się moim drugim domem. Pomyślałem więc, że Częstochowa, moje rodzinne miasto, też zasługuje na swój utwór. Postawiłem na lokalny koloryt: klasztor, trochę tandety, robotnicze podwórka, z których i ja się wywodzę. Tytułowego Kinga sklepiłem z kilku szemranych gości, których znałem...

Lubię ten utwór za jego łobuzerski klimat. Ma w sobie coś z hip hopu. Rozmawiałem z chłopakami z Molesty, z Sokołem – wszyscy podkreślali, że też to czują. Podejrzewam, że to właśnie kwestia opowieści. Dzisiaj ta piosenka nie miałaby racji bytu. Jest za długa, nie ma refrenu. W stacjach radiowych, w których liczą się wyniki badań rynku, na pewno by przepadła.

AS: Kiedy T.Love zaczynał karierę, pisał pan protest songi. W najnowszych utworach też nie brakuje buntu.

MS: Lata 80. to był czas protestu, który łączył. Kapele grały, opozycja działała, Jacek Kaczmarski śpiewał... W końcu komuna padła. Przewrót był dużym sukcesem. My jednak zamiast normalnie żyć szukamy kolejnych wrogów. Lubimy to. Tylko teraz już nie protestujemy razem, jesteśmy podzieleni. To wygląda tak jak w „Marszu” z naszej nowej płyty. Idziesz przez miasto i widzisz, że dwie strony zamierzają się wzajemnie pałować. I komentarze w Internecie dotyczące tego utworu potwierdzają tę obserwację. Stałem się więc wrogiem obu stron. Dla jednej jestem albo komuchem, albo lewackim anarchistą bez żadnych ideałów, dla drugiej – katolickim fanatykiem lub faszystą.

Wyszedłem z punk rocka, a rock wyszedł z bluesa. Dla mnie ten gatunek muzyki to nie jest rozrywka. W muzykę rockową wpisany jest bunt. Jednak ja nie protestuję po to, żeby być wiarygodnym



© ARCHIWUM T.LOVE

Nowy album zespołu, zatytułowany

„T.Love”, ukazał się na rynku 4 listopada 2016 r. Wersja podstawowa zawiera 13 premierowych kompozycji. Limitowana wersja specjalna została wzbogacona o dodatkowe piosenki – w tym duet z Johnem Porterem. Muzykę skomponowali wszyscy członkowie zespołu T.Love, a autorem tekstów tradycyjnie jest Muniek Staszczuk.

W przeciwieństwie do poprzedniego wydawnictwa „Old is Gold”, którego teksty skupiały się najczęściej na sprawach duchowych, nowy album wielokrotnie nawiązuje do współczesności. Dominuje artystyczna publicystyka, skupiająca się na sprawach Polski i świata. Muniek śpiewa o podzielonym społeczeństwie, strachu w Europie zniewolonej terrorem, o uchodźcach, wszystkich naszych fobiach i zagrożeniach. Jest też utwór „Warszawa Gdańska”, poświęcony pamięci zmarłego na początku ubiegłego roku Davida Bowiego.

„Album ostro buja muzą opartą na dobrych melodiach i gitarowych riffach. To swoisty soul-punk, tzn. skrzyżowanie czarnej tradycji Motown czy Stax z białym rock’n’rollem” – mówi Muniek Staszczuk.

Okladkę płyty zaprojektował Rostław Szaybo, człowiek legenda, twórca klasycznych już dzisiaj okładek, m.in. debiutanckiego albumu The Clash czy albumu „British Steel” zespołu Judas Priest. Jesienią 2016 r. T.Love zagrał 18. trasę koncertową, uwieńczoną warszawską imprezą w klubie Stodoła z gościnnym udziałem Natalii Przybyśz i Marka Dyjaka.

dla dzieciaków. Po prostu temat Polski zawsze był dla mnie ważny, dlatego jest w naszych piosenkach tak widoczny. Natomiast dziś zmienił się odbiorca. W latach 80. śpiewanie o Polsce przychodziło naturalnie. My wyrosliśmy na buncie. Dzisiaj muzyka ma być miła, łatwa i przyjemna. Stąd też fenomen disco polo. W muzyce nie ma już miejsca na publicystykę.

AS: Może po prostu nie umiemy inaczej. Może zawsze musimy być przeciwko komuś lub czemuś?

MS: Coś w tym jest. Nie umiemy korzystać z wolności. Wszystko jest dziś czarno-białe. Szary kolor zniknął z naszego kraju. A ja się pod tym nie podpisuję. I to też się wielu osobom nie podoba. Powinienem się przecież opowiedzieć po którejś ze stron... Tak bardzo lubimy się kłócić. A może istotą patriotyzmu jest szukanie tego, co nas łączy, zamiast ciągłego podkreślania tego, co nas dzieli?

AS: Jest pan patriotą?

MS: Jestem totalnie umiejscowiony w Polsce. Kiedy nagrywaliśmy płytę w Londynie, próbowałem przetłumaczyć Anglikom teksty. To wynikało z troski o Polskę. Mój związek z nią jest trudny. *Love and hate*. Takie związki są często bardzo niszczące, ale też rozwijające. Jeśli Polska jest kobietą, to zarazem kocham ją i nienawidzę. Jak w piosence Ciechowskiego. Polska ma swoje minusy, ale bardzo ją kocham. Tyle że wkurwia mnie często. Ale to jest inspirujące.

AS: Czym wobec tego jest dla pana patriotyzm?

MS: Przede wszystkim nie jest deklaracją polityczną. Uwłaczałoby mi lansowanie jakiejś ideologii lub nakłanianie do mojego punktu widzenia. Nie chcę uprawiać agitacji. Jestem bardzo „wrośnięty” w ten kraj, lecz mój stosunek do niego jest złożony. Oczywiście więcej jest w nim miłości niż złości. I przede wszystkim: Polska nie jest mi obojętna. Nasza ostatnia płyta jest wołaniem o przywrócenie rozsądku. Przecież u nas nie ma podstaw do tak głębokiego podziału. Wołamy więc o pojednanie – nie w sposób oazowy, ale rockandrollowy. Gdybym miał Polskę w dupie, to byłbym wygodnym kosmopolitą, którego interesuje wyłącznie Europa. Ale mi nie jest obojętne, co się w Polsce dzieje.

AS: A co pana wkurza w Polsce?

MS: Mamy całkowicie wytrzebione elity, nastąpiło u nas straszliwe zdziesiątkowanie inteligencji. Jestem chłopakiem z robotniczej rodziny, natomiast zawsze bolałem nad tym, co zrobili Hitler i Stalin. Dziś mamy tego pokłosie i klasę polityczną, na jaką zapracowaliśmy. Wiele spraw mnie irytuje. Nie jesteśmy może najgorszym narodem, ale mamy swoje przywary. Nie potrafimy działać spokojnie, pragmatycznie, zachowując swój punkt widzenia, tylko wpadamy w histerię, na której budują się złe emocje. Do tego dochodzą idiotyczne hasła typu „Polska od morza do morza”, sny o potędze, które w dzisiejszym świecie są archaiczne i absurdalne. Bierze się to z głupoty, niedouczenia, ale i z siły mediów – w szczególności Internetu. A głupi bywamy czasami przeraźliwie. Nie potrafimy słuchać ludzi

mądrych, których zresztą jest stosunkowo niewielu. Wkurzają mnie te nasze przywary, tak samo jak każdego normalnego, otwartego Niemca czy Francuza wkurzają przywary ich nacji. I mówię o tym wprost. Nie potrafimy wyciągać odpowiednich wniosków z historii świata i Europy, tylko wiecznie to idiotyczne machanie szabelką. Z całym szacunkiem do Mickiewicza, niektóre rzeczy, które literatura romantyczna zostawiła nam w spadku, to brednie typu „Polska Chrystusem narodów”. Tego typu romantyzm uczynił wiele złego. I w efekcie jesteśmy przetrzebieni. II Rzeczpospolitą też się gloryfikuje, a przecież nie była jednoznacznie dobra. A potem nadciągnęła komuna. Zawsze byliśmy poligonem, historia nas przeorała, ale trzeba umieć wyciągnąć z niej lekcję na przyszłość. W jakiś sposób ułożyć się racjonalnie i z Europą, i z Rosją, a nie wychodzić na ring z bokserami wagi ciężkiej, gdzie zarobi się nokaut po pierwszym ciosie. Więcej mądrości w tym wszystkim! A poza polityką denerwuje mnie, gdy wyobrażamy sobie, że jesteśmy najwspanialszy i najlepszy. Tylko niby w czym? Polska mistrzem Polski.

Wracając do patriotyzmu... Zacząłbym od siebie. Na początek spróbuj rozmawiać, spróbuj zrozumieć twojego sąsiada. Jeżeli chcesz, to wywieszaj flagę, ale nie musimy się licytować, kto stoi bardziej na baczność przy hymnie. Tu przecież chodzi o coś innego – by mieć świadomość, że jesteśmy sporym krajem w Europie Środkowo-Wschodniej, że mamy swój punkt widzenia i honor, swoją historię i dumę. Natomiast w ogóle nie potrafimy cieszyć się naszą niepodległością. I to widać w obchodach Święta Niepodległości. To po prostu jakaś trupiarnia! Jakby nam ktoś coś zabrał, jakbyśmy koniecznie musieli rozliczyć innych. Ale kogo? Gdzie? Za co? 11 listopada powinien być radosny. Jeżeli będziemy się tak rozliczać, to zwariujemy. Samo noszenie barw narodowych nie jest problemem, ale ludzie nadużywają symboli. Znak Powstania Warszawskiego na manifestacji narodowców? Żołnierze AK w grobach się przewracają. Ale to wszystko jest napędzane polityką. To wieczna bitwa o głosy wyborców.

Patriotyzm widziałbym raczej w świadomości własnych korzeni i pochodzenia oraz w związanej z nią dumie. Jeśli znasz swoją historię, to wiesz, skąd przychodzisz. Na tym należy budować naszą tożsamość. Dawajmy też dobre świadectwo za granicą, pokazujemy się z jak najlepszej strony, nie odcinamy się od własnego pochodzenia. Choć akurat w tej kwestii wiele zmieniło się już na lepsze.

AS: A co w nas, Polakach, i w Polsce pan lubi?

MS: Jesteśmy rodzinni. Liczą się dla nas relacje, związki, rodzina. Trochę przypominamy w tym Włochów. Podoba mi się także nasz szacunek do starszych ludzi. I serdeczność. Szczególnie ta na wschodzie. Tym różnimy się od Francuzów czy Brytyjczyków.

Nasz kraj jest piękny. Cudownie, że mamy cztery pory roku i naprawdę sporo bardzo ładnych terenów. Cała ściana wschodnia jest przepiękna. Szkoda tylko, że przez Stalina straciliśmy Lwów. Przyznam, że jako muzyk zjeździłem Polskę kilkadziesiąt razy i nigdy nie mam jej dość. To tutaj najlepiej wypoczywam. Polska mnie uspokaja.

AS: A Warszawa? Śpiewał pan, że kocha to miasto.

MS: Warszawę zawsze bardzo lubiłem. Najlepszy kumpel mojego taty był warszawiakiem, więc często jeździliśmy do stolicy. To miasto nigdy nie było mi obce. W latach 50. mój wujek Celestyn grał w Legii z Kazimierzem Górskim. Dlatego w naturalny sposób również Legia była obecna w moim domu. Do dzisiaj jestem kibicem. Choć nie mam warszawskich korzeni, to miasto zawsze było mi bliskie. I dobrze mnie przyjęło, gdy tutaj przyjechałem.

Dziś bardzo często słyszę, jak ludzie, którzy przeprowadzili się tutaj, głównie ze względu na większe możliwości zawodowe, nieustannie plują na to miasto. Nie rozumiem tego. Sam dostałem od Warszawy dużo więcej dobrego niż złego. Dziś miasto się rozwija, pięknieje. Ma dobrą energię, świeżą, młodą. I mimo że architektonicznie mamy tu totalny chaos, przypominający nowojorskie plomby, to i tak mi się podoba. Kiedy przeprowadziłem się tutaj w 1982 r., Warszawa była inna. Dużo cięższa, stalinowska. Teraz jest miastem europejskim.

AS: Kiedy patrzy się na waszą dyskografię, widać momenty dłuższych przerw. W 2006 r. wydaliście płytę „I hate rock’n’roll”, potem dopiero po sześciu latach na rynek weszła „Old is gold”, a cztery lata później „T.Love”.

MS: Trzydzieści pięć lat w jednej kapeli to niełatwa sprawa. Były kryzysy, bywało słabo, nerwowo. I właśnie w takim momencie powstała płyta „I hate rock’n’roll”. To na niej słysząc, ma taki nerw. Ciągle byłem wtedy nabuzowany, jak bomba zegarowa. Chciałem nawet rozwiązywać zespół. Dlatego musiało minąć sporo czasu, zanim nagraliśmy kolejny album. Wykonaliśmy zresztą ogromną pracę. Powstało w tym czasie chyba z 60 pomysłów na piosenki, z których wybraliśmy 22 utwory na następną płytę „Old is gold”. Zrobiliśmy wtedy naprawdę dobrą robotę, choć był to strasznie męczący okres.

AS: Który ciągle trwa? Zapowiedzieliście przerwę w karierze...

MS: Od stycznia 2018 r. zawieszamy działalność koncertową, co oczywiście nie oznacza, że rozwiązujemy band. O tej przerwie mówię już od półtora roku. To dobry moment, by zwolnić. Zespół skończył 35 lat, a ja nie chcę dojść do takiego punktu, w którym będę pluł na swoją kapelę lub traktował ją wyłącznie zarobkowo i wychodził na scenę wściekły czy sfrustrowany. Przez te wszystkie lata osiągnęliśmy wiele, powstawały kolejne płyty, kolejne wydawnictwa, nieustannie graliśmy koncerty. Nie chcę definitywnie zamykać drzwi, bo to byłaby głupota, niemniej kończąc najnowszą płytę, czułem, że doszliśmy do ściany. Niektórzy traktują scenę jak narkotyk, ale ja lubię też inne rzeczy. Nie mówię, że scena jest nieważna, bo może, gdy się spotkamy za dwa lata, będę chciał wrócić do T.Love. Jednak teraz potrzebuję więcej wolności. Nie wiem, co będę robił dalej. Przyszedł czas na zresetowanie głowy.

Lubię pomagać

O prowadzeniu biznesu społecznego, działaniu w skali globalnej i promowaniu Polski z **Moniką Jabłońską** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Co panią skłoniło do zajmowania się działalnością dobroczynną?

Monika Jabłońska: Życie, przeznaczenie, pasja i ludzie, których spotkałam na swojej drodze. Podróże i miejsca, do których dotarłam. Potrzeba pomagania innym. Pragnę, żeby świat się zmienił, i chciałabym być częścią tych zmian. Marzę, aby pozostawić po sobie coś trwałego, co się nie zmienia pomimo upływającego czasu. Życie nie jest po to, aby je przeżyć, ale po to, aby przeżyć je ciekawie i robić rzeczy, które się kocha. W moim przypadku

łączenie biznesu z działalnością charytatywną idealnie wpisuje się w to, co chciałam robić i czuję sercem.

KB: Dlaczego skoncentrowała się pani na problemie niedożywienia?

MJ: Niedożywienie dzieci, brak pełnowartościowego posiłku, marnowanie jedzenia to główne problemy, z którymi boryka się dzisiejszy świat, także Polska. Pożywienie to podstawa egzystencji człowieka i warunek prawidłowego funkcjonowania ludzkie-

go organizmu. Widząc, z jaką zatrważającą szybkością rośnie liczba głodujących ludzi na świecie, postanowiłam sama coś zrobić w tym temacie i założyć Nuture the World, firmę z misją społeczną (nie fundację), dzięki której dzisiaj pomagamy dożywiać ludzi, głównie dzieci. Głęboko wierzę, że zapewniając dziecku posiłek w szkole, nie tylko inwestujemy w jego zdrowie i prawidłowy rozwój, ale także pośrednio wspieramy jego edukację i tym samym wpływamy na jakość społeczeństwa, w którym żyjemy.

KB: Głównym miejscem pani działalności są Stany Zjednoczone. To rynek bardzo konkurencyjny, jeśli chodzi o organizacje dobroczynne, pomocowe oraz firmy z misją społeczną.

MJ: Niewątpliwie rynek amerykański jest bardzo konkurencyjny, ale jest to tylko dodatkowy czynnik motywacyjny dla nowej organizacji wchodzącej na rynek. Równocześnie Ameryka to rynek wielkich możliwości, o niewyczerpanym potencjale kontaktów biznesowych i współpracy z partnerami. Zawsze znajdzie się przestrzeń na nowe projekty. Fakt, że podjęliśmy współpracę z dużymi firmami działającymi na rynku amerykańskim, świadczy nie tylko o sile naszego projektu, ale także o odpowiednim kierunku działań.

KB: W jaki sposób dociera pani do gwiazd i osobistości świata biznesu i polityki?

MJ: Podróżując po świecie, ciągle poznaję wspaniałych ludzi, zdobywam wiedzę i czerpię inspiracje. Później te kontakty w naturalny sposób procentują. Zanim wyjechałam z Polski, znałam dużo osób i nie ukrywam, że to pomaga w promowaniu mojego projektu. Ale to zawsze działa w dwie strony – ludzie pomagają mi, a ja pomagam ludziom. Przy wsparciu przyjaciół, rodziny, naszych partnerów biznesowych nawiązuję współpracę z mniej lub bardziej znanymi ludźmi w Polsce i na świecie. To zawsze jest proces. Nic nie dzieje się od razu. Każda relacja wymaga pracy, cierpliwości i czasu. Ale podejmowanie wysiłku się opłaca, bowiem efekty są wspaniałe – otrzymujemy wsparcie i obcujemy z osobami o wielkiej pasji i ciekawości świata, a z niektórymi nawet się przyjaźnimy. Poznałam wiele znanych i cenionych osób, m.in. głowy państw, członków rodzin królewskich, postaci ze świata biznesu i polityki, słynnych piłkarzy, takich jak Pele, pisarzy, aktorów, projektantów mody i innych. Każde spotkanie było ciekawe, inspirujące. Podziwiam tych wszystkich ludzi za ich siłę i odwagę w realizacji swoich marzeń.



Monika Jabłońska ukończyła prawo w Polsce i USA. Jest również magistrem literatury i kończy przygotowanie doktoratu. W 2012 r. w Nowym Jorku założyła World Nuture Foundation, organizację o charakterze non profit. Oficjalna inauguracja fundacji miała miejsce podczas konferencji Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie zrównoważonego rozwoju, która odbyła się w Rio de Janeiro. Rok później założyła firmę Nuture the World. Jest to organizacja *for profit* z misją społeczną; jej celem jest sprzedaż wysokiej jakości produktów na całym świecie, z których częściowy dochód jest przekazywany na dożywianie dzieci w szkołach. Do projektu dołączył Światowy Program Żywnościowy ONZ (WFP Centre of Excellence against Hunger) oraz inne organizacje, które są powołane do wyeliminowania problemu głodu wśród dzieci. Jest autorką książki i wielu artykułów, współpracowała z portalem Onet.pl, gdzie powstał jej autorski program „Heart 2 Heart”.

Niewątpliwie największe wrażenie zrobiło na mnie spotkanie z Janem Pawłem II. To uczucie radości i spokoju trwa we mnie do dzisiaj. Już niebawem w Stanach Zjednoczonych ukaże się moja książka o literaturze Jana Pawła II. To będzie kolejna okazja do pokazania Polski za oceanem i wspomnienia wybitnego Polaka.

KB: Co panią napędza do działania i pomaga w przezwyciężeniu niedyspozycji i przeciwności?

MJ: Życie, sytuacje, ludzie, projekty. Pozytywne myślenie dodaje siły i nadziei. Moja rodzina, dziecko, przyjaciele działają na mnie motywacyjnie. Radość życia, którą noszę głęboko w sercu, jest najlepszym sposobem na niedyspozycję czy przeciwności losu.

KB: Prowadzi pani dwa projekty: World Nuture Foundation i Nuture the World. Ten drugi polega na działalności zarobkowej – w pani przypadku w branży żywności i mody – i oddawaniu części dochodu potrzebującym. Jaki procent zysku z jednostkowego produktu jest przekazywany na cele charytatywne?

MJ: Koncentruję się głównie na *social business* (tzw. firma z misją społeczną), czyli Nuture the World. Organizacja ma charakter *for profit*, ale rządzi się trochę innymi prawami niż typowy biznes. Zachęcam wszystkich do lektury, bo temat jest ciekawy i obszerny, nie sposób go wyczerpać w krótkiej wypowiedzi. Nie określamy naszych donacji procentowo (choć nie wykluczamy tego w przyszłości), natomiast w każdym indywidualnym przypadku wskazujemy na liczbę posiłków, które sfinansuje zakup naszego produktu. Klient, dokonując konkretnego wyboru, określa nie tylko liczbę posiłków, które chce przekazać dziecku, ale także wybiera organizację, za pośrednictwem której prześlemy wsparcie. To właśnie klient decyduje, czy chce pomóc, komu i w jaki sposób.

KB: Czy wierzy pani, że jej działalność rozwiąże problem niedożywienia dzieci?

MJ: Zawsze trzeba wierzyć w siebie i w to, co robimy, w przeciwnym razie nasze życie nie miałoby sensu. Trzeba podejmować wyzwania, nawet jeśli droga do celu jest długa i trudna. Należy próbować nawet za cenę niepowodzenia. Ważne, aby mieć pomysł na siebie, myśleć pozytywnie i robić, co w naszej mocy, aby cel został osiągnięty. W ramach Nuture the World staramy się pomóc jak największej liczbie dzieci cierpiących z powodu niedo-

żywienia. Sukces naszej misji i wielkość naszej pomocy zależą od ludzi, organizacji i partnerów biznesowych. Tylko działając razem i pomagając sobie wzajemnie, możemy dokonać dużych rzeczy, zarówno w Polsce, jak i na świecie.

KB: Czy gdyby wszystkie firmy na świecie oddawały część zysków, rozwiązałibyśmy wszelkie problemy świata, czy może doprowadziłibyśmy do powstania nowych problemów?

MJ: Problemy świata nie znikną – były, są i będą. Niestety. Z całą pewnością jednak wsparcie konkretnych firm w konkretnym temacie mogłoby zmniejszyć skalę bądź szybkość rozprzestrzeniania się niektórych problemów. Każda, nawet najmniejsza, pozytywna aktywność jest pomocna.

KB: Oddawanie części zysku jest dzisiaj modnym tematem rozmów, ale niewiele firm to robi. Czy doradza pani innym podmiotom, jak wdrożyć podobny model działania?

MJ: Temat jest mi znany nie tylko z własnych doświadczeń – piszę doktorat z biznesu społecznego i doradzam w obszarze CSR. Moje wykształcenie prawnicze (zdobyte w Polsce i USA) oraz doświadczenie w obsłudze klientów międzynarodowych jest bardzo pomocne, bowiem daje szeroką perspektywę rozumienia i ujęcia tego tematu w kategoriach globalnych. We wrześniu, w ramach Nuture the World, rusza nasz nowy projekt „Torba z Misją” – skierowany do firm, korporacji i agencji reklamowych – który będzie oferował konkretne rozwiązania CSR. Zapraszam na naszą stronę Nuture.pl.

KB: Prowadzenie działalności dobroczynnej jest w Polsce obwarowane skomplikowanymi przepisami prawnymi, co zniechęca wiele osób do jej podejmowania, choć jest w pewnym sensie zrozumiałe, bo ma to chronić przed nadużyciami i wykorzystaniem najsłabszych. A jak wygląda sytuacja w USA: państwo jest łagodne czy restrykcyjne w stosunku do podmiotów charytatywnych?

MJ: Zdecydowanie łatwiej założyć i prowadzić działalność charytatywną w USA niż w Polsce. I tutaj można by napisać obszerną pracę wyjaśniającą, dlaczego tak jest. Poza wyjątkami prawo w Stanach Zjednoczonych raczej życzliwie podchodzi do organizacji charytatywnych. Na wielu etapach jest elastyczne, dając wiele możliwości i korzystnych rozwiązań, ale jest także restrykcyjne dla tych, którzy wykorzystują działalność non profit do nielegalnych celów.

KB: Działalność dobroczynna czasem wywołuje w ludziach negatywną reakcję, szczególnie w krajach o niskim kapitale zaufania społecznego. Jak jest w Ameryce?

MJ: Zacznijmy od tego, że Stany Zjednoczone są krajem o stosunkowo wysokim kapitale zaufania społecznego. Amerykanie

podchodzą do organizacji charytatywnych z wielkim szacunkiem, słowo „fundacja” kojarzy się pozytywnie. Wpływa na to wiele czynników, m.in. historia tego kraju, jego kultura, mentalność ludzi, rozwiązania prawne i biznesowe. Generalnie na Amerykanów można liczyć, oni lubią pomagać i czynią to w sposób niezwykle ciepły i przyjacielski. Doprawdy nie znam Amerykanina, który nie wspiera organizacji charytatywnych (wspieranie jednej to rodzaj obowiązku obywatelskiego, im większej liczbie organizacji się pomaga, tym lepiej). Spójrzmy tylko na daleką i bliską historię oraz działania Amerykanów na rzecz świata (w tym Polski), gdy ten jest w potrzebie. Wystarczy sygnał i Ameryka staje w pełnej gotowości do pomocy.

KB: Działają pani globalnie na różnych rynkach. Jak na tym polega współpraca z polskimi instytucjami?

MJ: Polska to kraj dużych możliwości. Mamy wiele do zaoferowania i rozwijamy się w błyskawicznym tempie. Oczywiście nie brakuje trudności (np. biurokracja, przepisy prawa, wysokie podatki, ludzkie kompleksy), co sprawia, że współpraca z niektórymi firmami lub instytucjami nadal przebiega opornie. Zapewne to wszystko się zmienia, ale potrzeba czasu, konkretnych rozwiązań ze strony rządu i przede wszystkim większego zaufania Polaków do siebie samych. Z wielką radością i optymizmem patrzę na polskie firmy, które zaczynają działać na rynkach zachodnich. One właśnie są dowodem na to, że wychodzimy z cienia, a polskie produkty, które mają wysoką wartość i jakość, konkurują z największymi markami na świecie. Z tego możemy być dumni.

KB: Ludzie, zapytani o marzenia, najczęściej opowiadają o osobistych dążeniach czy planach. Czy pani prywatnie marzy o zmianie świata?

MJ: Od kiedy zostałam mamą, najważniejsze jest dziecko. To nie znaczy, że życie zawodowe przestało być ważne. Ono jest ważne, ale inaczej. Z zespołem Nuture the World zmieniamy świat na lepszy każdego dnia i będziemy to czynić, dopóki starczy nam wiary i sił, zaś okoliczności zewnętrzne pozwolą nam realizować naszą misję. Otwieramy się na nowe projekty, współpracę z firmami, rozszerzamy pole działania o nowe produkty i nowe rynki.

KB: Czy w ramach swojej działalności promuje pani Polskę?

MJ: Polskę promuję zawsze i wszędzie. Czynię to zarówno poprzez Nuture the World, jak również moją książkę, która została już opublikowana w Brazylii, Kolumbii i Polsce, a niebawem trafi do księgarni w USA. Część naszych produktów powstaje w Polsce, więc wspieramy lokalną ekonomię, pomagamy zredukować bezrobocie, dając miejsca pracy. W Polsce płacimy podatki, wspieramy tutejsze organizacje charytatywne, a także zawieramy współpracę z polskimi firmami i dzięki temu promujemy ich produkty i usługi na różnych rynkach, w kraju i za granicą. Jednym słowem, mówimy o Polsce i Polakach tak często, jak tylko jest to możliwe.



© MIKOŁAJ ZACHAROW

Sztuka jak ocean

Podsumowanie Festiwalu Transatlantyk

Ponad 200 filmów, 55 premier, 63 tys. widzów oraz Edward Norton, Lucrecia Martel i wielu innych wybitnych twórców z całego świata – tak w skrócie wyglądała tegoroczna edycja Festiwalu Transatlantyk w Łodzi.

Festiwal inspirował, uczył i pobudzał do dyskusji. Podczas seansów „Dunkierki”, „Boskiego porządku”, „Party”, „Zwierząt” czy „Whitney. Być sobą?” sale kinowe wypełnione były po brzegi. Tegoroczny program filmowy Festiwalu Transatlantyk obejmował kilkaset seansów w Multikinie Silver Screen, Muzeum Kinematografii, Kinie Łódkowym oraz podczas plenerowych pokazów organizowanych wspólnie z festiwalem Polówka. Na Festiwalu Transatlantyk zaprezentowano – po raz

pierwszy w Polsce – nagrodzony w Cannes film „Montparnasse i dziewczyna” Léonor Serraille, „Brigsby Bear” Dave’a McCary’ego, jedną z najgłośniejszych premier Festiwalu Filmowego Sundance, oraz „W czterech ścianach życia” Philippe’a van Leeuwa, laureata nagrody publiczności w sekcji Panorama i nagrody specjalnej na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie. Podczas Festiwalu Transatlantyk polskie premiery miało w sumie 55 filmów.



2

© MIKOŁAJ ZACHAROW



3

© MIKOŁAJ ZACHAROW



4

© MARTA ZAJĄC-KRYSIAK



5

© MIKOŁAJ ZACHAROW

- 1 Kino kulinarne 2 Edward Norton prowadzi kurs mistrzowski. 3 Jan A.P. Kaczmarek, Lucrecia Martel, Klaus Eder
4, 5 Festiwal Transatlantyk jest świętem filmu, ale także muzyki filmowej.

Wyjątkowymi nagrodami zostali uhonorowani wybitni twórcy i goście specjálni festiwalu – amerykański aktor Edward Norton i argentyńska reżyserka Lucrecia Martel. Podczas gali zamknięcia Edward Norton otrzymał nagrodę Transatlantyk Global Hero Award, przyznaną artystom, których lokalne i globalne działania kształtują oblicze współczesnego świata. Aktor jest piątym w historii festiwalu laureatem tego wyjątkowego wyróżnienia. Dotychczas nagrodą uhonorowano duńskiego naukowca Bjørna Lomborga, teoretyczkę i krytyczkę kultury prof. Gayatri Chakravorty Spivak, małżeństwo Elżbietę i Krzysztofa Penderekich oraz Yoko Ono.

Przed projekcją filmu „Kobieta bez głowy” prestiżową jubileuszową nagrodę FIPRESCI 92, przyznaną przez Międzynarodową Federację Krytyków Filmowych (FIPRESCI), z rąk sekretarza generalnego organizacji, Klause Edera, odebrała Lucrecia Martel. Nagroda ta celebrytuje ponad dziesięć dekad istnienia Federacji, podkreślając rolę i znaczenie krytyki filmowej. Powstała w 1925 r. FIPRESCI to obecnie najbardziej prestiżowa organizacja zrzeszająca krytyków filmowych z całego świata. Nagroda została w Polsce wręczona po raz pierwszy właśnie na Festiwalu Transatlantyk.

Przyznawaną przez publiczność nagrodą Transatlantyk Distribution Award (w wysokości 40 tys. zł) został uhonorowany obraz Blandine Lenoir „Pięćdziesiąt wiosen Aurory”, a nagrodę Young Film Critics Award, przyznaną przez zwycięzców konkursu organizowanego w ramach Festiwalu Krytyków Sztuki Filmowej Kamera Akcja, dla najlepszego debiutu reżyserskiego otrzymał film „Cierpkie mleko” Huberta Charuela. Drugą edycję Konkursu Polskich Krótkich Metraży wygrała Julia Orlik i jej animowany „Bankiet” (nagroda w wysokości 10 tys. zł).

Jak co roku ogromną popularnością cieszyły się seanse w Kinie Łódzkim, uznanym przez serwis BuzzFeed za jedno z dziesięciu najwspanialszych kin świata – bilety na wszystkie pokazy zostały wyprzedane. Nie mogło zabraknąć także Kina Kulinarne, którego program został opracowany we współpracy z Międzynarodowym Festiwalem Filmowym w Berlinie; wspaniałe kolacje do pięciu seansów przygotowało sześcioro wybitnych szefów kuchni: Wojciech Modest Amaro, Robert Skubisz, Katarzyna Daniłowicz, Tomasz Puroł, Mariusz Pieterwas i Sebastian Krauzowicz.

Bohaterami sekcji retrospektywnych Zbliżenie byli w tym roku Lucrecia Martel i Edward Norton, którzy spotkali się z festiwalowo-

wą publicznością podczas specjalnych kursów mistrzowskich, oraz Barbara Sass; po projekcjach jej filmów odbyły się spotkania z aktorkami grającymi główne role: Magdaleną Cielecką, Dorotą Stalińską czy Izabelą Drobotowicz-Orkisz.

Bardzo dużym zainteresowaniem widzów cieszyła się premirowa sekcja Historie kina: debiuty mistrzów. Niektórzy sympatycy kina wybierali wieczorne pokazy z cyklu Kino klasy B i inne szaleństwa.

Nie zabrakło także propozycji dla najmłodszych – starannie wyselekcjonowanych filmów w ramach Filmowego Klanu Urwisów.

Pokazy plenerowe (część z nich pod hasłem „Girl Power!”) organizowano we współpracy z łódzkim festiwałem Polówka. Wyjątkową projekcję dokumentu „Jazz in Poland” zrealizowano wspólnie z Filмотeką Narodową – Instytutem Audiowizualnym, zaś seanse filmów „Abu: Ojciec”, „Belinda” i „Chavela” zaprezentowano w partnerstwie z Festiwałem Mediów Człowiek w Zagrożeniu. Podczas Festiwalu Transatlantyk obchodzono 10. rocznicę powstania Łódzkiego Funduszu Filmowego, prezentując szereg polskich filmów współprodukowanych przez Łódź Film Commission.

W ramach sekcji Sobota z awangardą odbył się przegląd najważniejszych tytułów kina eksperymentalnego. Wielu widzów wybrało się na pokazy filmów z sekcji Czasoprzestrzeń VR, stworzonych przy pomocy wirtualnej rzeczywistości, które prezentowano w planetarium EC1.

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Transatlantyk z widzami spotkało się kilkudziesięciu wybitnych przedstawicieli kultury i sztuki z całego świata. Bohaterami spotkań Master Class, podczas których zaproszeni goście dzielą się swoim doświadczeniem zawodowym, byli m.in. reżyserka Lucrecia Martel (najważniejsza przedstawicielka argentyńskiej nowej fali, której obrazy były prezentowane na festiwalach w Berlinie i Cannes), operator Michael Seresin (stały współpracownik Alana Parkera, m.in. „Harry Angel”, „Ptasiek”) oraz montażystka Anne-Sophie Bion (nominowana do Oscara za film „Artysta”).

Ogromne zainteresowanie widzów wywołała wizyta aktora Edwarda Nortona (m.in. „Podziemny krąg”, „Więzień nienawiści”), którego w łódzkim Teatrze Wielkim wysłuchało ponad tysiąc osób. Spotkanie poprowadził filmoznawca i krytyk filmowy Michał Oleszczyk.

Z widzami rozmawiali m.in. Philippe Mora, Trevor Graham („Monsieur Mayonnaise”), Andrzej Seweryn, Jan P. Matuszyński („Ostatnia rodzina”), Janusz Majewski, Wojciech Karolak, Krzysztof Sadowski („Jazz in Poland”), Magdalena Cielecka („Pokuszenie”), Dorota Stalińska („Krzyk”) czy Greg Zgliński („Zwierzęta”). Komplet publiczności wysłuchał rozmowy Grażyny Torbickiej i Klausa Edera poświęconej przyszłości krytyki filmowej na świecie.

O tematach, którymi żyje obecnie Polska i świat, rozmawiano z zaproszonymi gośćmi podczas debat Salonu Polityki oraz Radia

TOK FM, które prowadzili Rafał Woś i Patrycja Wanat. Codziennie w Kinie Łózkowym odbywały się także wykłady SWPS.

Festiwal Transatlantyk rozpoczął się od Wielkiego Czytania Kobiet, widowiska muzyczno-literackiego z muzyką Jana A.P. Kaczmarka, wykonywaną przez Hollytódzką Orkiestrę Filmową pod batutą Moniki Wolińskiej, chór Vivid Singers i sopranistkę Joannę Jakubas. Podczas spektaklu na scenie pojawiło się dziewięć wyjątkowych kobiet – aktorki: Katarzyna Herman, Justyna Wasilewska, Zofia Wichłacz i Agnieszka Żulewska; reżyserka Joanna Kos-Krauze; pisarki Katarzyna Bonda i Sylwia Chutnik; projektantka Joanna Klimas oraz reżyserka całego widowiska Maria Sadowska – które przeczytały fragmenty tekstów słynnych pisarek, m.in. Simone de Beauvoir, Doris Lessing czy Patti Smith. Muzyczną gwiazdą gali zamknięcia był zespół Kwadrofonik.

Podczas festiwalu odbyły się także dwa międzynarodowe konkursy kompozytorskie: Transatlantyk Film Music Competition™ (FMC) oraz Transatlantyk Instant Composition Contest™ (ICC). Zwycięzcą konkursu FMC został Ruslan Perezhilo z Łotwy. Natomiast w konkursie ICC pierwsza nagroda przypadła w udziale Polakowi Jakubowi Czerskiemu. Łączna pula nagród w obu konkursach wyniosła ponad 82 tys. zł. Podczas gali wręczono też wspólną nagrodę Festiwalu Transatlantyk i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, przyznaną najlepszemu polskiemu finaliście konkursu FMC. Nagrodę w wysokości 20 tys. zł otrzymał polski muzyk Antoni Wojnar. Jurorami w konkursie ICC byli: Michael P. Aust (dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Brunzshwiku oraz międzynarodowego festiwalu muzyki filmowej Soundtrack Cologne w Kolonii), Matthijs Kieboom (kompozytor, laureat konkursu ICC w 2011 r.), Piotr Metz (dziennikarz muzyczny) oraz Jan A.P. Kaczmarek. Natomiast laureatów konkursu FMC wyłoniło jury w składzie: Anne-Sophie Bion (montażystka), Jean-Michel Bernard (kompozytor muzyki filmowej), Wiesław Komasa (polski aktor filmowy i teatralny), Michael Seresin (operator, m.in. „Ptasiek”, „Harry Potter”) i Jan A.P. Kaczmarek (laureat Oscara, kompozytor muzyki filmowej).

Komplet widzów wysłuchał koncertu wybitnego kompozytora muzyki filmowej Jeana-Michela Bernarda (autor muzyki do filmów Michela Gondry’ego, m.in. „Jak we śnie”, „Ratunku! Awaria”, oraz piosenek do obrazu „Hugo i jego wynalazek” Martina Scorsese), który wystąpił w łódzkim Teatrze Nowym im. Kazimierza Dejmka w towarzystwie gościa specjalnego – Marii Sadowskiej.

Bohaterem spotkania Talking Piano, podczas którego kompozytorzy przybliżają widzom swoją zawodową drogę, był w tym roku dyrektor Festiwalu Transatlantyk, laureat Oscara za muzykę do filmu „Marzyciel”, Jan A.P. Kaczmarek. Rozmowa, którą prowadził brytyjski dziennikarz Tim Burden, była przeplatana fragmentami kompozycji Jana A.P. Kaczmarka, wykonanymi przez autora na żywo.

Szczegółowe informacje o Festiwalu Transatlantyk dostępne są na stronie Transatlantyk.org.

1 Wyspa Młyńska i jej najbliższe otoczenie to dziś tętniący życiem fragment miasta

2 W amfiteatrze przy Operze Novej, naprzeciwko Wyspy Młyńskiej, odbywają się koncerty i inne wydarzenia kulturalne.

3 Nowoczesna marina stała się symbolem miasta.



FOTODRAGON PRO © FOTODRAGON PRO



URZĄD MIASTA BYDGOSZCZY © ROBERT SAWICKI



Rzeka urzeka

Bydgoska Wyspa Młyńska zachwyca. Jeszcze niedawno niebezpieczna i zarośnięta chaszczami, dziś jest rekreacyjnym sercem miasta i obowiązkowym punktem wycieczek turystycznych.

Radosław Siedliński

Wyspa Młyńska to unikalny obszar położony w samym sercu Bydgoszczy. O jego malowniczym charakterze decydują kamienice Wenecji Bydgoskiej (niezliczone bryły starych oficyn i przybudówek), imponujące gmachy Opery Novej, a także XV-wieczna gotycka katedra. I oczywiście rzeka. Z jednej strony wartka Młynówka, z drugiej natomiast potężne główne koryto Brdy Górnej. To ona otacza tę oazę zieleni, w której skupia się kulturalne, rekreacyjne i rozrywkowe życie miasta. Niewątpliwie Wyspa Młyńska stanowi dziś jedno z ulubionych miejsc wizyt bydgoszczan i zarazem znakomitą wizytówkę miasta.

Kilka wieków świetności

Wyspa, choć nieduża (ok. 6 ha powierzchni), ma wspaniałą przeszłość. Przed wiekami była energetycznym sercem miasta. Wszak już od XIV w. budowano na niej młyny zbożowe, wykorzystujące siłę płynących jazami wód Brdy, a 500 lat później Prusacy zbudowali

kompleks gmachów zwany Młynami Rothera, którego imponująca, czteropiętrowa sylwetka góruje do dziś nad zachodnią częścią Wyspy. Warto dodać, że oprócz młynów nad Brdą w XV w. powstała łaźnia miejska, a 100 lat później mennica królewska. To właśnie w niej za panowania Zygmunta III Wazy wybito imponujące dukaty – prawdopodobnie największe złote monety w dziejach Europy.

Zapomniany skarb

Okres świetności Wyspy Młyńskiej trwał długo. Nawet w czasach PRL-u stare młyny wciąż pełniły swoje funkcje i aż do lat 80. XX w. transport zboża odbywał się drogą wodną – na barkach. Ostateczny kres przemysłowej funkcji Młynów Rothera przyniosły lata 90., kiedy to nieczynne i opuszczone obiekty zostały wystawione na sprzedaż. Kolejne kilkanaście lat najlepiej byłoby wymazać z historii Wyspy Młyńskiej. Ta część miasta była praktycznie omijana przez mieszkańców. Zaniedbana i niebezpieczna, nie zachęcała do spacerów. Podobnie jak opuszczone, stopniowo popadające w ruinę zabudowania.



Mateusz Adamczyk podczas koncertu w Bydgoszczy

Akcja rewitalizacja

Zmiany nastąpiły w 2005 r. wraz z rozpoczęciem procesu rewitalizacji, który w pełni wyeksponował wszystkie atuty Wyspy Młyńskiej, przywracając jej dawną świetność. W efekcie trwających siedem lat prac teren przeszedł niezwykłą metamorfozę. Renowacji poddane zostały historyczne budynki przemysłowe, w których dziś mieszczą się Muzeum Archeologii, Muzeum Sztuki, Europejskie Centrum Pieniądza, Dom Wyczółkowskiego oraz Centrum Pracy i Przedsiębiorczości. Ponadto odnowiono nabrzeża Brdy, wytyczono alejki i bulwary parkowe, zbudowano amfiteatr, ogródek jordanowski, stworzono plażę miejską oraz nadrzeczny taras widokowy. Na Wyspie Młyńskiej z roku na rok pięknieją stare kamienice, których oficyny tworzą Wenecję Bydgoską, a ratusz rozpoczął już prace nad rewitalizacją Młynów Rothera.

Marina, kajaki i sport

Na sukcesywnie piękniejącym terenie Wyspy Młyńskiej nie można było pozostawić ostatniego zrujnowanego reliktu przeszłości – zdegradowanych obiektów sportowych należących dawniej do klubu sportowego Zawisza. Stara przystań została więc rozebrana, a na jej miejscu powstała nowoczesna marina dla jachtów wraz ze śmiałym architektonicznie gmachem hotelu, przystanią sportową oraz funkcjonalnym nabrzeżem. Marina stała się nowym symbolem miasta, prawdziwą perłą. Zaprojektowana przez Katarzynę Wojciechowską i Tomasza Rokickiego, zyskała uznanie i otrzymała wiele prestiżowych nagród, m.in. The World Leisure International Innovation Prize 2012 Światowej Organizacji ds. Wypoczynku.

Dziś bydgoska przystań znana jest już w świecie sportów wodnych. Głównie za sprawą kajakarzy i wioślarzy Zawiszy, którzy właśnie tam na co dzień trenują. Jednak to nie tylko dla nich stworzono marinę. Z wypożyczalni sprzętu wodnego mogą korzystać wszyscy bydgoszczanie, a także turyści. Obiekt oferuje również miejsca noclegowe i restaurację.

Ku rzece

Rewitalizacja Wyspy Młyńskiej stała się początkiem jej nowego życia. Teren zyskał bowiem zupełnie nowy charakter, stając się znakomitym miejscem zarówno spędzania czasu wolnego, jak i organizacji imprez masowych. Centralnym punktem Wyspy jest dziś trawiasta polana, będąca ulubionym miejscem wypoczynku i rekreacji mieszkańców Bydgoszczy. To właśnie na niej odbywają się rozmaite imprezy kulturalne, festyny, koncerty i festiwale.

Dziś rekreacyjne i kulturalne życie bydgoszczan zwraca się ku rzece. Na stałe w harmonogram wpisał się już cykl koncertów „Rzeka Muzyki” – wydarzenie początkowo miało rangę lokalną, a dziś jest znane europejskiej publiczności. Występy odbywają się na scenie na wodzie w amfiteatrze Opery Novej, zaś bliskość Wyspy Młyńskiej i Wenecji Bydgoskiej tworzy urzekający klimat koncertowych wieczorów.

Duma bydgoszczan

Rewitalizacja Wyspy nie była prosta. Wymagała pogodzenia ze sobą dwóch z pozoru całkowicie odmiennych tendencji. Historyczna przestrzeń z zabytkowymi spichrzami, młynami, elektrownią i kamienicami musiała być chroniona, a jednocześnie musiała sprostać wymaganiom życia we współczesnym mieście. I temu wyzwaniu Bydgoszcz bez wątpienia podołała. Jej mieszkańcy mogą mieć wiele powodów do dumy z własnego miasta. Odnowiona Wyspa Młyńska jest z pewnością jednym z nich. Nie tylko udało się zachować (w sercu jednego z największych polskich miast) zieloną enklawę, której kształt i charakter nawiązują do historii, ale też uczyniono z niej najchętniej odwiedzaną część miasta. Zakorzeniona w przeszłości, Bydgoszcz może śmiało patrzeć w przyszłość.



Gala „Teraz Polska”

29 maja 2017 r. w Teatrze Wielkim w Warszawie odbyła się XXVII Gala „Teraz Polska”, podczas której nagrodzono najlepsze polskie firmy, usługi, innowacje i samorządy.

Po raz ósmy przyznano również tytuł Wybitnego Polaka.

W tym roku Kapituła Konkursu „Teraz Polska” nagrodziła 13 produktów, 9 usług, 3 przedsięwzięcia innowacyjne oraz 3 gminy.

– Po ponad 25 latach Konkurs „Teraz Polska” (a właściwie jego laureaci) wciąż zaskakuje. W tym roku w gronie zwycięzców znajdziemy wiele innowacyjnych produktów i usług, w tym militaria i nowoczesne technologie, a także – co nas cieszy – startupy. Tegoroczna edycja dowodzi, że Konkurs i lista laureatów są odzwierciedleniem tendencji i zmian w krajowej gospodarce – mówi Michał Lipiński, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”. – Z satysfakcją obserwujemy, jak z roku na rok wśród laureatów przybywa firm oferujących najnowocześniejsze rozwiązania. Jesteśmy przekonani, że mają one olbrzymi potencjał, by stać się wizytówką polskiej gospodarki na świecie – dodaje.

Godło „Teraz Polska” cieszy się dziś zaufaniem, uznaniem społecznym i dobrą opinią publiczną. Jest gwarancją najwyższej jakości, jaką otrzymują konsumenci, nabywając produkt czy usługę.

– Konkurs „Teraz Polska” jest organizowany od ponad 25 lat. W tym czasie jako naród staliśmy się bardziej świadomymi konsumentami. Na zakupach przede wszystkim wybieramy jakość. To oznacza, że Godło „Teraz Polska” jest dziś bardzo potrzebne. Od początku istnienia jest symbolem najwyższej jakości, niejako drogowskazem dla konsumentów. Polacy wiedzą, że ten biało-czerwony znak gwarantuje to, co najlepsze – tłumaczy Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

Rozpoznawalność Godła „Teraz Polska” przekłada się także na możliwości promocyjne, jakie pojawiają się przed laureatami.

1 Wszyscy laureaci
Godła „Teraz Polska”

2 Krzysztof Pastor
i Jan A.P. Kaczmarek
– Wybitni Polacy
2017

3 Premier Jarosław
Gowin gratuluje
laureatom.

4 Krzysztof Przybył
i Michał Kleiber



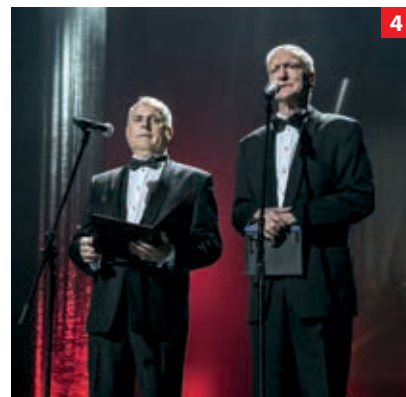
1



2



3



4

– „Teraz Polska” od wielu lat wspiera polską myśl przedsiębiorczą, doceniając i promując najwyższe jakościowo produkty. Bardzo się cieszymy, że w gronie tegorocznych laureatów znalazła się stworzona przez nas innowacyjna rękawica do oczyszczania twarzy wyłącznie za pomocą wody – Glov, która obecna jest już na ponad 40 rynkach świata, m.in. w Unii Europejskiej, USA i na Bliskim Wschodzie – mówi Monika Żochowska, prezes zarządu Phenicoptere Sp. z o.o. – Bardzo zależy nam na podkreślaniu polskiego pochodzenia naszego produktu, który dokonał prawdziwej rewolucji w demakijażu. Prestiż i siła rynkowa, jakie symbolizuje Godło „Teraz Polska”, motywują nas do jeszcze większej pracy na rzecz umacniania pozycji eksportowej polskich marek – dodaje.

– Niewątpliwie Godło „Teraz Polska” to jedna z najlepiej rozpoznawalnych marek promocyjnych w naszym kraju. Biorąc pod uwagę nasz ponad 25-letni samorządowy dorobek, Godło „Teraz Polska” stanowi pewnego rodzaju dopełnienie sukcesów naszej gminy – wyjaśnia Krystian Grzesica, burmistrz Bierunia. – Otrzymane wyróżnienie to z pewnością także docenienie walorów i ogromnego potencjału naszej gminy, które przełoży się na osiągnięcie wyznaczonych celów wizerunkowych. Liczymy, że nagroda znacząco wpłynie na

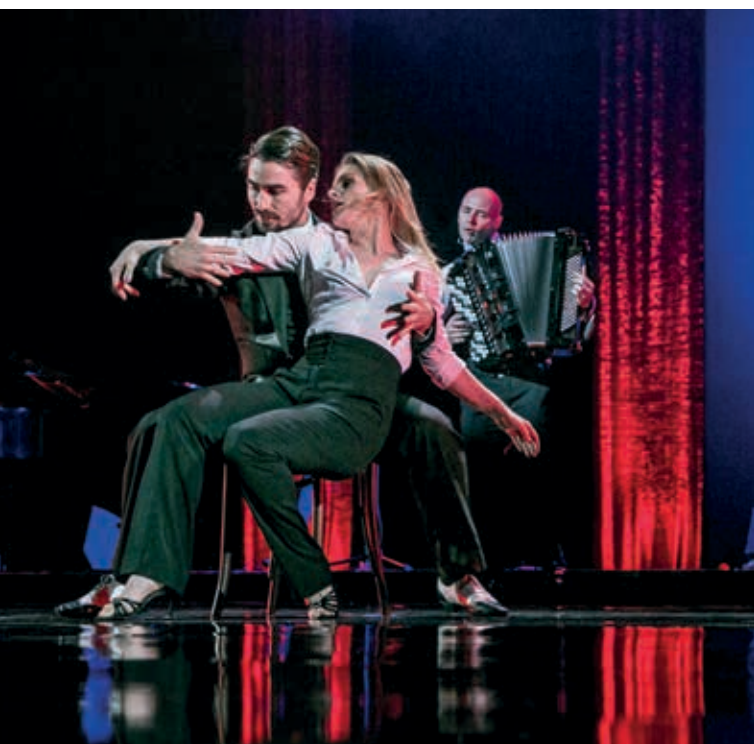
zainteresowanie inwestorów, turystów i nowych mieszkańców, bo „Bieruń ci przaje” – jest otwarty, przyjazny i sprzyja wszystkim, którzy go odwiedzają – tłumaczy.

Kapituła Konkursu „Teraz Polska” po raz szósty przyznała Honorowe Wyróżnienia wyjątkowym wydarzeniom i inicjatywom promującym Polskę w kraju i za granicą. W tym roku trafiły one do Polskiego Związku Motorowego za organizację Rajdu Polski oraz Unii Producentów i Pracodawców Przemysłu Mięsnego za stworzenie Systemu Gwarantowanej Jakości Żywności QAFP.

– Idea systemu QAFP to ponadprzeciętna jakość produktów spożywczych dostępnych dla każdego konsumenta oraz informacja, że produkt jest polski – mówi Wiesław Różański, prezes Unii Producentów i Pracodawców Przemysłu Mięsnego (UPEMI). – Godło „Teraz Polska” podkreśla polskie pochodzenie i najwyższą jakość. Honorowe Wyróżnienie jest dla nas sygnałem, że obraliśmy właściwą drogę w tworzeniu narodowej marki eksportowej, a znak „Teraz Polska” jest świetnym narzędziem wspierającym i uwiarygodniającym kampanie promocyjne produktów i usług ze znakiem QAFP. Jesteśmy dumni, że surowe kryteria oraz rzetelna i obiektywna ocena Kapituły uplasowały nasz system pośród firm, produktów i usług najwyższej jakości – dodaje.



© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM (15)



Jan Kliment, Anna Głogowska i Marcin Wyrostek

Podczas wieczornej Gali „Teraz Polska” poznaliśmy również laureatów VIII edycji Konkursu „Wybitny Polak”, którzy swoją działalnością oraz licznymi sukcesami promują wizerunek Polski i Polaków na świecie. W tym roku tytuł Wybitnego Polaka otrzymał Krzysztof Pastor, choreograf o międzynarodowej renomie, dyrektor Polskiego Baletu Narodowego w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej oraz dyrektor artystyczny Litewskiego Baletu Narodowego w Wilnie. Drugim laureatem został Jan A.P. Kacz-

marek – kompozytor, laureat Oscara, twórca i dyrektor Festiwalu Transatlantyk. Zdobył on również uznanie jury amerykańskiej edycji Konkursu „Wybitny Polak”, organizowanej na Zachodnim Wybrzeżu USA.

– Mając świadomość, że dołączam dziś do wybitnego grona, chciałbym z pełną odpowiedzialnością podkreślić, że traktuję to zaszczytne wyróżnienie jako dowód uznania dla niezwykłego zjawiska, jakim jest Polski Balet Narodowy – mówi Krzysztof Pastor. – Mam to ogromne szczęście, że pracując w tak wyjątkowym miejscu, jakim jest Teatr Wielki – Opera Narodowa, mój wysiłek znajduje zrozumienie i wsparcie tych wszystkich wspaniałych ludzi, którzy mnie otaczają. Jednocześnie, odczuwając wielki ciężar nagrody, którą dzisiaj otrzymuję, jest mi dużo lżej, gdy myślę, że właściwie jest to nagroda dla bardzo wielu – dodaje.

– Ogromne znaczenie mają dla mnie nagrody przyznawane najbliższemu domu. Gdy spotykam się z uznaniem rodaków czy kogoś bliskiego – jest to moment podwójnie istotny. Wszak zawsze szukamy potwierdzenia własnej wartości przede wszystkim wśród najbliższych – mówi Jan A.P. Kaczmarek. – Czuję się Polakiem w 100 proc. i z dumą to podkreślam. Sami Amerykanie próbowali przedstawiać mnie jako amerykańskiego kompozytora o polskich korzeniach, ale nie zgadzałem się na to. Zawsze mówiłem o sobie, że jestem polskim kompozytorem mieszkającym w Stanach Zjednoczonych. Przyjechałem do Ameryki, kiedy miałem już 36 lat, byłem więc człowiekiem ukształtowanym przez Polskę. Stąd przywiozłem do USA cały mój podstawowy mentalny algorytm, a ta świadomość korzeni niesłychanie wzmacnia. Tożsamość i pasja to wartości, którym staram się być zawsze wierny – tłumaczy kompozytor.

Wieczór uświetnił występ zespołu Marcina Wyrostka z Orkiestrą Kameralną Filharmonii Zabrzeńskiej pod batutą maestro Sławomira Chrzanowskiego. Całość dopełnił taniec Anny Głogowskiej, Jana Klimenta oraz Tomasza Barańskiego.

Anna Siedlińska



Paweł
Rabiej

*Członek zarządu
Nowoczesnej i prezes
fundacji Instytut
Nowoczesności*

Zaufanie można stracić przez moment nieuwagi

Liczne przykłady globalnych i polskich marek pokazują, że na zaufanie pracuje się przez dekady, a traci je niekiedy w kilka godzin. Pożar może zacząć się od niewielkiego ogniska.

Kryzys wizerunkowy należącej do grupy Maspex marki Tiger przy okazji rocznicy Powstania Warszawskiego pokazał, jak wrażliwe na ataki są nawet dość ustabilizowane marki. Budowana przez lata pozycja może być zachwiana przez chwilę nieuwagi zarządu i niefrasobliwość zespołu marketingowego albo – co częstsze – niewłaściwe i zbyt powolne reakcje na popełniony błąd. To tylko jeden z wielu przykładów z ostatnich miesięcy, ale znamienity, bo pokazuje, jak nieostrożne działanie w sieci, którego celem jest wpisanie się w kontekst wydarzeń i zdobycie rozgłosu marki, może jej zaszkodzić. Większość takich kryzysów ma miejsce w mediach społecznościowych, które ze względu na swoją

czy nieudana kampania „Smutny autobus”. O tym, jak silne mogą być emocje klientów, przekonała się firma LPP (właściciel m.in. marek Reserved, Cropp i House), gdy przeniosła niektóre znaki towarowe na Cypr. Odbłyło się to zgodnie z prawem, ale oburzenie opinii publicznej było spore. Problem ma też stadnina koni w Janowie. Po zmianie jej zarządu tegoroczna aukcja przyniosła najmniejszy zysk od 2003 r. Tylko częściowo da się to wytłumaczyć koniunkturą, głębsze przyczyny leżą w nieumiejętnej promocji i zarządzaniu reputacją. Kryzys potrafi rozprzestrzenić się tak szybko, jak pożar w suchym lesie. Nie wolno zakładać, że jakkolwiek marka jest na niego odporna. Zaufanie można spalić błyskawicznie. Wystarczy, że nie zareaguje się odpowiednio szybko – gasząc ognisko, które może być zarzewiem pożogi. Klienci stali się bowiem niezwykle wyczuleni oraz mają dużo większą skłonność do ataków. Zwiększa to wrażliwość marek na utratę

Kryzys potrafi rozprzestrzenić się tak szybko, jak pożar w suchym lesie. Nie wolno zakładać, że jakkolwiek marka jest na niego odporna. Zaufanie można spalić błyskawicznie. Wystarczy, że nie zareaguje się odpowiednio szybko – gasząc ognisko, które może być zarzewiem pożogi.

specyfikę wymagają szybkiego reagowania, ale zarazem traktuje się je z mniejszą uwagą. Niesmacznych, niestosownych, obrażających klientów przekazów można byłoby uniknąć, gdyby firmy zachowywały większą uważność i czujność. Warto przypomnieć reklamę Hyundai z 2013 r., która miała podkreślić niższą emisję spalin nowego samochodu. Ale pokazanie w spocie mężczyzny, który bezskutecznie próbuje popełnić samobójstwo w aucie, wywołało – słusznie – falę krytyki. Podobnie jak poważne naruszenie zaufania klientów przez Maffashion (zwyczajne okłamanie fanów), kojarząca się z seksizmem kampania marki zup Rozkosz

zaufania. Dobrą odpowiedzią jest tylko szybkie wycofanie się z błędu i szybkie opanowanie sytuacji. To zaś wymaga opracowania scenariuszy kryzysowych oraz ich przećwiczenia, a także mechanizmu pozwalającego – nawet w dużej firmie – na błyskawiczne podejmowanie decyzji.

Dobry przykład dał Żywiec Zdrój w 2016 r. Firma nie zlekceważyła doniesień o poparzeniu konsumenta. Reakcja była szybka, z podkreśleniem troski o bezpieczeństwo klientów. Kryzys został opanowany sprawnie i w pierwszej fazie. Błędy zdarzają się bowiem każdemu, ale tylko naprawdę silne marki potrafią je szybko naprawić.



Adam
Szejnfeld

Posel do Parlamentu
Europejskiego
www.szejnfeld.pl

Dobrze już było, jest źle, a jak będzie – zobaczymy

Kim on jest? Wszyscy o nim mówią, niewiele go jednak zna osobiście. Niby dużo o nim wiemy, ale koniec końców to bardzo tajemnicza persona. O kim mowa? Oczywiście o przeciętnym Kowalskim – bliskim nam niczym celebryta z pierwszych stron gazet. Zapewne każdy z nas potrafiłby wymienić cechy charakterystyczne naszych rodaków, ale czy na pewno wiemy, kim jest przeciętny Polak anno Domini 2017 i jak bardzo zmieniło się jego życie w ciągu ostatnich dekad?

Od upadku komunizmu minęło prawie 30 lat, ale wielu ludzi w Polsce nadal mówi, że jak było źle, tak i źle pozostało. A przecież Polacy na przykład w 1977 r. to zupełnie inni ludzie niż w roku 2017. Krajobraz społeczny w bardzo wielu dziedzinach zmienił się w tym czasie absolutnie! Widocznym aspektem zmian na lepsze jest na przykład wydłużenie długości życia. Od lat 70. aż do początku 90. statystyczny Polak mógł liczyć na przeżycie przeciętnie 67, a Polka 75 lat. Obecnie to ok. 74 lata dla mężczyzn i aż 82 lata dla kobiet. Społeczeństwo w zasadzie mamy młode, ale coraz więcej w nim osób starszych. Co ważne, zdecydowane zmiany na lepsze widać w ich mentalności. Ludzie w podeszłym wieku już nie polegają tak bardzo na rodzinie, jak kiedyś. Są bardziej samodzielni, udzielają się społecznie i kulturalnie, a nawet wracają na ścieżkę edukacji, na przykład w ramach uniwersytetów trzeciego wieku.

Jeżeli o edukacji mowa, warto podkreślić, jak ogromny skok dokonał się właśnie w tej dziedzinie. Pod koniec lat 80. studiowało w naszym kraju jedynie ok. 400 tys. Polaków. Obecnie ta liczba jest już kilka razy większa. W 2011 r. wynosiła ponad 1,5 mln. Tak duża baza absolwentów szkół wyższych przyciąga do naszego kraju wielu inwestorów zagranicznych, którzy wiedzą, że u nas mogą znaleźć pracowników o wysokich kwalifikacjach. Z kolei zdolności polskich nastolatków znacznie przewyższają dziś te, którymi mogą pochwalić się najbardziej rozwinięte społeczeństwa. Jak wynika z międzynarodowego badania umiejętności i wiedzy 15-latków „Programme for International Student Assessment” (PISA), polska szkoła potrafi kształcić młodzież, która jest w stanie z powodze-

niem konkurować z absolwentami cenionych szkół z całej Europy i świata.

Częścią tego sukcesu jest również fakt, że przeszliśmy ewolucję od społeczeństwa „stacjonarnego” do społeczeństwa „mobilnego”. Kiedyś przeciętny Kowalski tam, gdzie się urodził, tam się też uczył, podejmował pracę, tam rodziły mu się dzieci i tam odchodził z tego padółu. Teraz rodziny rozrzucone są po całej Polsce. Żyje się bowiem i pracuje nie tam, gdzie się człowiek urodził, lecz tam, gdzie można lepiej żyć. Coraz częściej jeździmy też za granicę, i to nie tylko na wakacje, ale także w celach zawodowych czy edukacyjnych. Według statystyk Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) na zagranicznych uczelniach kształci się obecnie aż 50 tys. Polaków. W ciągu ostatnich 18 lat ponad 180 tys. polskich studentów uczestniczyło też w międzynarodowych wymianach, na przykład w ramach unijnego programu Erasmus.

Większe bogactwo, lepsza edukacja czy częstsze wyjazdy zagraniczne są miłą częścią zmiany, ale nie jej kluczem. Przez ostatnie ćwierć wieku udało się przede wszystkim osiągnąć wyższy poziom świadomości społecznej, prawnej i ekonomicznej. Polacy w XXI w. są świadomymi obywatelami nie tylko Polski, ale także Europy i świata. Wartości takie jak demokracja, państwo prawa, praworządność, wolności obywatelskie, prawa człowieka, równość mężczyzn i kobiet czy pluralizm stały się częścią naszego życia codziennego i postawy społecznej.

Niestety, są oczywiście i negatywne zjawiska, zwłaszcza te, które obserwujemy w ostatnich dwóch latach. Na przykład polska gościnność i otwartość były znane pod każdą szerokością geograficzną. A teraz? Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczynamy się cofać w czasie, wracając do peerelowskiej, zaściankowej mentalności, której częścią jest brak szacunku dla innych, nietolerancja, nacjonalizm, zawiść, zazdrość, ksenofobia, a nawet przejawy rasizmu... Wydaje się, że za milczącą zgodą obecnych władz zaczynamy tracić coś, co skutecznie budowaliśmy przez ponad 20 lat. Cóż, wygląda na to, że dobrze już w Polsce było. Teraz jest źle, a jak będzie – to jeszcze zobaczymy...



29 maja

W **Teatrze Wielkim w Warszawie** odbyła się XXVII Gala „Teraz Polska”, podczas której nagrodzone zostały najlepsze polskie firmy, usługi, innowacje i samorządy. Po raz ósmy przyznano tytuł Wybitnego Polaka – statuetki z rąk wicepremiera, ministra nauki Jarosława Gowina odebrali Krzysztof Pastor i Jan A.P. Kaczmarek. Po raz szósty przyznano wyróżnienia wyjątkowym wydarzeniom i inicjatywom promującym Polskę w kraju i za granicą. Honorowe Godła „Teraz Polska” trafiły do Polskiego Związku Motorowego (za organizację Rajdu Polski) oraz Unii Producentów i Pracodawców Przemysłu Mięsnego (za stworzenie Systemu Gwarantowanej Jakości Żywności QAFP).



3 czerwca

W **Warszawie** odbył się XIX Piknik Olimpijski, wielobarwne święto sportu. To jedyna impreza w Polsce, podczas której kibice mogą spotkać ponad stu polskich medalistów olimpijskich, a także niezliczone rzesze olimpijczyków i ludzi sportu. Organizatorami byli: Polski Komitet Olimpijski, Ministerstwo Sportu i Turystyki oraz Miasto Stołeczne Warszawa.



8 czerwca

Na **stadionie PGE Narodowym w Warszawie** odbyło się uroczyste wręczenie nagród zwycięzcom konkursu dla gimnazjalistów i uczniów szkół podstawowych, organizowanego przez PFPŻ i GIS w ramach Ogólnopolskiego Programu Edukacyjnego „Trzymaj Formę!”, którym objęto prawie 8 mln uczniów. Głównym celem programu jest zwiększenie wiedzy o wpływie żywienia i aktywności fizycznej na zdrowie młodzieży.



9 czerwca

W **Warszawie** odbył się III Kongres Gospodarki Senioralnej pod hasłem „Gospodarka na progu srebrnej rewolucji”. Rozmawiano o znaczeniu srebrnej gospodarki dla rozwoju gospodarczego Polski. Zastanawiano się, jak powinna wyglądać Polska równych szans w obliczu starzenia się społeczeństwa. Fundacja „Teraz Polska” jest partnerem Kongresu.



18 czerwca

W **Łodzi** zakończył się XXIII Finał Ogólnopolskich Czwartków Lekkoatletycznych. To cykl zawodów szkolnych organizowanych przez Stowarzyszenie „Sport Dzieci i Młodzieży” we współpracy z Marianem Woroninem, wybitnym polskim lekkoatletą, do którego od 1984 r. należy rekord Polski w biegu na 100 m. „Zawody czwartkowe” odbywają się w 80 miastach i miasteczkach w całej Polsce, a bierze w nich udział około 100 tys. dziewcząt i chłopców w wieku 11–13 lat.



© ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

20 czerwca

W **Warszawie** zakończyła się II edycja Konkursu Polski Przedsiębiorca 2016 „Gazety Polskiej Codziennie”. W kategorii Innowator nagrodę przyznano Piotrowi Skarżyńskiemu z firmy Medincus, w kategorii Eksporter – Karolowi Zarajczykowi z firmy Ursus, w kategorii Lider przemysłu – Dariuszowi Sapińskiemu z firmy Mlekovita, w kategorii MŚP – Januszowi Kasztelewiczowi z firmy Sądecki Bartnik, a w kategorii Filantrop nagrodę otrzymał ks. Jacek Stryczek ze Stowarzyszenia Wiosna. Z satysfakcją odnotowujemy fakt, że wszyscy nagrodzeni to laureaci Godła „Teraz Polska”.



22 czerwca

Prezydent Andrzej Duda wręczył nominacje do Kapituły XV edycji Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP. Przewodniczącym Kapituły został ponownie prof. Krzysztof Opolski, wieloletni ekspert Fundacji i członek Kapituły Konkursu „Teraz Polska”. Nagroda Gospodarcza Prezydenta RP to wyróżnienie przyznawane raz do roku, które ma wspierać polskich przedsiębiorców i wyróżniać najlepszych.



23 czerwca

W **siedzibie Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej** odbyła się uroczystość z okazji 30-lecia firmy Artim, organizatora wielu regionalnych imprez plenerowych w Krakowie, laureata Godła „Teraz Polska”. Fundacja „Teraz Polska” została wyróżniona Złotą Różą Przyjaźni.



© ARCHIWUM IFPS

14 lipca

W **Kajetanach** zakończył się III Międzynarodowy Festiwal Dzieci, Młodzieży i Dorosłych z Zaburzeniami Słuchu „Ślimakowe Rytmy”, organizowany przez Światowe Centrum Słuchu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu (laureata Konkursu „Teraz Polska”), kierowane przez prof. Henryka Skarżyńskiego. Nowością tegorocznego Festiwalu były wokalnie-instrumentalne Warsztaty Mistrzowskie, prowadzone przez profesjonalnych muzyków sceny polskiej i zagranicznej.



© KAMIL BROZKO/BROZKO.COM

25 lipca

W **warszawskiej restauracji St. Antonio** odbył się Letni Klub „Teraz Polska”, organizowany przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego. Networkingowe spotkania członków Klubu odbywają się już od kilkunastu lat i gromadzą laureatów Konkursu „Teraz Polska”, partnerów, współpracowników oraz przyjaciół Fundacji. Wieczór uświetniły występy aktorki i tancerki Ewy Kuklińskiej, współpracującej z Krakowskim Teatrem Komedia (laureatem Konkursu „Teraz Polska”), oraz młodego gitarzysty Tomasza Fechnera.



© SZYMON GRUCHAŁSKI/TDP

4 sierpnia

W **Zakopanem** zakończył się 74. Tour de Pologne, największy polski wyścig kolarski, wyróżniony honorowym Godłem „Teraz Polska”. W klasyfikacji generalnej zwyciężył belgijski kolarz Dylan Teuns, wyprzedzając Rafała Majkę o zaledwie dwie sekundy.



4 sierpnia

W **Zakopanem** zakończyły się 40. Dni Muzyki Karola Szymanowskiego. Finałowy wieczór uświetnił występ Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus pod batutą legendarnej założycielki i kierownika artystycznego Agnieszki Duczmal. Atrakcją było światowe prawykonanie utworu Jerzego Kornowicza pt. „Sceny z Witkacego” na smyczki, janczary, bicze, okaryny i fletnie.

dołącz do nas!

www.siecmysli.pl



Polski Zielnik



Kolekcjonuj znaczki i kartki pocztowe w prosty i wygodny sposób!
Zamów abonament filatelistyczny w najbliższej placówce pocztowej
lub za pośrednictwem strony internetowej: www.filatelistyka.poczta-polska.pl

